

Ulysses Moore

Klub Podróżników w Wyobraźni

I znów rzekła doń mądra Penelopa: gościu, zaiste próżne są sny, a ich mowa bez związku i nie wszystko ludziom się spełnia. Dwie są bowiem bramy zwiewnych snów: jedna z rogu, druga z kości słoniowej...  
Homer, Odyseja, Pieśń XIX, w. 559-563, przełożył Jan Parandowski

Rozdział 1  
UPADEK

Jason i Julia przytuleni do siebie zastygli w pobliżu schodków wykutych w skalnym urwisku Salton Cliff. Wybiegli tu, kiedy dom zaczął się trząść. Przerazający wstrząs raptownie wyrwał ich ze snu. Potem ją ujrzeli: brygantynę. Stała na redzie przed plażą w Kilmore Cove, cała czarna z żaglami w kolorze smoły. I osiem luf armatnich wycelowanych prosto w nich.

Usłyszeli huk eksplozji prochu strzelniczego, zaraz potem świst - i blade niebo przedświtu rozbłysło nagle płomieniem.

- PADNIJ! - krzyknął Jason, pociągając siostrę na ziemię i osłaniając ją całym sobą.

W wieżyczkę Willi Argo trafiła kula armatnia, przebijając okna.

- JASON! JULIA! - wołali w panice państwo Covenant, podczas gdy dookoła nich spadał na dziedziniec deszcz szklanych odłamków.

Usłyszeli drugi świst, po nim trzeci i czwarty; pocisk rozbił doszczętnie werandę i potoczył się po dywanach w głąb domu niczym ogromna kula do gry w kręgle. Kolejny uderzył ponownie w wieżyczkę, a ostatni zatrzęsł pniem stuletniego drzewa i jeszcze dymiąc, zarył się w wilgotnej ziemi ogrodu.

Julia wpatrywała się w to wszystko z szeroko otwartymi oczami. - To nie może być prawda - wyszeptwała oszołomiona.

- Nie ruszaj się! - rozkazał jej brat, a sam poderwał się i szybko odbiegł.

Huk. Płomień. Świst, który zagłuszył krzyk przerażonej Julii: - JASON!

Następny pocisk przeleciał między drzewami, gdzie wcześniej stał domek Nestora, i zburzył murek.

Pani Covenant nie była w stanie powstrzymać histerycznego szlochu, choć mąż uspokajał ją, jak mógł. Ale i on rozglądał się wokół z przerażeniem, niezdolny pojąć, co się dzieje.

Potem wieżyczka przechyliła się na bok, ze zgrzytem podobnym do ryku zranionego zwierzęcia, i na starym murze Willi Argo zarysowała się głęboka szczelina.

- JASON! - wołała ciągle Julia, najgłośniejszym głosem, jaki tylko mogła. - DOKĄD TY LECISZ?

Ale brat jak gdyby w ogóle jej nie słyszał. Przeleciał pędem obok rodziców przytulonych do siebie w chmurze kurzu i zasypywanych odłamkami. Ojciec miał na sobie piżamę w biało-niebieskie paski, mama - długą nocną koszulę, na której widok robiło się zimno.

- Samochód, szybko! - krzyknął Jason, wskazując garaż. - Musimy stąd wyjechać samochodem!

Gdzie kluczyki?

Ale kiedy popatrzył na rodziców, dostrzegł w ich oczach kompletne zagubienie. Nie rozumieli go, jakby mówił w jakimś obcym języku. W jednej chwili dotarło do niego, że musi działać sam: wbiegł do kuchni, rozejrzał się i znalazł klucze na zwykłym miejscu, na tacce z podręcznymi drobiazgami. Chwytny je i rzucił ojcu, a ten złapał je wprawdzie, lecz przyglądał się im, jakby pojawiły się w jego rękach za sprawą jakichś czarów.

- Musimy uciekać! Szybko! Jesteśmy pod ostrzałem! - wyjaśnił rzeczowo Jason z udawanym spokojem.

Pan Covenant ciągle wpatrywał się w kluczyki od samochodu. - To znaczy, że... co mówisz, Jasonie?

Ale syn ponownie zniknął wewnątrz domu. Huk. Świst. Kolejny wybuch i krzyk przerażenia państwa Covenant.

Samochód w garażu.

Tak, samochód to dobry pomysł.

- Julio, biegiem! Tędy! - ocknął się pan Covenant, ciągnąc żonę przez ogród.

Jason przebiegł przez kuchnię jak w transie, tak skupiony na tym, co chciał zrobić, że niczego wokół siebie nie słyszał. Wpadł do pierwszego pokoju, gdzie zobaczył armatni pocisk, który zniszczył werandę i pozostawił na dywanie jeszcze dymiącą szramę. Chłopiec nie potrafił się oprzeć pokusie, by go nie dotknąć: pragnął tego, odkąd obejrzał swój pierwszy film o piratach. Był ciekaw, czy te żelazne kule...

- Aj! - wrzasnął, cofając gwałtownie rękę.

Przynajmniej ta ciekawość została zaspokojona: armatnie kule bezpośrednio po wystrzeleniu parzyły. Pobiegnął dalej. Minął drugi salonik, kamienną komnatę z Wrotami Czasu i dotarł do schodów. Próbował nie patrzeć na mnóstwo bibelotów rozsypanych na podłodze, na zrzucone albo krzywo wiszące na ścianie obrazy. Po kilku pierwszych stopniach nagle przystanął: usłyszał daleki pomruk, a potem coraz to głośniejszy świst nadlatującego pocisku.

Instynktownie kucnął na schodach i osłaniając głowę rękami, czekał na wybuch.

„Nie teraz!” - błagał w myślach, kiedy coś wybuchło kilka metrów nad jego głową. Lustro na szczycie schodów stuknęło się w drobny mak i na Jasona spadł istny deszcz małych, ostrych, szklanych drzazg. Odczekał kilka chwil, pochylił się i ruszył dalej biegiem po schodach.

Kula armatnia trafiła dokładnie w sam środek lustra i do połowy zaryła się w ścianie, na której wisiało. Każdy srebrzysty kawałeczek odbijał twarz chłopca. Była odmieniona z powodu napięcia, ale w jego oczach płonęła wściekła determinacja.

Obrócił się: drzwi prowadzące do wieżyczki leżały na boku, wyrwane z futryny, a z tego, co pozostało po pracowni Ulyssesa Moore'a, szedł lodowaty podmuch. Mimo ryzyka Jason przeszedł nad wyrwanymi drzwiami i wszedł do środka.

Pokoik w wieżyczce był niebezpiecznie przechylony na bok. Podłoga otworzyła się niczym łupina mandarynki i belki wyglądały jak połamany na kłujące kawałki wachlarz. Stół, krzesła, kufry, modele okrętów, dzienniki i wszystkie skarby Ulyssesa Moore'a leżały na stercie w najodleglejszym kącie. Jason uchwycił się futryny drzwi i z trudem opanował zawrót głowy.

- Nie - powiedział sobie. - Nie teraz.

Przez wybite okna widział zatokę Kilmore Cove, ciemne morze i zakotwiczony okręt z całkowicie czarnymi żaglami. Las drżących pochodni oświetlał pokład okrętu, na którym dziwaczna załoga złożona z małą uwijała się gorączkowo przy ośmiu pokładowych działach.

Jason spróbował policzyć, ile do tego momentu słyszał wystrzałów: pocisk, który rozbił lustro, był chyba siódmy. Nie, ósmy, licząc też ten, który ich zbudził.

Zastanawiał się, czy na okręcie znowu ładują działa, bo już od dłuższej chwili nie słychać było ani wystrzałów, ani świstu armatnich kul. Z zewnątrz dochodziły tylko odgłosy kroków na żwirze, warkot zapuszczanego silnika w aucie, pełen niepokoju głos jego matki, która go nawoływała: -Jason! Gdzie jesteś? Jason!

W tej chwili podłoga wieżyczki uniosła się raptownie i przechyliła jeszcze bardziej na bok. Kufer Ulyssesa Moore'a zaczął się zsuwać po powstałej pochyłości, przewrócił się, otworzył, wysypując górę papierzysek i notesów wypełnionych rysunkami. Jason zdecydował z bólem w sercu, że jest za mało czasu na ratowanie także i tego. Zaciśnął zęby, wysilił wzrok i dostrzegł wreszcie przedmiot, po który tutaj przybiegł.

Zobaczył ją w najdalszym kącie, całkiem w głębi, w stosie książek i potłuczonych doniczek: pozytywka o dziwnym ośmiokątnym kształcie, rodzaj karuzeli z ośmioma łódeczkami zamiast koni. Przez długi czas był to po prostu jeden z tysięcy przedmiotów wypełniających szuflady, szafy, półki i zakamarki Willi Argo.

Jedna z niezliczonych pamiątek zbieranych podczas wielu, wielu lat podróży po miejscach rzeczywistych i w Wyobraźni. Ale właśnie poprzedniego wieczoru spędzonego u Blacka Wulkana Jason i Julia odkryli, że ta pozytywka była starą pamiątką rodzinną, prezentem od niejkiej Elisabeth Kapler dla Johna Joyce'a Moore'a, ojca Ulyssesa. Przedmiotem, który skrywał wielką tajemnicę.

Spróbował oprzeć stopę na tym, co pozostało z podłogi pokoju, i nacisnął ją z całej siły, by sprawdzić wytrzymałość wieżyczki. Poczuł, jak się trzęsie i dygocze, jakby miała zamiar zaraz runąć, ale - nie do wiary - wytrzymała! Stare mury Willi Argo trzymały się! Jason zaryzykował drugi krok, po czym kucnął i zaczął posuwać się na czworakach. Szedł bardzo, bardzo powoli, nie spuszczać oka i z podłogi, i z okrętu w zatoce.

Czy to możliwe, że okręt przypląnął po tym, jak uruchomili pozytywkę? Może to był i głupi pomysł, ale przekonał się już, że nie należy wykluczać żadnej hipotezy, nawet najbardziej zwariowanej.

A jeśli to pozytywka spowodowała pojawienie się tego przeklętego okrętu, to może udałoby mu się za jej pomocą odesłać okręt tam, skąd przybył. Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Sunął dalej po podłodze i zbliżył się jeszcze trochę do stosu przedmiotów w głębi pokoju...

- Jason! - Wołania zaniepokojonych rodziców zagłuszył nagle przeraźliwy huk.

Chłopiec znowu wyrzął przez okno i ujrzał przez moment dwa języki ognia odbijające się w morzu.

- Nie... - mruknął przez zaciśnięte zęby.

Oparł stopy o otwarty kufer w rogu pokoju. Ledwie zdążył dwa razy mrugnąć, kiedy usłyszał brzęk tłuczonego szkła i mnóstwo głuchych plaśnień. Kolejna kula armatnia trafiła dokładnie w bibliotekę z boku wieżyczki.

- Do diabła! - Jason rzucił się szczupakiem do przodu.

Jego palce przesunęły się po starym skórzanym kufrze nabitym mosiężnymi guzami, znalazły kartki z książki, drewniany kadłub jednego z modeli okręciaków, jakie dawny właściciel lubił robić, i w końcu...

Następna kula armatnia wpadła pomiędzy klomby w ogrodzie, wykopując głęboką bruzdę w zimnej jeszcze ziemi. Cała konstrukcja wieżyczki znowu się zatrzęsała i jeszcze bardziej przechyliła. Dzienniki, obrazy, posągi i krzesła wyleciały przez rozbite okna, potoczyły się po dachu i spadły na dziedziniec.

Jasonowi zaparło dech. Nagle został przygnieciony do ściany przez coś, co uniemożliwiało mu ruchy, ale nie poddał się: nie przestawał szperać wolną ręką wśród zwalonych na stos przedmiotów i w końcu wyczuł pod palcami kanciastą bryłę pozytywki. Wyciągnął ramię najdalej, jak mógł, i pomalutku, centymetr po centymetrze zaczął ją przyciągać do siebie. Dotknął jej drugiego boku i po wielu wysiłkach zdołał ją wsunąć sobie w dłoń.

- Nareszcie! - wysapał radośnie.

- JASON! - Tym razem to był głos Julii.

Jason chwycił pozytywkę, pomyślał: „Już idę”, spróbował się jakoś wyswobodzić i raz jeszcze pomyślał: „Już idę”. Starła się skierować w stronę drzwi nad sobą, ale gdy tylko posunął się o pół kroku w tę stronę, drewniane belki łączące rusztowanie wieżyczki z główną częścią domu nagle pękły.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, wieżyczka Willi Argo obróciła się i zwała na ziemię.

## Rozdział 2

### KOMORA CELNA W KRAINIE Z WYOBRAŹNI

- Jesteście we właściwym miejscu - stwierdziła urzędniczka blondynka w Biurze Podróżników w Wyobraźni na Świecie.

- Musicie wypełnić ten formularz po przeczytaniu regulaminu - dodała ruda urzędniczka z miłym uśmiechem.

- Ale Nić Ariadny do Mrocznych Portów przyznaje się tylko podróżnikom pełnoletnim - dorzuciła urzędniczka szatynka, nawet na nich nie patrząc.

- Hej, chwileczkę! Ja jestem pełnoletni! - zaprotestował mały Flint, bezwstydnie kłamiąc.

- Ciii... - uciszył go Nestor, stojący obok. - Pozwól, że ja to załatwię.

Mały Flint się naburmuszył, ale usunął się na bok. Co za idiotyczna sytuacja! Krąży już od wielu godzin po różnych urzędach w Labiryncie Miejsc z Wyobraźni i ciągle nie udaje im się pokonać tej straszliwej biurokracji. I co gorsza, odkąd tu przybyli przez wulkan na wyspie będącej więzieniem kapitana Spencera, nie mieli niczego w ustach.

Stary ogrodnik pokuśtykał do lady, usiłując patrzeć jednocześnie na wszystkie trzy półpostaci urzędniczek opatrzone jednakowymi identyfikatorami niczym obiekty muzealne: Irena (blondynka), Dike (ruda) i Eunomia (szatynka). Siedziały tuż koło siebie rozdzielone jedynie zasłoną z kolorowych nici - poplątaną siatką, która pokrywała tu wszystko: sufit, ściany, podłogę. Od strony lady nici były przywiązane do dziesiątków haczyków, po czym ginęły gdzieś w głębi pomieszczenia.

To właśnie po to Nestor i jego mały towarzysz odbyli taką długą drogę: jak się bowiem dowiedzieli, Nici Ariadny były jedynym sposobem, żeby nie zabłądzić w niekończących się meandrach Labiryntu.

Urzędniczka blondynka nosiła śmieszne okulary w kształcie motyla i zarządzała dziesiątką białych szpilek, ustawionych jedno na drugim niczym serwis kieliszków do szampana. Jej sąsiadka, ruda, tonęła w słownikach, re-

pertoriach, tomach i spisach, regulaminach i kodeksach. Na ich widok Nestor natychmiast pomyślał o swoich książkach w Willi Argo i westchnął ciężko, kiedy urzędniczka szatynka uniosła nożyczki, odcięła jedną z licznych nici, jakie miała koło siebie, i podstemplowała jakąś kartkę.

- Faktem jest, proszę pań... - zaczął stary ogrodnik, siłąc się na spokojny ton - że krążymy po różnych urzędach od pewnego czasu i...

- Tu czas się nie liczy, mój panie - zauważyła szatynka, odcinając następną nić.

Nestor wziął głęboki oddech. - Ale my w każdym razie jesteśmy mocno spóźnieni i musimy... po prostu musimy... dotrzeć do tych Mrocznych Portów, rozumiecie?

Blondynka kiwnęła głową na znak, że doskonale rozumiała. Ruda spojrzała na nią. Szatynka odcięła kolejną nić.

- Ogólnie rzecz biorąc, żeby się streszczać, panowie kartografowie odesłali nas do was, po Nić Ariadny... w kolorze czarnym, jeśli się nie mylę.

- Właśnie tak! - zaszczębiotała blondynka, chwytając czarną nić spośród wielu, jakie ją otaczały. Nestor się uśmiechnął. - Doskonale. Zatem się zrozumieliśmy.

- To oczywiste, że kartografowie przysłali was tutaj -podjęła ruda. - To do nas należy wydawanie Nici.

- I kontrolowanie daty ważności - mruknęła szatynka, odcinając kolejną nić i stemplując kartę. Nestor odchrząknął. - No to się zgadzamy. Potrzebujemy Nici czarnej dla dwóch osób i...

- Niestety, według regulaminu to niewykonalne - przypomniała ruda, wskazując małego Flinta. - Żadnych dzieci w Mrocznych Portach!

- Nie jestem dzieckiem! - znowu zaprotestował mały Flint.

- Dlaczego niewykonalne? - zapytała blondynka, nie całkiem zorientowana.

Ruda otworzyła na chybił trafił parę kodeksów i kodycyli, po czym przeczytała interesujący ją ustęp: - W paragrafie czterdziestym piątym Zasad wykładni załącznika samseszukajnego ubzduranego konkordatu jest powiedziane, że „oseski” mogą najwyżej dostać Nić białą; „dzieci” -różową, zieloną, pomarańczową i niebieską; „wyrostki” -czerwoną i amarantową. Kobieta podniosła wzrok sponad tysiąca słów, jakie wypełniały regulamin, i podsumowała:

- W każdym razie możemy przyznać czarną Nić Ariadny tylko „staremu”.

Kiedy ogrodnik z Willi Argo usłyszał, jak go urzędniczka nazwała, nie wytrzymał.

- Uważaj, z kim mówisz! - wybuchnął. - Wcale nie jestem stary!

- Widzi pan? - podjudzał go mały Flint. - Te trzy tutaj nas obrażają!

- A mogę wiedzieć, ile pan ma lat? - spytała szatynka.

Nestor jej odpowiedział i blondynka zawołała: - Ależ

pan się doskonale trzyma!

- Formalnie - ciągnęła tymczasem ruda bez mrugnięcia okiem - w paragrafie sześćdziesiątym pierwszym pański wiek został określony jako „prawie zgrzybiały starzec”. Co daje panu prawo do specjalnej zniżki i bezpłatnego plecaka.

- Nie chcę żadnego głupiego plecaka! - wściekł się Nestor. - Chcę tylko moją Nić!

- Ależ proszę, niech go pan weźmie - nalegała blondynka, podsuwając mu piękny pojemny plecak. - Jest bardzo praktyczny!

- A ty wróć tutaj, kiedy dobiejesz do właściwego wieku, dobrze, kurdupelku? - zakończyła ruda urzędniczka, zwracając się do małego Flinta, który zapytywał się w duchu, dlaczego, u licha, nie ma przy sobie miotacza ognia.

Nestor przyjrzał się uważnie najpierw plecakowi, a potem chłopakowi. Kto wie, może gdyby tak docisnąć porządnie, dałoby się go tu wepchnąć...

- Teraz muszę panu zadać kilka pytań... - odezwała się blondynka.

Stary ogrodnik spojrział na nią z pytającą miną.

- Więc... Jest pan pewien, że chce się pan udać do Mrocznych Portów? A wie pan, że to są miejsca bardzo niebezpieczne i że nie można z nich wrócić?

- Tak, wiem - skłamał Nestor.

- Z jakiego powodu zamierza pan się tam udać? - zapytała jeszcze blondynka.

- Poszukuję pewnej osoby.

- A mógłby pan to sprecyzować? Czy szuka pan monstrum? Czy demona? A może mordercy?

- Szukam żony.

- A zatem pańska żona jest obywatelką Mrocznych Portów - wywnioskowała blondynka. - A co dokładnie robi? Podrzyna gardła? Jest trucicielką? Seryjną zabójczynią?

- Nie, nic z tych rzeczy! Ja... - Nestor się zachnął. -Sądzę, że została porwana.

- Więc porywaczka - podsumowała blondynka, zaznaczając odpowiednią rubrykę na formularzu.

Nestor chciał zaprotestować, ale dał spokój.

- Czy był pan kiedyś zaaresztowany w którymś z Miejsc z Wyobraźni? - zapytała urzędniczka.

- Co takiego?

- Są pewne drobne korzyści, jeśli odpowie pan, że tak.

- Nie. Nie. Nigdy nie byłem aresztowany.
- Czy kiedykolwiek był pan zamieszany w szpiegostwo, sabotaż, pogwałcenie przepisów eksportowych
- Przedmiotów z Wyobraźni czy w jakąkolwiek inną nielegalną działalność?
- Ja... nie... znaczy... przywoziłem do domu jakieś pamiątki, ale nic więcej!
- I zrobił to pan nielegalnie?
- Czy ja wiem! Kupiłem je albo... wymienilem na jakieś inne. Podobały się mojej żonie i...
- Piszę „nielegalnie”, a potem na końcu poprawimy -ucięła blondynka. - Kiedy już pan będzie w Mrocznych Portach, czy ma pan zamiar podjąć działalność terrorystyczną przeciwko innym Miejscom z Wyobraźni? Czy kiedykolwiek pan organizował lub popierał całkowite zniszczenie Miejsca z Wyobraźni? Czy kiedykolwiek uniknął pan lub próbował uniknąć płacenia podatków w Miejscu z Wyobraźni?
- Nestor uznał, że ma tego dosyć. - Niech pani posłucha, kiedy się skończy ta błazenada?! - wybuchnął.
- Niech pan odpowie: tak czy nie?
- Nie. A w każdym razie, jeżeli nie zapłacę podatku, z pewnością nie przyjdę z tym do pani!
- Blondynka zapisała energicznie jeszcze kilka linijek, potem podała papier rudej, ta go ostemplowała i zwróciła koleżance.
- Następnie papier wręczono Nestorowi.
- Gotowe - powiedziała blondynka z uśmiechem.
- To już wszystko? - zapytał ogrodnik, wpatrując się gniewnie w formularz.
- Zanieś to pan do urzędu tu obok, żeby uzyskać wizę - wyjaśniła ruda. - Tymczasem my przygotujemy pańską szpulkę czarnej Nici. Wróci pan z podstemplowaną wizą i będzie mógł za szpulką iść aż do bramy Mrocznych Portów.
- A kiedy pan tam dotrze, ja obetnę Nić - dodała szatynka, unosząc wymownym gestem nożyczki.
- A potem... jak wrócę? - zapytał speszony Nestor.
- Jak pan wróci? - spytała blondynka, patrząc ze zdumieniem na swoje koleżanki.
- Obawiam się, że zaszła pomyłka, proszę pana - wtrąciła ruda.
- Nikt nigdy nie wrócił z Mrocznych Portów - odezwała się szatynka.
- Tak. Nikt nigdy - potwierdziła blondynka.
- Tu chodzi o przepustkę ważną tylko w jedną stronę -podsumowała ruda.

### Rozdział 3 W TARAPATACH

Jason Covenant ledwie wierzył w swoje szczęście; udało mu się! Znalazł ją! Zawisł na dachu Willi Argo, trzymając się jedną ręką tego, co jeszcze przed chwilą było progiem w drzwiach do wieżyczki. Na miejscu ulubionego pokoju Ulyssesa Moore'a była teraz przeraźliwa wyrwa, nad którą dyndały niebezpiecznie nogi chłopca.

Jason usłyszał jeszcze odgłos ostatniej salwy armatniej i łoskot walącej się na dziedziniec wieżyczki. Zadrżał. Zimne powietrze bladego świtu wciskało się pod sweter i piżamę, której nie zdążył z siebie zdjąć. Wyciągnął rękę z pozytywką i wrzucił przedmiot do wnętrza domu, potem uchwycił się mocniej deski progowej i wysiłkiem obu ramion podciągnął do góry.

Był w domu. Otrząpiał się nerwowo i wtedy zdał sobie sprawę, że z emocji szczęka zębami. Światło elektryczne jakby oszalało: to się zapalało, to gasło bez żadnego powodu.

Przez drzwi biblioteki wylatywały luźne kartki z książek i jakieś papiery, które opadały niczym umierające motyle na to, co jeszcze zostało z podłogi na korytarzu.

W końcu dotarły do niego niespokojne okrzyki z zewnątrz: rozpoznał głosy rodziców i siostry. Wołali go. Dał sobie kilka sekund na oddech, odkaslnął, nabrał w płuca tyle powietrza, ile tylko mógł, i odpowiedział głośno: - Nic mi nie jest! Zaraz schodzę!

Następnie ukrył pozytywkę pod ubraniem i przeskoczył przez rumowisko wokół stłuczonego lustra. Przeszedł przed drzwiami biblioteki, ale nie zajrzał do środka. Na korytarzu górnego piętra zauważył, że kłapa prowadząca na poddasze podczas wstrząsów się otworzyła.

Siedziba strażników Kilmore Cove.

Wszystko, co tu przez lata przechowywano, wszystkie tajemnice znikły na zawsze...

Próbował o tym nie myśleć i dotarł do pokoju siostry. Otworzył drzwi. Pachniało tam rumiankiem i syropem od kaszlu. Spróbował włączyć światło, ale bez skutku.

Zaczął więc po omacku szukać czegoś, co Julia znalazła prawie przypadkiem w szufladce komody, na dole, w miasteczku. To się wydarzyło zaledwie kilka dni wcześniej, a teraz wydawało się jakby przed laty. Z zewnątrz dochodził uparty dźwięk klaksonu, który pan Covenant wściekle naciskał. Z ciężkim sercem Jason uznał, że musi zrezygnować z dalszych poszukiwań.

Zbiegł pospiesznie na dół po chwiejących się niebezpiecznie schodach, przeskoczył przez tapczan na werandzie i wypadł na podwórze. Otoczyła go chmura pyłu i śmieci. W oddali zobaczył dwa tylne czerwone światła samochodu.

Pan Covenant stał obok auta przy otwartych przednich drzwiach i ręką naciskał klakson.

- Jason! Czy chcesz nas przyprawić o zawał serca? - zawołał na widok syna.

Nic nie mówiąc, Jason podbiegł do ojca i uściśnął go. Ojciec oddał mu uścisk, przytulając do siebie tak mocno, że omal go nie udusił.

- Jedziemy, szybko! - powiedział, otwierając drugie drzwiczki. Z wnętrza auta płynęło ciepłe światło, stwarzające wrażenie bezpieczeństwa.

Jason rzucił się na tylne siedzenie obok Julii, która wpatrywała się w niego w milczeniu z oczami ciągle pełnymi lęku. Uściśnięła go. Pani Covenant siedziała z przodu i spoglądała na dzieci, trzymając dłoń na ustach, niezdolna do wyrażenia klębiących się uczuć, jakie ją w tym momencie ogarnęły.

Pan Covenant włączył pierwszy bieg i samochód ruszył. Chwilę potem rozległ się grzmot, między drzewami błysnęła płomień i kolejna kula armatnia uderzyła w Willę Argo.

Jason i Julia obrócili się po raz ostatni, by spojrzeć na stary dom na urwisku. Stał tam, dostojny i zraniony, wśród stosu gruzu i szkła z roztrzaskanej wieżyczki, z uniesionym dachem, uszkodzonym poddaszem, a ze ślepych okien ciągle wyfruwały karty z książek ze zbioru Ulyssesa Moore'a.

- To się nie dzieje naprawdę... - szepnęła Julia.

Jason już nie chciał na to patrzeć. Zawsze myślał, że ten dom jest żywy albo że mieszka w nim duch opiekuńczy, ten sam, który co noc przestawiał meble i ustawiał na swoim miejscu bibeloty w gablotkach. Duch, który powinien był przeszkodzić temu, co się działo. Widok był tak przejmująco smutny, że serce mu się ścisnęło.

Walczył w obronie tego domu. Najpierw z Obliwą, potem z Podpalaczami, wreszcie z doktorem Bowenem i kuzynami Flint. To niesprawiedliwe, że tak się to kończy.

Nie mogło się tak kończyć.

Coś delikatnie zaczęło bębnić w szyby.

- Jeszcze nam tylko deszczu brakowało! - zawołał zniecierpliwiony pan Covenant, włączając wycieraczkę. Na przedniej szybie pojawiły się grube smugi brudu.

- Nic nie widać! - zawołała nerwowo jego żona.

- Wiem! Wiem, do diabła! - krzyknął poirytowany pan Covenant, skręcając w drogę schodzącą do Kilmore Cove. Nagle przystanął.

- Można wiedzieć, dokąd jedziesz?

Pan Covenant włączył i wyłączył trzykrotnie wycieraczkę, zanim znowu ruszył. - Do miasteczka!

- KTOŚ STRZELA DO NAS Z ARMATY - krzyknęła pani Covenant - A TY CHCESZ JECHAĆ DO MIASTECZKA?!

- Może potrzebują pomocy! - odpowiedział mąż.

Pani Covenant złapała go za rękę. - To nieważne! Musimy myśleć o sobie! Musimy uciekać!

Jason pokręcił głową. „Uciekać?” Bitwa się dopiero zaczęła, nie mogli akurat teraz odjechać! Spojrzał na Julię: mimo wszystko oni ciągle byli strażnikami Kilmore Cove!

Siostra odpowiedziała mu spojrzeniem i nachyliła się, by objąć matkę na przednim siedzeniu.

- Tato ma rację - rzekła łagodnie. - Oni by nas nie pozostawili bez pomocy...

Pani Covenant zaczęła cicho płakać. - Wiem... - powiedziała półgłosem.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, gdy pan Covenant bardzo wolno zjeżdżał z urwiska Salton Cliff w stronę Kilmore Cove, usiłując coś zobaczyć przez zabrudzoną szybę.

Nagle zachmurzone niebo rozświetliła błyskawica, która pojawiła się nad morzem niczym elektryczne drzewo. Rozszalała się ulewa. Wycieraczkę nie nadążały usuwać wody.

- Nie powinniśmy byli się tu przenosić... Nie powinniśmy... - łkała pani Covenant. - My jesteśmy mieszkańcami dużego miasta...

Potem, kiedy rozległ się grzmot, zamilkła.

Siedzący z tyłu Julia i Jason przysunęli się do siebie.

- Zabrałaś zeszyt? - zapytał szeptem Jason.

Przytaknęła. - A ty znalazłaś pozytywkę?

- Tak. Sprawdź, czy ktoś jest..;

Julia otworzyła zeszyt-książeczkę Morice'a Moreau, za którego pośrednictwem mogła się porozumieć z innymi czytelnikami takiej samej książeczki. Przekartkowała go pospiesznie, ale nie znalazła nikogo czytającego w tym momencie. Ani Anity, ani Malariusza Wojnicza, ani też Ostatniej.

- Nie ma nikogo. Pewnie wszyscy śpią.

- Wojnicz też? - zdumiał się Jason. - Nie zbudziły go nawet armatnie strzały?

Kiedy zjeżdżali serpentynami z urwiska, przyrzekli się uważniej czarnej brygantynie tkwiącej nieruchomo na środku zatoki: wszystkie małpy z jej dziwacznej załogi nosiły marynarskie ubrania z podkasanymi nogawkami i rękawami. Jedne przeskakiwały z masztu na maszt, inne biegały po pokładzie i zapalały lonty dział wielkimi pochodniami. Dwie szalupy spuszczone na wodę kierowały się w stronę portu, ale z tej odległości dzieci nie mogły rozróżnić, czy prowadzili je ludzie czy też małpy.

Jedynym człowiekiem, którego można było z pewnością rozpoznać, był kapitan okrętu.

Nie było wątpliwości.

- To kapitan Spencer - szepnął Jason pod nosem.

A Julia przytaknęła.

Rodzeństwo ścisnęło się za ręce dla dodania sobie odwagi.

Jason przebiegł w myślach wszystko, co Black Wulkan im opowiedział poprzedniego wieczoru, usiłując znaleźć jakiś związek między wydarzeniami ostatnich tygodni i pojawieniem się brygantyny: ucieczka Nestora, tragiczna śmierć doktora Bowena, zalanie miasteczka, ich powrót z Arkadii przez Labirynt... Ale jakkolwiek się wysiłał, nic z tego nie wynikało.

Julia tymczasem patrzyła na odcinek drogi przed nimi przez brudną przednią szybę i obliczała, kto spośród przyjaciół pozostał w Kilmore Cove. Nestor zniknął,

zabierając ze sobą cztery klucze. Leonard i Kalipso byli od tygodni na morzu. Anita Bloom wróciła do

Londynu z ojcem i braćmi Nożycami. Rick i Tommaso przebywali jeszcze w Wenecji 1751 roku...

Poczuła dreszcz przebiegający po krzyżu. Prawda była taka, że zostali w Kilmore Cove sami i oprócz Blacka Wulkana mogli liczyć tylko na siebie.

Ulewa coraz silniej smagała ulice i pan Covenant jeszcze zwolnił. Za kolejnym zakrętem zaczęły ukazywać się pierwsze domy miasteczka. Poprzez szarą ścianę deszczu widać było zapalone światła i tłum stłoczonych parasoli na ulicach. Wszyscy mieszkańcy, którzy usłyszeli huk armat bijących w szczyt urwiska, wybiegli zobaczyć, co się dzieje.

- Spójrzcie tylko! - zawołał pan Covenant, kiedy ujrzał zatłoczony deptak wzdłuż morza. Na widok takiego tłumu poczuli się podniesieni na duchu i trochę mniej samotni.

Jason szukał wzrokiem tych dwóch szalup, które dostrzegł z góry, ale nigdzie nie mógł ich zobaczyć.

Czyżby już dobiły do portu? Oparł czoło o szybę i osłonił obiema rękami oczy, żeby lepiej widzieć.

Brygantyna zaczęła się obracać, kapitan Spencer zakasywał rękawy, małpy przygotowywały następne kule do armaty.

- Tato, czy nie mógłbyś trochę przyspieszyć? - poprosił Jason, gnany ciekawością, co się dzieje.

- Oczywiście, proszę bardzo - odpowiedział pan Covenant i nagle dodał gazu.

Niespodziewany wybuch sprawił, że podskoczyli wszyscy czworo.

- Co to było? - spytała przejęta pani Covenant. - Piorun?

Po chwili następny.

Długie smugi ognia przecięły niebo nad miasteczkiem. Ludzie na plaży zaczęli krzyczeć i rozbiegać się w panicznej rozsypce parasoli. Pierwsze pociski spadły na domy i wszystkich ogarnął popłoch.

- ROBERT! NIE! ZAWRACAMY! - zawołała pani Covenant, chwytając się męża.

- A DOKĄD? - odkrzyknął pan Covenant. Uczępił się kurczowo kierownicy, mając u boku żonę, która przywarła mu do ramienia, uniemożliwiając ruchy, całkiem jakby chciała się jeszcze trzymać ostatnich okrucich normalnej rzeczywistości. Wyglądali jak dwa manekiny znieruchomiłe ze strachu.

- Tato, uważaj! - krzyknął w pewnej chwili Jason, wskazując ulicę przed nimi.

- ROBERT!

Pośrodku jezdni pojawiła się nagle grupa dziwnych postaci. Pan Covenant nacisnął klakson, żeby ustąpiły, i gwałtownie skręcił, hamując, ale samochód wpadł w poślizg na mokrym asfalcie, sunąc jak sanki po lodzie, aż wyskoczył z jezdni na skarpę od strony plaży. Zderzak grzmotnął w skałę, pojazd przemknął między krzakami i głazami, ześlizgując się po zboczu na samą plażę, a na końcu zarył się maską w piachu.

Wszystko to rozegrało się w zaledwie kilka sekund, ale zdawało się, że trwa wieczność.

Światła zgasły, silnik też i pozostało tylko bębnienie deszczu o dach i szalone ruchy wycieraczek.

- Robert? - spytała pani Covenant w nieustannym szumie ulewy.

- Miriam? - zapytał z kolei mąż.

- Dzieci, jak tam? W porządku?

Ktoś biegł wzdłuż wybrzeża po tej samej stronie, gdzie wypadli z jezdni.

Państwo Covenant mieli jeszcze w oczach obraz tych postaci, które pojawiły się znikąd w świetle latarni.

Szpady.

Włosy.

Ogony.

- Dzieci? Wszystko w porządku tam, z tyłu?

Coś zaskrobało o drzwiczki. Czyjeś kroki i osuwające się kamienie.

Pani Covenant obróciła się akurat w chwili, w której ktoś czy coś turlało się po dachu samochodu.

- ROBERT!

Zardzewiała szabla roztrzaskała z łoskotem przednią szybę.

- MIRIAM!

Przez szyby państwo Covenant ujrzeli dziesiątki przygarbionych postaci, które otoczyły samochód.

- Dzieci! Dzieci zniknęły!

Zardzewiała szabla roztrzaskała z łoskotem przednią szybę.

- MIRIAM!

Przez szyby państwo Covenant ujrzeli dziesiątki przygarbionych postaci, które otoczyły samochód.

- Dzieci! Dzieci zniknęły!

*Morice Moreau*

*Wspomnienie jego rysunków noszę schowane w głębi serca,*

*jak bywa z rzeczami widzianymi w młodości. Dlatego też nigdy nie uwierzyłem*

*CjB w ponurą legendę o jego zniknięciu...*

Rozdział 4

LIST

Malariusz Wojnicz zbudził się znieca. Wydawało mu się, że dom pani Stelli się trzęsie. Jak podczas trzęsienia ziemi. .

W ciemności pomału wymacał szafkę nocną, żeby zapalić lampkę. Chwyił za gruszeczkę z przyciskiem lampki, ale nie nacisnął go i pozostał tak na półodkryty, z odsuniętą pościelą, jeszcze oszołomiony snem. Może to mu się tylko przyśniło?

Nastłuchiwał i pierwsze, co wyraźnie usłyszał, to odgłosy deszczu za oknem. Oto i wyjaśnienie, powiedział sobie, wypuszczając przycisk lampki i wsuwając się na powrót pod koce. Ten huk, który dopiero co usłyszał, to nie było nic innego jak zwykły grzmot.

Położył się na boku, ponieważ sterta ciężkich koców nie pozwalała mu na swobodne wyciągnięcie stóp, i wsunął ręce pod poduszkę. Napawał się tym miłym uczuciem dobrowolnego uwięzienia w ciepłe.

To była jedna z tych zwykłych burz, które... '

Kolejny straszny huk. Potem łoskot. I cała posadzka domu zatrzęsała się, jakby była zrobiona z masy papierowej. Malariusz Wojnicz skoczył na równe nogi na materacu, opatulony kocami jak płaszczem.

Huk ucichł, ale przez kilka niekończących się chwil szklanki, naczynia i srebra pani Stelli nadal drżały.

Piorun musiał trafić dokładnie w ich dom!

Zszedł z łóżka i powłókł się z kocami do okna. Zerknął przez okiennice i zobaczył jakichś ludzi biegnących ulicą. Słyszał, że krzyczą, ale szum ulewy przeszkodził mu w zrozumieniu słów. Potem przeniósł wzrok na dom naprzeciwko i zauważył, że jedna ściana zawałiła się: ze świeżo powstałej wyrwy wzbila się chmura dymu i kurzu.

- Straszne... - szepnął Wojnicz z przejęciem.



Koce zsunęły się z niego na podłogę, a on zaczął mocować się z gałką przy oknie, aż udało mu się je otworzyć. Szum deszczu się nasilił.

Odepchnął okiennice i stulił dłonie wokół ust, żeby krzyknąć: „Co się tu dzieje?” - ale pytanie zamarło mu na ustach. Spoglądając w niebo, zobaczył jakieś świetliste łuki przecinające zasłonę z burzowych chmur, usłyszał świsty kul armatnich spadających na domy i łoskot walących się murów.

Z wrażenia stracił równowagę. Upadł na ziemię i zaczął chodzić na czworakach po pokoju, usiłując zrozumieć to, co przed chwilą zobaczył.

Z otwartego okna zawiewało mu na plecy strugi deszczu i słyszał krzyki.

Odnalazł po omacku swoje ubranie, włożył je byle jak, na łapu-capu, żeby tylko jak najprędzej, i już miał opuścić pokój, gdy w ostatniej chwili przypomniał sobie o zeszytce Morice'a Moreau i kartkach swego rękopisu Serce nie sługa.

Zeszyt wcisnął do kieszeni, a powieść zwinął w rulon i wsunął pod sweter, i chwiejnym krokiem wyszedł na korytarz.

Odnosił wrażenie, jakby cały dom pani Stelli przekrzywił się od samych fundamentów i kołysał niczym okręt. Głowy wypchanych zwierząt wyglądały, jakby miały za chwilę wyskoczyć ze ścian.

Nagle zobaczył drżące światełko w półmroku górnego piętra.

- Pani Stello? - zapytał.

Kolejny huk zatrzęsł całym domem jak kryształowym kielichem. Koński łeb oderwał się od ściany i potoczył po schodach w podrygach.

- O nieba! - zawołała pani Stella na górze.

Wojnicz pobiegł jej na spotkanie i znalazł ją skuloną

w rogu korytarza ze świecznikiem w ręce. Słabe światło świecy padało jej na twarz.

- Nic pani nie jest? Proszę wstać, ja pani pomogę.

Wystraszona stara nauczycielka podniosła wielkie jasne oczy i napotkała tuż przed sobą świńskie oczka swojego gościa.

- Och, co za katastrofa, panie Wojnicz... - westchnęła ciężko starsza pani, chwytając się jego ramienia. Dźwignęła się i stanęła chwiejnie na nogach, krucha i bezbronna.

- Proszę mi dać to światło... - szepnęła łagodnie Wojnicz.

- Tak, tak, oczywiście.

- I proszę coś na siebie włożyć. Musimy... - Prawdę mówiąc, Wojnicz nie miał zielonego pojęcia, co musieli zrobić, ale myślał, że mogliby zostać uwięzieni w bombardowanym domu, zupełnie mu się nie podobała. - Musimy stąd uciekać.

- Atakują nas, prawda? - zapytała nauczycielka, jakby to było coś najbardziej naturalnego na świecie. - Ba, wcześniej czy później to musiało nastąpić.

Wojnicz otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale słowa ugrzęzły mu w gardle.

- Na miłość boską - powiedziała pani Stella. - Gdyby tylko żył mój mąż...

- Chodźmy już stąd - nalegał Wojnicz.

Stara nauczycielka przytaknęła, podniesiona trochę na duchu obecnością mężczyzny, a zarazem zagubiona we własnych myślach. - Musi mi pan koniecznie oddać pewną przysługę, panie Wojnicz.

- Oczywiście! - odparł nieco niecierpliwie Malariusz. - Ale...

- To jest bardzo ważne, niech mi pan wierzy. To jest naprawdę sprawa najwyższej wagi...

- Tak, tak! Wezmę dla pani płaszcz.

- Ja poruszam się teraz powoli, panie Wojnicz.

- Mogę panią wziąć na ręce, jeśli pani zechce...

- I muszę jeszcze troszczyć się o swoją godność - uśmiechnęła się pani Stella. - Ale pan... pan mógłby mi wyświadczyć tę przysługę.

Nad ich głowami zagrzmiało niebo, po czym zapadła groźna cisza. Wojnicz widział już w wyobraźni dalsze świetliste szlaki pocisków spadających na Kilmore Cove.

- Pani Stello, zrobię wszystko, co pani sobie życzy, bylebyśmy tylko się pospieszyli!

- To proszę iść za mną. I proszę mi wybaczyć, że zaprowadzę pana do sypialni...

Stara nauczycielka kazała mu odstawić świecznik na eleganckie biurko w rogu pokoju, następnie poprosiła go, by otworzył szafę i wyjął z niej pudełko na buty.

- Pani wybaczy... - wyjąkał speszony. - Które mam wyjąć?

- Którekolwiek, wszystko jedno. Byle tylko puste.

Wojnicz wziął pudełko pachnące majerankiem, otworzył je, przechylił w stronę światła, by się upewnić, że nie ma w nim butów, i wrócił do pani Stelli, która tymczasem sięgnęła po kartkę papieru z nagłówkiem

oraz długie pióro i zasiadła przy biurku. Nie odrywając pióra od papieru, stara kobieta wskazała mu w głębi szuflady taśmę klejącą i brązowy papier pakunkowy.

- Proszę wypełnić pudełko gazetami... i włożyć do niego coś ciężkiego; zbyt lekkie paczki zazwyczaj giną.

- Proszę pani...

- Niech pan włoży, proszę - powtórzyła głosem nawykłej do posłuchu nauczycielki.

Wojnicz usłuchał bez słowa.

Parę chwil później paczka była gotowa. Pani Stella złożyła list i wsunęła go do środka, prosząc Wojnicza, by wszystko dobrze zapakował.

- W porządku - oznajmiła z zadowoleniem. - A teraz potrzebny dobry adres. Ach, ta pamięć! Czy byłby pan tak uprzejmy i przepisał adres z tego?

Wskazała na gazetę leżącą na szafce nocnej, noszącą tytuł „Echo des Fantaisies”.

- Co mam przepisać?

- Niech pan spojrzy na podtytuł.

- „Gazeta Oficjalna Miejsz z Wyobraźni”... - przeczytał Malariusz Wojnicz.

- To zaraz pod tym.

- A czy mogę wiedzieć, co my właściwie robimy?

Dom znowu zatrząsł się od kolejnego wystrzału armaty i lustro spadło na ziemię, rozbijając się na kawałki. Świeczka zgasła i pani Stella pospiesznie zapaliła ją na nowo.

- Adres, panie Wojnicz! Bardzo pana proszę! Malariusz Wojnicz sprawdził adres w gazecie i zirytowany umieścił go na paczce.

- Zrobione! - krzyknął, jakby się zwracał do wariatki. - A teraz?

- Teraz, kochany, proszę zabrać tę paczkę - powiedziała pani Stella, wciskając mu ją w rękę. - Iść na pocztę, i wysłać ją z okienka po prawej stronie, najprędzej, jak się da, i cokolwiek się zdarzy!

- Proszę pani, poczta...

- Och, niech się pan nie martwi, to okienko jest czynne nawet podczas wojny! I niech pan będzie pewien, że moja paczka zostanie doręczona. Niech mi pan zaufa. Trzeba

Wskazała na gazetę leżącą na szafce nocnej, noszącą tytuł „Echo des Fantaisies”.

- Co mam przepisać?

- Niech pan spojrzy na podtytuł.

- „Gazeta Oficjalna Miejsz z Wyobraźni”... - przeczytał Malariusz Wojnicz.

- To zaraz pod tym.

- A czy mogę wiedzieć, co my właściwie robimy?

Dom znowu zatrząsł się od kolejnego wystrzału armaty i lustro spadło na ziemię, rozbijając się na kawałki. Świeczka zgasła i pani Stella pospiesznie zapaliła ją na nowo.

- Adres, panie Wojnicz! Bardzo pana proszę!

Malariusz Wojnicz sprawdził adres w gazecie i zirytowany umieścił go na paczce.

- Zrobione! - krzyknął, jakby się zwracał do wariatki. - A teraz?

- Teraz, kochany, proszę zabrać tę paczkę - powiedziała pani Stella, wciskając mu ją w rękę. - Iść na pocztę, i wysłać ją z okienka po prawej stronie, najprędzej, jak się da, i cokolwiek się zdarzy!

- Proszę pani, poczta...

- Och, niech się pan nie martwi, to okienko jest czynne nawet podczas wojny! I niech pan będzie pewien, że moja paczka zostanie doręczona. Niech mi pan zaufa. Trzeba tylko, żeby pan poszedł na pocztę i nadał paczkę, jak powiedziałam. Zrobi pan to jeszcze tej nocy.

Wojnicz pokiwał głową zmieszany. - Mogę przynajmniej wiedzieć dlaczego?

- Powierzyłam panu podanie o dymisję i pomoc, panie Wojnicz... - odpowiedziała spokojnie pani Stella Evans.

- Za długo byłoby teraz wszystko wyjaśniać, ale... kiedy ta paczka dotrze do celu, mam powody, by sądzić, że Kil-more Cove będzie bezpieczniejsze.

- Dymisję i pomoc...?

- Cokolwiek mógłby pan pomyśleć, Krainy z Wyobraźni są o wiele bardziej niebezpieczne od tych rzeczywistych. Trwa właśnie atak i jeśli mnie słuch nie myli, to są wystrzały armatnie...

- Istotnie - zapewnił Wojnicz.

- Właśnie - nauczycielka spuściła głowę w zamyśleniu. - Sądzę, że byłam nazbyt porywcza kilka lat temu. Powinnam była wysłać to podanie, kiedy jeszcze był czas. Tymczasem pojawiło się tych dwoje dzieci...

- Bliźnięta Covenant?

Pani Stella przytaknęła. - Tak, oni. Pomyślałam, że może damy radę jeszcze przez jakiś czas stawiać opór...

- Machnęła gwałtownie ręką. - Ale nieważne! Jak to się mówi? Nie warto płakać nad rozlanym mlekiem.

Stara kobieta chwyciła Wojnicza za rękę. Jej palce były delikatne i kruche jak pręty wachlarza. - Proszę nadać paczkę i jeśli miasteczko przetrwa ten atak, to już będzie ostatni, jaki musi znieść. Wracajmy do rzeczywistości, panie Wojnicz!

Mężczyzna patrzył na nią, nic nie rozumiejąc, ale ona ograniczyła się do mocnego uściśnięcia jego dłoni i wsunięcia w nią kluczyka zawieszzonego na srebrnym łańcuszku. - Po drugiej stronie ulicy są białe drzwiczki -dodała. - Prowadzą do byłej pracowni mojego biednego męża. Od dawna tam nie zaglądałam, ale... jeśli sobie dobrze przypominam, powinny tam być jego strzelby myśliwskie. Ja ich nigdy nie używałam, ale myślę, że jeszcze działają. Naboje znajdzie pan w pudełku obok. Gdyby musiał się pan nimi posłużyć. Teraz niech już pan idzie, szybko!

Wojnicz cofnął się o krok. - A pani? Nie wyjdzie pani ze mną?

Pani Stella pokiwiała wolno głową. - Panie w pewnym wieku potrzebują trochę czasu, żeby się wyszykować. Proszę iść, a ja, jak tylko będę mogła, dołączę do pana.

A jednak w jej głosie było coś dziwnego... Jakby w gruncie rzeczy kobieta wcale nie zamierzała się ruszyć z domu.

Malariusz Wojnicz jednak nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Wziął dziwną paczkę pod pachę, zbiegł ze schodów i już był na parterze, gdzie z przyjemnością znów poczuł twardy grunt pod nogami. Chwycił za swój stary parasol, pożyczył sobie jakiś plecak i wsunął do środka paczkę, rękopis i zeszyt Mori-ce'a Moreau. Następnie otworzył drzwi i dał nura w ulewę. Rozróżnił od razu białe drzwiczki, o których mówiła pani Stella, otworzył parasol i skierował się w ich stronę.

O ile dobrze pamiętał, mąż pani Stelli był zapalonym preparatorem, czyli kimś umiejącym wypychać i konserwować ciała zwierząt. Nie mógł wprost zrozumieć, jak ktoś taki mógł być jednocześnie myśliwym. Ale to były inne czasy, powiedział sobie, i przeszedł przez ulicę.

Chociaż trudno mu było się z tym pogodzić, to jednak historia z paczką nasunęła mu myśl, że nauczycielka nie miała wszystkich klepek w porządku. Szkoda, bo dopiero co poprzedniego wieczoru wypowiedziała wiele dobrych słów o jego powieści i te komplementy wydały mu się szczerze i...

Nagle przystanął.

Na drugim końcu zaułka pojawiła się wielka małpa ze szpadą i w pirackiej opasce na głowie.

- To po prostu niemożliwe - mruknął Malariusz Wojnicz spod parasola.

Małpison podniósł zardzewiałą szpadę i wydał jakiś ochryply pomruk.

- Tego już doprawdy za wiele! - wrzasnął szef Podpalaczy. - Chcesz ze mną walczyć? To się zbliż! Opuścił szybko parasol i pokręcił rączką, wypuszczając zeń potężny płomień, który podpałił ulicę od krańca do krańca.

## Rozdział 5

### MAŁPY Z MORZA

- Uciekamy, prędko! - szepnął Jason do siostry.

- A mama i tata? - zmartwiła się Julia, wskazując samochód, który ześlizgnął się ze skarpy i z którego oboje zdolali wyskoczyć w ostatniej chwili. - Tam zostali rodzice!

Jason pociągnął ją za rękę. - Wygrzebią się! Nic im się nie stało!

Popchnął ją gwałtownie na ziemię i oboje nagle zamilkli. Kilka metrów od nich dwie przygarbione postacie kierowały się pod górę drogą wiodącą do Willi Argo. Jason i Julia spoglądali za nimi przez przemoknięte krzewy na poboczu drogi.

- Jason...

- Ciii! Usłysz nas!

Ale przy takiej ulewie i armatach, które znowu podjęły ostrzeliwanie miasteczka, i przy szumie fal bijących o skały trudno by było doprawdy słyszeć ich szepty.

- To małpy - szepnęła Julia, rozpoznając chwiejny chód dziwnych istot, które pojawiły się na ulicy.

- Nie, ten tam!

Jason wskazał jej roslą postać obok samochodu rodziców. Był to ciemnoskóry mężczyzna, odziany w łachmany; miał podartą bluzę, brudną koszulę rozpiętą na piersi, pretensjonalny złoty łańcuch i długie wisioriki przyczepione do włosów. Wyglądało na to, że to on wydaje rozkazy małpom.

- Myślisz, że... zrobią im krzywdę? - spytała Julia, czując ukłucie w sercu na myśl o uwięzionych w samochodzie i przerażonych rodzicach.

Zatroskany brat pokręcił głową. - Nie wiem...

Starał się poważnie zastanowić nad tą absurdalną sytuacją, ale zimny deszcz wciskał mu się w każdą fałdę ubrania i przeszkadzał zebrać myśli. Po raz nie wiadomo który Jason żałował, że nie ma z nimi Ricka, który zawsze umiał coś mądrze doradzić.

Piraci. Małpy. Brygantyna o czarnych żaglach, która nie przestawała ostrzeliwać ich z dział. Uwięzieni rodzice.

W tej sytuacji konieczna była pomoc kogoś z zewnątrz. Potrzebowali jej ogromnie, i to już.

Kryjąc się za krzakami, żeby ich nie zobaczyli ci na plaży, zaczęli iść nabrzeżem w stronę miasteczka.

- Dokąd idziemy? - szepnęła Julia, podążając za bratem. - Nie możemy zostawić rodziców!

- A co proponujesz? Chcesz, żeby schwytali i nas? - odpowiedział pytaniem Jason. - Idę zawiadomić ludzi.

Julia podbiegła do niego bliżej i zmusiła, żeby na nią spojrział. Odgarnęła mokre włosy przylepione do czoła. - A potem? Co potem? - spytała, hamując kichanie.

- Nie wiem! Nie mam zielonego pojęcia! - wybuchnął Jason. - Ale nie będę tu stał i czekał na zmiłowanie. - Obrócił się na pięcie i zaczął biec w stronę miasteczka.

Julia spojrzała jeszcze przez moment na samochód rodziców zaryty w piachu na plaży. Potem wzięła głęboki oddech, odwróciła się i puściła biegiem za bratem.

Wbiegli w zaułki i wkrótce znaleźli się w pobliżu placu, na który niedawno wylegli wszyscy mieszkańcy miasteczka, żeby obejrzeć spektakl ogni nad zatoką. Teraz biegiem mijali ich, pędząc w popłochu.

- Przepraszam! Przepuście mnie!

- Widzicie, co za historia...?

- Do schronów, szybko!

Parasole, mokre peleryny, ogólne „ratuj się kto może”.

Rodzeństwo próbowało iść pod prąd strumienia ludzi, którzy opuścili swoje domy, kierując się nie wiadomo dokąd i teraz biegli w jednym kierunku, jakby to był jakiś maraton. Dzieci bezskutecznie próbowały wyłowić w tym tłumie znajome twarze.

- Uwaga! - krzyknęła nagle Julia, gdy kula armatnia utknęła w piasku niedaleko nich.

- Tędy! - zawołał Jason, przebiegając na drugą stronę deptaka wzdłuż plaży. Miał w głowie dokładny plan: chciał dotrzeć na Pempley Road i stamtąd na stację do mieszkania Blacka Wulkan.

Biegli, trzymając się blisko ścian domów i kucając za każdym razem, kiedy słyszeli syk lub łomot. Na wysokości domu Ricka skręcili, nie patrząc przez moment w główną ulicę i wpadli na kogoś, kto biegł w przeciwną stronę.

- Black!

- Jason! Julia! Dzięki Bogu, że jesteście cali i zdrowi!

Stary przyjaciel, były zawiadowca stacji w Kilmore

Cove, przejechał dłonią po brodzie gęstej jak las, strząsając z niej strugi deszczu, i wskazał Willę Argo spowitą w mroku. - Bałem się, że już was nie zobaczę!

Miał na sobie obszerny czarny płaszcz, który upodabniał go do potężnego nietoperza. W rękę trzymał długą rozsuwaną lunetę.

- A wasi rodzice?

- Schwytali ich.

Black przytulił do siebie najpierw jedno, potem drugie i powiedział: - Nie martwcie się, zobaczycie, że całkiem niedługo uściśnecie ich znowu!

- To Spencer, prawda? - zapytała Julia, wskazując brygantynę pośrodku zatoki.

Black popatrzył na okręt przez chwilę, po czym skinął potakująco głową. Wręczył lunetę Jasonowi, który nastawił ją na okręt. Po chwili zobaczył kapitana.

- Przeklęty łotr.

- Możesz użyć mocniejszych słów. On jest jak śmiertelna choroba. Myślisz, że już ją pokonałeś, i kiedy się tego najmniej spodziewasz, wraca.

W okularze lunety widać było mężczyznę o surowym profilu, przyglądającego się obojętnie obracaniu w grzy Kilmore Cove. Stał oparty o burtę, z rękami założonymi do tyłu, w eleganckim mundurze

marynarskim ze złotymi guzikami, w czapce z daszkiem ze złotą kotwicą nad czołem i w groteskowym naszyjniku z czaszek na szyi.

- Spójrz na jego uszy - powiedział Black.

Jason przesunął nieco lunetę i zobaczył, że Spencerowi brakuje kawałka prawego ucha. Pamiątka po ostatnim spotkaniu z Ulysessem Moore'em... Opuścił gwałtownie lunetę. - Po co on tu się zjawiał? Black pochylił głowę. - Jak na razie po to, żeby dać nam do zrozumienia, że jest bardzo, bardzo rozgniewany.

Julia przejęła lunetę z rąk brata. - Wczoraj powiedziałeś nam, że... uwięziliście go na wyspie, z której nie ma wyjścia. I że uprowadziliście jego okręt.

- Tak - warknął Black. - A jego stara załoga się zbuntowała. Nie rozumiem po prostu, jak zdołał uciec!

- Może załoga wróciła po niego? - domyślił się Jason.

- Może. Ale zachodzę w głowę, jak udało im się odnaleźć okręt...

- A to... ten sam?

- Dokładnie ten, nie mam wątpliwości: Mary Grey, jego niezrównana brygantyna o czarnych żaglach... a przecież zwinęliśmy je wszystkie. I jak wam powiedziałem, okręt został dobrze ukryty w głębi nieprzebytych bagien. Już nie mówiąc o... Pioruny i błyskawice! Ale to... niemożliwe!

- Co jest niemożliwe?

Black wyglądał na wstrząśniętego. - Nawet jeśli uciekł z wyspy, nawet jeśli odzyskał swój okręt i załogę... to niemożliwe, żeby odnalazł kurs na Kilmore Cove! Niemożliwe!

Julia znowu zaczęła obserwować pomost brygantyny. - On nie jest sam.

- Kogo widzisz? - zapytał ją Jason.

- Kogoś z twarzą przysłoniętą kapturem. Ale ręce ma nie takie jak małpa.

- Razem z typem, którego widzieliśmy przy samochodzie rodziców, jest ich w sumie trzech.

- Jakim typem? - zapytał Black, otrząsając się ze swoich myśli.

Jason krótko mu opowiedział o wypadku i były zawiadowca pokiwał głową.

- A widzieliście jego nos? Uszkodzony tu i tu?

Jason przytaknął. - Znasz go? - zapytał.

- Może to rzeczywiście członek jego starej załogi. Jak, u licha, on się nazywał..? OSTROŻNIE!

Cała trójka przylgnęła do muru, kiedy salwa pocisków poleciała na fasady domów nad morzem.

- Musimy powstrzymać Spencera albo zburzyć całe Kilmore Cove! - zawołał Jason. - I musimy uwolnić rodziców!

- Tak! - potwierdził Black bardzo poruszony, przeszukując hałaśliwie kieszenie pod płaszczem. - Posłuchajcie: pierwsza sprawa, o której trzeba teraz pomyśleć, to ukryć bezpiecznie mieszkańców miasteczka.

Dzieci przytaknęły. Widziały ich biegnących w jednym kierunku i spytały Blacka, czy wie, dokąd pędzą.

- Tak. Przewidzieliśmy to - odpowiedział, majstrując coś przy pasku. - Peter zawsze powtarzał, że wcześniej czy później do tego dojdzie. Przygotowaliśmy się więc...

- Przewidzieliście bombardowanie?

- No, może nie akurat bombardowanie. Petera prześladował lęk przed atakiem kawalerii mongolskiej czy dusicieli z Malezji. Ale w każdym razie przed jakimś atakiem, co na jedno wychodzi...

W końcu jednym szarpnięciem uwolnił dwa ogromne pęki kluczy, wyglądające na takie, co to pojawiły się prosto ze średniowiecza. I tak rzeczywiście było, zważywszy, że inicjały na nich umieszczone pochodziły z kuźni Baltazara, mistrza ślusarskiego z Ogrodu Księdza Jana.

- Bierzcie! - zawołał Black, wręczając jeden pęk Jaso-nowi, a drugi Julii.

- I co mamy z nimi zrobić?

- To są klucze od schronów. - Black Wulkan tupnął mocno o ziemię. - Wiecie doskonale, że tu pod spodem znajduje się cały system grot i tuneli...

Jason i Julia przytaknęły.

- Ale nie wiecie, że są całkowicie wyposażone! A przynajmniej były w pełni wyposażone, kiedy byliśmy tam ostatni raz. Są łóżka, żywność, leki. Klucze powinny normalnie działać, jednak bądźcie ostrożni: drzwi schronów mają system zamków tak pomyślany, że zamknięte od środka nie dadzą się otworzyć od zewnątrz.

- A którądy się wchodzi do tych schronów?

- Tamtędy, dokąd wszyscy biegają. - Black wskazał ulice dokoła nich. - Są dwa główne wejścia: jedno przez szkołę, a drugie przez kościół Świętego Jakuba. Ojciec Feniks powinien już tam być...

- On też ma klucze? - zapytała Julia.  
- Jasne. Ale idźcie mu pomóc, bo na pewno tego potrzebuje! - zachęcił ich były zawiadowca i poklepał oboje po przemoczonych plecach.  
- A ty? - zapytał zdyszany Jason.  
Black Wulkan wyjął lunetę z rąk Julii. - Ja... pędzę do latarni. I spróbuję wezwać pomoc.  
- A kogo możemy prosić o pomoc twoim zdaniem? - spytał zdumiony Jason.  
Black otarł krople deszczu z oczu. Jediną rzeczą, jaka mu przyszła do głowy, był kontakt radiowy przez urządzenie, które zainstalował Leonard u siebie. Może mógłby za jego pośrednictwem skontaktować się z którymś z przyjaciół w podróży.  
A zwłaszcza z jednym z nich...  
- Peter Dedalus. Projektował broń - wyznał dzieciom. - Broń, której nigdy nie użyliśmy i z której nie wystrzeliliśmy ani razu, ponieważ Ulysses i pozostali nie zgadzali się, ale... - Wskazał dymiące urwisko Sal ton Cliff. - Jest ukryta pod nim, pod opieką Metis... I gdyby tylko dało się jej jeszcze użyć, byłaby cholernie przydatna akurat teraz.  
- Jeszcze jak... - szepnął Jason.  
Black klasnął. - Do roboty! Ruszamy! I zgotujemy temu bezdusznemu piratowi powitanie, na jakie zasługuje!  
Gdy tylko się rozstali, Jason przypomniał sobie, że nie powiedział Blackowi o pozytywce. Wsunął rękę do kieszeni i wymacał ją czubkami palców. Potem zwiesił głowę i pomyślał, że w gruncie rzeczy ten mały przedmiot nie był wcale tak ważny, jak sądził.

## Rozdział 6 DO SCHRONÓW

Na ulicy kolejne kule armatnie gwizdały nad głowami bliźniąt Covenant, zwalając kominy z dachów i rozbijając witryny. Przy każdym świcie ludzie szukali pospiesznie schronienia w sieniach starych domów albo pod przejściami ustawionymi zaledwie kilka dni wcześniej, żeby móc się poruszać po ulicach zalanych błotem.  
Kiedy w końcu Julia z Jasonem dotarli na plac przed kościołem, zobaczyli ojca Feniksa wprowadzającego do środka świątyni tłum mieszkańców. Zrobili kilka kroków w kierunku księdza i nagle Jasona coś powstrzymało.  
- Co się dzieje? - spytała Julia.  
- Coś zobaczyłem - odpowiedział.  
Nie był całkiem pewien. Kątem oka spostrzegł jakiś płomień, który na moment rozświetlił mury w zaułku po lewej stronie, a zaraz potem przygarbioną postać biegnącą i wrzeszczącą jak zwierzę. Czyżby jedna z małą z morza?  
- To nieważne! - zrugła go Julia. - Teraz musimy iść do ojca Feniksa!  
Jason przekazał jej pęk swoich kluczy. - Rzucę tylko okiem. Może znajdę sposób, żeby pomóc mamie i tacie. Zaraz do ciebie dołączę!  
- Jason... - próbowała protestować Julia. - Och, do licha! Z twoim wścikłym uporem to już chyba nic się nie da zrobić! Spróbuj chociaż nie wpakować się w jakieś kłopoty, jak zwykle!  
Brat odbiegłszy już kilka kroków obrócił się i puścił do niej oko. Potem wpadł w zaułek i zniknął w strumieniach deszczu.  
I tak, w niecałe pięć minut, Julia Covenant została na placu Świętego Jakuba sama, pod potokami ulewnego deszczu, który wyginał parasole, i pod regularnym ostrzałem armatnim, z dwoma ogromnymi pękami średniowiecznych kluczy w rękach.  
Była to sytuacja tak absurdalna, że można by się uśmieć, gdyby nie to, że Julia nadal pozostawała w szoku z powodu schwywania rodziców.  
- Odwagi, damy radę... - powiedziała do siebie, ruszając biegiem w stronę gęstniejącego tłumu przed wejściem do kościoła.  
Chwilę potem stary dom urzędu miejskiego, ten, w którym znajdowała się maszyna demograficzna Freda Spiczuwu, runął na ziemię w chmurze pyłu. Ludzie na placu krzyczeli z przerażenia. Julia ominęła grupę rybaków usiłujących nieść pomoc starym ludziom w domach, wyminęła też strażaków i kilku policjantów

usiłujących utrzymać pozory porządku. A gdzie był burmistrz i inni ważni urzędnicy, kiedy następowały powodzie, pożary i... napady piratów?

- Przepraszam! Przepuście mnie! Muszę się dostać do ojca Feniksa! Przepraszam!  
Ludzie rozstępowali się na widok kluczy, które Julia niosła wysoko nad głową, dając znak, że ma coś ważnego do przekazania.

- Ojczy Feniksie! To ja! Julia!

Ksiądz z Kilmore Cove miał zmierzwiłone włosy i spojrzenie kogoś, kto właśnie stoczył walkę na pięści z diabłem. - Julio! Jak się masz?

Nie tracąc czasu na grzeczności, dziewczynka pokazała mu klucze.

Na ich widok twarz ojca Feniksa natychmiast się rozjaśniła. Dał Julii znak, by podeszła za nim na próg katedry, tam wziął klucze i ucałował dziewczynkę. - Niech Bóg będzie błogosławiony! Gdzieś ty je znalazła?

- To Black - odparła dziewczynka, jeszcze dysząc z pośpiechu.

- Są nam potrzebne jak powietrze! Ja mam tylko te do wejścia przez kościół, ale nie mam tych od szkoły! -ucieszył się proboszcz Kilmore Cove, ciągle nie wierząc własnym oczom, po czym zwrócił się do wiernych: - Naprzód! Naprzód! Wchodźcie po kolei! Idźcie do zakrystii i potem w dół po schodach! Tam są ministranci, którzy pokażą wam drogę!

Cofnął się o krok i zwrócił do Julii. - Ja muszę zostać tutaj, z nimi... - powiedział, wskazując tłum tłoczący się przy wejściu. - Ale... Hej! Ty i ty!

Na to wołanie księdza, podeszli do niego dwaj chłopcy z niepewnymi minami. Ojciec Feniks wskazał na Julię i polecił im, by szli za nią. - I róbcie wszystko, co wam powie. Jasne? - Potem spojrzął na dziewczynkę. - Idźcie do szkoły i otwórzcie ją: wejście do schronów znajduje się w piwnicy, za izbą sprzętaczek. Zbierzcie każdego, kogo się tylko da, i zaprowadźcie tam.

Julia kiwnęła głową, nieco oszołomiona. - Dobrze.

- Wiem, że mogę na tobie polegać. Dasz radę - powiedział jeszcze ojciec Feniks i uściskał ją, przekazując swoje błogosławieństwo.

Jason dobiegł do rogu zaułka, nachylił się i wyjrzał. Nie zobaczył nikogo z wyjątkiem małego człowieczka z długim czarnym parasolem, pochylonego przed białymi drzwiczkami, w których majstrował kluczem.

- Panie Wojnicz! - zawołał, rozpoznając go prawie od razu.

Szef Podpalaczy skierował odruchowo parasol przeciwko chłopcu, znów gotów w każdej chwili strzelić ogniem.

- To ja! - zawołał Jason, wysuwając się zza muru z podniesionymi rękami.

Wojnicz opuścił parasol i chłopiec, przemoczony do suchej nitki, podszedł do niego.

- Myślałem, że to następna z tych przeklętych bestii -szepnął Wojnicz, szarpiąc się ciągle bezskutecznie z zamkiem. - A niech to...!

- Pan pozwoli, ja spróbuję - zaproponował Jason. -A pan niech mi osłania tyły...

Klucz zaplątał się w srebrny łańcuszek. Deszcz wszystko namoczył i sprawił, że wyślizgiwało się z palców, ale Jasonowi udało się wyplątać klucz z łańcuszka i otworzyć zamek. Pchnął lekko drzwiczki i już byli w środku. Poszukali po omacku kontaktu i kilka sekund później jakaś żarówka oświetliła mały przedpokój, gdzie na ścianach wisiały liczne dyplomy. Jason zdążył kilka przeczytać: Złoty Jeleń 1974. Wielka Nagroda Niedźwiedzia. Mistrz Preparator. ..

- Co to za miejsce? - spytał.

- To pracownia męża pani Stelli - burknął Wojnicz, nie wchodząc w szczegóły. - Powinniśmy tu znaleźć coś przydatnego...

- Przydatnego do czego?

Szef Podpalaczy sprawdził, czy białe drzwiczki są dobrze zamknięte od wewnątrz, potem strzepnął wodę z parasola i poszedł w głąb pracowni. Zrobił kilka kroków i przystanął przed telefonem wykonanym z czarnego bakelitu.

- Przydatnego, jak na przykład to... - powiedział.

Podniósł słuchawkę, wykręcił numer cyfra za cyfrą, uważając, żeby za każdym razem tarcza stanęła na zerze, po czym podniósł słuchawkę do ucha. Odczekał kilka sygnałów, w końcu niecierpliwie odłożył słuchawkę i wybuchnął.

- Oczywiście zajęte! Ponieważ moi podwładni nie muszą płacić abonamentu, to spędzają czas na gadaniu przez telefon. Nawet o czwartej rano! Pierwsza rzecz, jaką zrobię, jak tylko się skończy ta cała historia, to wszystko wyłączę. Do diabła z Podpalaczami i naszym zastrzeżonym numerem alarmowym. Wściekły Malariusz Wojnicz przeszedł do następnego pomieszczenia, a w ślad za nim udał się Jason.

Zobaczyli pierwsze wypchane zwierzęta poustawiane na ściennych półkach: pawia, szarą papugę, gazelę. Szafy były upchane narzędziami tego zapomnianego dziś rzemiosła: nożyce, pincety, linijki, pojemniki na mydło, miski i miseczki, waty różnego rodzaju, rozpuszczalniki, kleje, szablony z polistyrenu, kosze z trocinami, druciane szkielety, szklane lakierowane kulki, gąbka kauczukowa.

- Tu ich nie ma... - mruknął Wojnicz, rozglądając się dokoła zawiedziony.

W następnym pokoju, przed wyjściem na tyły domu, znajdowały się setki owadów zawieszonych na ścianach. Były tak piękne, że wyglądały jak żywe: skrzydła chrząszczy majowych zachowały metaliczny połysk, a ćmy wydawały się ciągle pokryte aksamitnym meszkiem.

Jason zatrzymał się, by je podziwiać, podczas gdy Wojnicz wszedł do ostatniego pomieszczenia laboratorium.

- Oto i one! - zawołał Podpalacz zadowolony.

Chłopiec podszedł do niego i stanął jak wryty...

Zarówka pod sufitem rzucała na ściany długi cień

Malariusza Wojnicza pochylonego nad szufladami szafy w ścianie, w których znajdowały się dwie starodawne strzelby myśliwskie: ręcznie ładowana dwururka i wiatrówka Beretta. Szef Podpalaczy wyciągnął jakieś pudełko i przeczytał opis zawartości: - Sophor 45. Te uśpią nawet słonia. Trzymaj! -

Rzucił Jasonowi naboje usypiające. Chłopiec podniósł odruchowo rękę, by je schwycić, ale tak naprawdę był myślami całkiem nieobecny - nie mógł oderwać wzroku od czegoś w głębi pokoju.

Wojnicz tymczasem zdjął z haków w szufladzie obie strzelby, jedną zawiesił sobie na ramię, a drugą podał Jasonowi.

- Możemy iść, chłopcze. Ale, ale... Co się z tobą dzieje? Nigdy w życiu nie miałeś w ręku broni? Jason nie reagował.

- Czego stoisz jak słup soli? - mruknął zniecierpliwiony Podpalacz.

Jason uniósł strzelbę i lufą wskazał wypchane ogromne zwierzę kilka kroków od nich.

Szef Podpalaczy w końcu się obrócił, żeby spojrzeć. - Co takiego znowu dziwnego? Ach, to! Ten potwór to... to jest...

Jednak słowa utknęły mu w gardle.

- Co to jest pana zdaniem, panie Wojnicz? - zapytał cichutko Jason.

- Ba, to jest wstrętne... i jest... doprawdy przerażające, ale myślę... że tego... że to jest tylko kukła z drutu i... masy papierowej...

- A gdyby to było prawdziwe?

- W tym nieprawdopodobnym wypadku... - Wojnicz przełknął z trudem ślinę - znaczyłoby, że ktoś przyniósł do wypchania mężowi pani Stelli... jak by to powiedzieć? Smoka?

- Prawdziwego smoka... - szepnął Jason. - Ale gdzie ten ktoś mógł go znaleźć? I jak udało mu się go zabić?

- To nie czas na takie pytania, nie wydaje ci się?

Wojnicz złamał swoją dubeltówkę, wprowadził dwa naboje i zamknął broń z suchym trzaskiem.

Nagle z zewnątrz dało się słyszeć drapanie do drzwi wejściowych. Potem jakieś zwierzęce skowytu i kroki tam i z powrotem.

- Ciii... - szepnął Wojnicz, gasząc szybko światło.

Spod białych drzwiczek dochodziło ciężkie sapanie, jakby ktoś próbował węszyć przez szpary.

- Chyba nas znaleźli... - szepnął Wojnicz, chwytając oburącz za strzelbę i kierując ją w stronę drzwiczek.

Jason załadował swoją broń i zrobił to samo. Wypchany smok! Dlaczego nie odkrył go wcześniej, kiedy miał dużo czasu, by go zbadać i dopytać się o wszystko, a może odkryć, w jaki sposób ten legendarny stwór dotarł aż tutaj?

Jakieś tępe narzędzie uderzyło o płycinę drzwi wejściowych, że aż wygięła się do środka. - Spróbujemy drogo sprzedać nasze skóry, jeśli się ze mną zgodzisz.

- Zgadza się z panem jak nigdy, panie Wojnicz... - odparł Jason.

Czekali na następny atak, cofając się ze strzelbami gotowymi do strzału aż do telefonu. Wojnicz spojrział na aparat, opuścił broń i na nowo wykręcił numer Podpalaczy.

- Wolny - szepnął, trzymając słuchawkę przy uchu.

Przy drugim sygnale drzwiczki otworzyły się z łoskotem.



Rozdział 7  
RUSZAJĄ NASI

- Doskonale, są dwie możliwości - podsumował kędzierzawy, zwracając się do blondyna.

- Znaczy?

- Pierwsza, że nasz szef sobie zdrowo popił.

- A druga?

- Że zgraja małą uwięziła go w pracowni preparatora, który wypchał smoka.

- Co samo w sobie warte jest podróży. - Blondyn wstał z fotela i wyrzał przez okno na Frognał Lane. Słońce weszło przed kilkoma minutami, ale londyńskie latamie rozsiewały jeszcze blade światło. - Spałeś?

- Jakieś dwie, trzy godzinki ciurkiem - zażartował kędzierzawy, szukając czegoś do picia w ruchomym barku. Nie znalazłszy niczego, co by mu odpowiadało, poszedł do kuchni. Chwilę potem rozległy się głuchy wybuch i dziwne syczenie. - Do licha! Ile razy ci mówiłem, żebyś nie potrząsał puszką, zanim nie schłodziś jej w lodówce!

Blondyn skrzyżował ręce na plecach i dalej wpatrywał się w latamie. Pomyślał, że przypominają cebulki elektrycznych kwiatów albo owady w chitynowym pancerzu.

- Jeśli o mnie chodzi - krzyknął w stronę kuchni - to ruszałem tę puszkę dwa tygodnie temu, czyli kiedy ostatni raz byliśmy w domu. - Odczekał, aż kędzierzawy przywlecze się z powrotem do pokoju, dał mu łyka, i zapytał:

- No to co powinniśmy zrobić?

- Co ci mam powiedzieć! Zgraja małą. Tylko tego nam brakowało.

- Nie jest to aż taka niespodzianka. Jeśli dobrze pamiętam, również nasz agent w Wenecji miał problemy z małpami.

Kędzierzawy spojrzał na brata pytająco, a blondyn ciągnął: - Pamiętasz, co nam opowiadał Eco? Że kiedy schwytał Tommasa, to chłopaka uwolnił oddział oszalałych małą.

Wysączyli ocalałą resztkę napoju.

- Chcesz mi powiedzieć, że z jakiegoś nieznanego powodu... małpy mają coś przeciwko nam?

Blondyn pokiwał w zamyśleniu głową. - Istotnie, wygląda to co najmniej dziwnie... - szepnął.

- Sądzę, że wypada nam obdzwonić pozostałych członków klubu.

- Chyba tak.

- Zadzwoń ty czy ja mam to zrobić?

Zadzwoił blondyn: wykręcił numer, a jednocześnie

oglądał sobie w lustrze sińce pod oczami. - Kiedy ta historia się skończy, chcę wziąć co najmniej dziesięć dni urlopu i zrelaksować się w jakimś spa. W Bath, albo może w Baden-Baden. Albo we Włoszech, czemu nie?

- Słucham? - odezwał się głos po drugiej stronie drutu.

- Pires? Zbudziłem cię?

- A, to pan. Nie proszę pana, nie zbudził mnie pan. Od dawna jestem na nogach, sprawdzam coś w papierach. To z powodu czarnych żagli, jakie znaleźliśmy wczoraj w nocy w piwnicy, wie pan? I również z powodu sprawy tej pani De Briggs. Mam kilka ciekawych wiadomości.

- Potem nam przekażesz te nowiny, Pires. Teraz są sprawy pilniejsze od czarnych żagli i pani De Briggs. Właśnie otrzymaliśmy wezwanie o pomoc od Wojnicza.

- Dla niego czy dla jego siostry?

- Dla niego - odpowiedział blondyn.

Z drugiej strony telefonu majordomus w służbie Podpalaczy najwyraźniej odetchnął z ulgą.

Blondyn pokiwał w zamyśleniu głową. - Istotnie, wygląda to co najmniej dziwnie... - szepnął.

- Sądzę, że wypada nam obdzwonić pozostałych członków klubu.

- Chyba tak.

- Zadzwoń ty czy ja mam to zrobić?

Zadzwoił blondyn: wykręcił numer, a jednocześnie oglądał sobie w lustrze sińce pod oczami. - Kiedy ta historia się skończy, chcę wziąć co najmniej dziesięć dni urlopu i zrelaksować się w jakimś spa. W Bath, albo może w Baden-Baden. Albo we Włoszech, czemu nie?

- Słucham? - odezwał się głos po drugiej stronie drutu.

- Pires? Zbudziłem cię?

- A, to pan. Nie proszę pana, nie zbudził mnie pan. Od dawna jestem na nogach, sprawdzam coś w papierach. To z powodu czarnych żagli, jakie znaleźliśmy wczoraj w nocy w piwnicy, wie pan? I również z powodu sprawy tej pani De Briggs. Mam kilka ciekawych wiadomości.
  - Potem nam przekażesz te nowiny, Pires. Teraz są sprawy pilniejsze od czarnych żagli i pani De Briggs. Właśnie otrzymaliśmy wezwanie o pomoc od Wojnicza.
  - Dla niego czy dla jego siostry?
  - Dla niego - odpowiedział blondyn.
- Z drugiej strony telefonu majordomus w służbie Podpalaczy najwyraźniej odetchnął z ulgą.
- Wstrzymaj się jeszcze z odpoczynkiem, Pires. Trzeba wezwać na zbiórkę wszystkich członków klubu i ruszyć w drogę. Misja „Alfa Alfa”. Pozycja „Grudzień 2012”: koniec świata bliski.
  - Doskonale, proszę pana. Czy mam też powiadomić pannę Bloom?
  - A wiesz, jak ją złapać?
  - Zanim przyszedł po nią ojciec, wczoraj wieczorem zostawiła mi numer swojej komórki, prosząc, żebym jej przekazywał wszelkie nowiny.
- Blondyn uśmiechnął się pod wąsem. - Zatem zgoda. Zawiadam ją. Powiedz jej, że wszyscy wyruszamy do Kil-more Cove. Wyjaśnij, że musimy wyjechać natychmiast, i niech będzie przed domem za, powiedzmy... dwadzieścia minut od teraz.
- Bardzo dobrze, proszę pana. Wszystko załatwię.
- Blondyn odłożył słuchawkę. - Uwielbiam tego człowieka - powiedział, odkrywając jednocześnie w lustrze nowy kosmyk siwizny na głowie.
- O kim mówisz? - zapytał kędzierzawy, który tymczasem poszedł się przebrać.
  - O Piresie - odparł blondyn, podchodząc do brata przed wejściem do przebieralni. - Możesz mu oznajmić, że za pół godziny zwali się nam na głowę meteor, a on ci odpowie: „Jedną czy dwie kostki cukru do herbaty, proszę pana?”.

## Rozdział 8

### MROczne PASZPORTY

Biuro Wizowe przypominało salon mody. Były tam żyrandole, wielkie lustra i portierey na ścianach, gładki parkiet z jasnego drewna i niekończąca się galeria gipsowych popiersi. Na widok wszystkich tych rzeźb mały Flint poczuł taki sam lekki dreszcz obrzydzenia, jakiego doznał kiedyś podczas szkolnej wycieczki do muzeum ze starociami.

W pewnej chwili zza ciężkiej kotary wychylił się chudy jak tyczka rozczochrany dryblas w garniturze z fioletowego aksamitu, z upudrowaną twarzą i umalowanymi na czarno oczami. - Cu-dow-nie! - wykrzyknął piskliwym głosem.

- O Boże! - mruknął mały Flint. - Jeszcze jeden wariat.

Nestor stojący obok niego milczał.

- Proszę dalej, zapraszam! - zachęcała ich dziwna kreatura. - Tędy!
- Przynajmniej zachowuje się uprzejmie - powiedział cicho ogrodnik, kuśtykając za zastony i żyrandole.

Znaleźli się przed skomplikowaną maszyną, która w jakiś sposób przypominała pracownię fotograficzną. Dziwny chudzielec ustawiał jakieś wielkie owalne wygięte soczewki zaczepione na długich metalowych wysięgnikach, a te z kolei były przymocowane do żelaznej konstrukcji pod sufitem. Łączyła się ona z podłogą przez metalową wieżę pełną rur, misek, transporterów, ręcznych miechów, zaworów motylkowych, haków i haczyków, które kołysały się w powietrzu.

- Proszę, rozgośćcie się! Jedna chwilka i jestem do waszej dyspozycji - zawołał śpiewnie chudy gość w fioletach, mocno sepleniąc. Rzucił okiem na Nestora i podregulował ustawienia soczewek. Przyglądził sobie niesfomą czuprynę i wziął głęboki wdech: - Bardzo mi miło pana poznać; ja nazywam się Styczeń - przedstawił się, wyciągając rękę do Nestora. Kiedy się uśmiechał, obnażał dwa zabójcze siekacze, całkiem jak u królika. - Zajmuję się Wizami i Mrocznymi Paszportami.

Nestor obojętnie uściśnął mu dłoń.

- Świetnie, właśnie potrzebujemy dwóch paszportów. Styczeń spojrzał na małego Flinta i zapytał: - Dla niego też?

- Tak - odparł Nestor bez wahania. - My to już sami załatwimy z panienkami z urzędu „Nici Ariadny”.

- Ależ to fantastycznie! - zawołał rozpromieniony Styczeń. - Nigdy nie przygotowywałem dokumentu dla dzieciaka! Co za za-ba-wa!

„Dzieciak”, o którym była mowa, całą siłą powstrzymywał się od chęci przyłożenia mu pięścią w nos.

- Gdyby pan tak zechciał - warknął Nestor. - Nam się spieszy i...

- Jasne! Ale troszkę cierpliwości - odpowiedział Pan Tyczka. - Proszę za mną! O tak, tu, między tymi soczewkami. Dokładnie pośrodku. Zaczynamy od pana?

Nestor przytaknął, rozglądając się wokół z posępną miną.

- Bardzo dobrze, doskonale - odezwał się Styczeń. Otworzył szufladkę, wyjął z niej złotą monetę i wsunął ją w maszynę.

- Co mam robić? - zapytał Nestor, widząc, że szkła niepostrzeżenie się obracają dokoła niego.

- Zupełnie nic... Którym profilem pan woli? Ogrodnik przyglądał się maszynerii z pewną podejrzliwością. - Słucham?

- Woli pan profilem lewym czy prawym?

- Myślę, że to... całkiem obojętne.

- No to prawym - zdecydował Styczeń, unosząc dźwignię. Sprawdził jakieś wskaźniki na maszynie, zamknął dwa zawory, włączył miech i oznajmił: - Gotowe! Proszę się nie ruszać!

Potem odszedł kilka kroków, a maszyna sapała, miechy się wydęły i zaczęły pompować powietrze do rur. Szkła bardzo wolno obracały się dokoła Nestora.

Po niespełna minucie całe to zamieszanie ustało.

- Gotowe... - oznajmił Styczeń. - Teraz może pan stąd wyjść, podczas gdy Archiwum wybierze Herosa do wybicia jego podobizny na odwrocie medalu...

Ogrodnik uniósł brwi ze zdziwieniem. - Co wybierze?

- Herosa! - powtórzył Pan Tyczka, pociągając za wielką dźwignię.

Maszynaria sypnęła snopem iskier i gipsowe popiersia w galerii zaczęły sunąć jak na szerokiej taśmie transporterów. Przesuwały się przed soczewkami takimi samymi jak te, które skopiowały profil Nestora, zatrzymywały się na kilka sekund i ruszały ponownie.

- A... do czego ma służyć ten Heros? - zapytał ogrodnik.

- Och, to będzie wasz najgorszy wróg, ten, który was złapie, kiedy opuścicie Mroczne Porty... W wypadku jeśli wam się to uda, naturalnie.

- Złapie nas...?

- Właśnie: złapie, pokona, może zabije... Ale to naturalne! - Pan Tyczka roześmiał się całkiem jak królik.

- Nie myślicie chyba, że teraz, kiedy podpisaliście dokumenty wstępu do Mrocznych Portów i staliście się oficjalnie Antagonistami, inne Miejsca z Wyobraźni przyjmą was z otwartymi ramionami! Dlatego zgromadzenie przewidziało, że każdy nowy Antagonista otrzyma Herosa zdolnego mu się przeciwstawić. I tak zostanie utrzymana równowaga!

- Znaczy, że teraz... - szepnął podniecony mały Flint

- ...to my jesteśmy ci „źli”? Super!

Tymczasem popiersia nadal krążyły, aż jedno z nich zatrzymało się na dłużej między soczewkami. Chwilę potem zostało zablokowane przez dwie klamerki i maszyna wydała kolejne parsknięcie, zaskrzypiała i sypnęła iskrami. Styczeń zbliżył rękę do szpary podobnej do tej, z której wyjmuje się fotografie zrobione w automacie, i odzyskał złotą monetę, jeszcze ciepłą i dymiącą, którą podał Nestorowi. Były na niej wyryte dwie głowy: po jednej stronie profil Nestora, po drugiej - młodzieńca w tropikalnym hełmie, jaki nosili afrykańscy eksploratorzy w dwudziestym wieku.

- To znaczy, że co? Że ten facet będzie na mnie polował? - spytał oszołomiony ogrodnik.

- Na swój sposób, oczywiście. Każdy Heros ma własny „styl”.

- A mogę wiedzieć, jak się nazywa?

- Nie tutaj, niestety. Przykro mi. Ja się zajmuję Wizami i Paszportami kandydatów na złych, a nie Przedsięwzięciami Herosów. Ale jest urząd...

- Daj pan spokój! - przerwał mu gwałtownie Nestor.

Styczeń zatarł ręce. - Dobrze więc, panie Ulyssesie, nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć panu szczęścia w Mrocznych Portach. Niechaj pan dokona jak najgorszych okrucieństw.

- Super! - zawołał mały Flint, coraz bardziej podniecony. - Teraz stał się pan naprawdę zły!

Nestor spojrział na niego koso. - Teraz twoja kolej, smarkaczu.

- Ja chcę lewym profilem! - zawołał chłopak, któremu przygoda ze złymi i z Mrocznymi Portami zaczynała się coraz bardziej podobać.

Kiedy Styczeń nastawiał szkła na wzrost małego Flinta, Nestor dokonał szybkiego przeglądu popiersi Herosów uwiecznionych w gipsie: niektóre z nich miały zaszczytne tabliczki mosiężne.

Rozpoznał doktora Lemuela Guliwera, otoczonego małym ludkiem Liliputów. Sir Johna Mandeville'a w kapeluszu z pszczołami. Młodego Tytusa Gormenghasta ze stopą na koronie. Paladyna Rolanda z mieczem Du-randalem i barona Munchhausena siedzącego okrakiem na kuli armatniej.

- Kurczę... - mruknął niedługo potem mały Flint, kiedy otrzymał swoją monetę z dwiema głowami. - Ja wylosowałem kobietę!

Pokazał ją Nestorowi, który zauważył: - W sam raz dla ciebie, też jest milutka!

Kilka chwil później Nestor z małym Flintem wędrowali szybkim krokiem po korytarzach Labiryntu. Stary ogrodnik trzymał w ręku szpulkę, z której po trochu od-wijała się czarna Nić, zdająca się nie mieć końca.

Na każdym skrzyżowaniu Nić przekazywała szarpnięcia wskazujące, którą drogę wybrać. Przechodzili przez niezliczone pokoje, jedne ogromne, inne małe. Szli po kamiennych pomostach, wokół których szalała dzika wichura. Słyszeli echa jakichś głosów, czyjeś dalekie nawoływania, tajemniczą muzykę.

Mijali miejsca, gdzie rosły potężne białe paprocie, przechodzili przez galerie luster i inne, gdzie do sufitu były przychepione tysiące złośliwych masek. Słyszeli ocieranie się, skrobanie, cykanie, brzęczenie. Im dalej się posuwali prowadzeni przez czarną Nić, tym bardziej złociste światło nikło, a cienie się wydłużały. W końcu znaleźli się przed potężną bramą. Przez kraty z zastrzonymi szpicami widać było tylko nieprzenikloną ciemność.

- Zdaje mi się, że dotarliśmy na miejsce - stwierdził ponuro Nestor.

Mały Flint spróbował pchnąć bramę i zdumiał się, jak lekko ustąpiła. Obróciła się na zawiasach z przeraźliwym piskiem i uchyliła na tyle, że mogli się prześlizgnąć.

- Kiedy się już zna drogę, nietrudno wejść do Mrocznych Portów... - szepnął ogrodnik: Poczuł, że Nić Ariadny daje ostatni znak szarpnięciem i pociągnął za nią. Tak jak to sobie wyobrażał, miał teraz w ręku drugi koniec: Nić właśnie została odcięta. - Jeśli zechcemy spróbować zawrócić - mruknął - będziemy zmuszeni błąkać się już na zawsze po Labiryncie.

- No i co teraz? - zapytał mały Flint, zerkając niespokojnie na drugą stronę bramy. Słyszał dalekie echo fal bijących wściekle o skały.

- A to, że stajemy się źli - odparł Nestor, zaciskając w ręku swoją złotą monetę.

### Styczeń

*Ten fotograf przeznaczenia, grawer monet, swą rytownicą portretów na zawsze związał moje życie z życiem kapitana Spencera. Kto jednak o tym zdecydował?*

## Rozdział 9

### PRZEBUDZENI

Żył. '

A może nie?

Nie był tego całkiem pewien.

Teraz już niczego nie był pewien.

Rick Banner musiał długo czekać z otwartymi oczami, zanim dotarło do niego, że są otwarte. Nie potrafił rozróżnić żadnego szczegółu obok siebie, nawet czubka własnych butów, i nie pojmował, gdzie są jego ramiona i w jakiej znajduje się pozycji. Jednak kiedy tylko próbował się poruszyć, odczuwał przenikliwy ból w całym ciele. Zatem tak: zdecydowanie żył.

Pomału oswoił się z ciemnością i rozpoznał własną rękę, która leżała pół metra od barku. Spróbował poruszać palcami... Miał wrażenie, że nimi rusza, ale widział, że pozostają nieruchome.

Usiłował uwolnić się od mnóstwa przedmiotów, które go przygniatały i więziły: gąbka kauczukowa, jakieś części metalowe, anteny, dźwignie, narzędzia. Tyle tego przy nim było. Uwolnił jedno ramię, potem drugie i zastygł speszony, wpatrując się w swoje ręce. Jeżeli te dwie były jego, to czyja była ta trzecia, która sterczała z gąbki kauczukowej obok?

Spróbował jej dotknąć. Tajemnicza ręka chwyciła go błyskawicznie jak w potrzasku.

- Puść mnie! - wrzasnął Rick, obracając się i natrafiając siedzeniem na jakieś żelastwo. Rozejrzył się dokoła. Był w jakimś ciasnym pomieszczeniu, zamkniętym, wyściełanym... które przypominało trochę... kabinę.

Ależ tak! Oczywiście! Znajdował się w brzuchu tej dziwacznej niby to amfibii w kształcie małża, skonstruowanej przez Petera Dedalusa! Zaczął sobie przypominać: Wenecja, laguna, a potem... nagłe nurkowanie w tym potężnym wodospadzie. Wrażenie upadku w nieskończoność...

Ręka, która dopiero co go chwyciła, zaczęła się poruszać. I spod sterty zębatach kół, dźwigni i rupieci bardziej lub mniej połamanych Rick usłyszał cichy jęk: właściciel ręki próbował się wygramolić.

- Peter! - krzyknął Rick, zbliżając się do tej sterty. Poruszał się z trudem, ale nie tylko z powodu tej graciarni: przed wпадnięciem w wodospad wynalazca kazał mu włożyć obszerną kamizelkę z gąbki kauczukowej, która mocno ograniczała go w ruchach. - Jesteś tam?

Jęk się powtórzył i Rick wziął to za odpowiedź twierdzącą. Zadał sobie trud, by uwolnić przyjaciela, i w miarę jak odgarniał najrozmaitsze przedmioty, które na nich pospadały, zaczynała się wynurzać sylwetka zegarmistrza z Kilmore Cove.

- Wszystko w porządku? - zapytał, kiedy zdołał go już całkiem wyłuskać.

- Niezupełnie. Nie. A nawet całkiem nie. W każdym razie bywało lepiej... - szepnął Peter Dedalus, poprawiając sobie na nosie szczątki okularów, jedno szkło i kawałek drucianej oprawki. Dyszał ciężko, dźwigając się, by usiąść. - A ty jak?

Rick założył ręce za siebie i spróbował się przeciągnąć. - Jestem cały połamany.

- Połamany, ale żywy. Czyli obaj żywi. - Diabelski uśmieszek zagościł na twarzy wynalazcy, który poruszając się sztywno niczym drewniana kukielka, zasiadł przy sterach swego mechanicznego pająka. Chwilę później palce zegarmistrza biegały już po tablicy sterowniczej, naciskając przyciski i pociągając za dźwignie. Metalowy kadłub drgnął z przenikliwym jękiem. Usłyszeli odgłosy kamieni zsuwających się na inne kamienie.

-Oo... - mruknął Peter. - Pancierz jest poważnie wgnieciony, a jedno odnoże odpadło.

Ruszył dalsze dźwignie. Zaskrzypiało.

Przy trzeciej próbie kadłub batyskafu przechylił się gwałtownie na bok. Rick stracił równowagę i uderzył się w głowę. - Ojoj! - jęknął. - Nie trzęś tak!

-Wybacz... Sprawdzam tylko uszkodzenia. Jest, jak sądzę, lepiej, niż można by oczekiwać.

Rudzielec bezskutecznie rozglądał się za miejscem, gdzie mógłby przysiąść: Peter zaprojektował swój podwodny okręt tylko na jedną osobę i gdziekolwiek Rick usiłował klapnąć, sterczały różne kołki, dźwignie i krążki, które wbijały mu się w krzyż. Pomyśleć, że poprzedniego dnia wcisnęli się tu we trójkę: on, Peter i Tommi...

I nagle przypomniał mu się przyjaciel pozostawiony w ruinach Domu Cabota. Bolesna myśl wbiła mu się do głowy jak kruczy dziób. Udali się obaj do Wenecji, żeby zdobyć jakieś wskazówki w związku ze zniknięciem Ulyssesa Moore'a. Zaglądali do wszystkich miejsc, gdzie zwykle stary ogrodnik bywał: do domu Penelopy, do sklepu papierniczego Zafona, do pracowni Petera De-dalusa. W końcu do Domu Cabota, gdzie znajdowały się Wrota Czasu do Willi Argo.

Ostatni raz widział Tommiego, kiedy runął dom, tuż przed ich ucieczką batyskafem. Zatroskany Rick zagryzł usta.

- Co się z nim stało? - zapytał na głos.

- Masz na myśli młodego weneccjanina? - odezwał się Peter. - Widziałem, jak wybiegł na podwórze na chwilę przedtem, zanim runął budynek... Wykaraska się, zobaczysz. - Wynalazca nadal majstrował przy dźwigniach, to pchając je, to ciągnąc. - Nie martw się o niego... - dorzucił. - Martw się raczej o nas. Jesteśmy nieźle poobijani.

Rick znowu sobie przypomniał szaloną ucieczkę po dnie weneckiej laguny, kiedy ścigała ich tajna gwardia Doży, która od dawna była na tropie Petera i jego wynalazków, odkąd zegarmistrz próbował z nich zakpić na Wyspie Masek. Przypomniał sobie, jak błotniste dno zaczęło się wznosić, przechodząc w wał ochronny, za którym huczał przerażający wodospad bez dna. I jak Peter pociągnął za ostatnią dźwignię swego genialnego wynalazku, krzyżąc: „Trzymaj się!”.

Tylko że nie było w środku nic, czego można by było się przytrzymać.

- Sądzę, że będziemy musieli co nieco naprawić -mruknął wynalazca, chwytając korbę i kręcąc nią.

- Zobaczmy, czy tym sposobem się otworzy...

Po kilku szarpnięciach obcęgami metalowa pokrywa, która osłaniała przednią szybę batyskafu, poddała się.

Peter uradował się, wcisnął guzik i w kabinie rozległo się brzęczenie szerszenia. Zapalił duży, silny reflektor, który wspaniale oświetlił widok przed nimi.

-Ooo... - westchnął Rick, rozpoznając natychmiast miejsce, w którym się znaleźli. Znał je dobrze: była to długa, wąska i mroczna dolina. Z jednej strony wznosiła się pionowo czarna ściana skalna, która ginęła ponad ich głowami. Naprzeciwko znajdował się zakrzywiony mur, tworzący rodzaj ceglanego wybrzuszenia, podobnego do skorupy żółwia.

Wokół nich spływały ze skał kaskady słodkiej i słonej wody, rozdzielając się na tysiące strumyczków, które w końcu tworzył kręty potok spływający w dolinę.

- Labirynt - odezwał się Peter Dedalus bardzo zadowolony.

Rudzielec popatrzył na niego z niedowierzaniem. - Ale skąd miałeś pewność, że spadając wodospadem laguny... trafimy tutaj?

- Och, wcale nie byłem tego pewny! - odparł spokojnie Peter, po czym otworzył zamknięty szczelnie batyskaf. - A teraz nie podałbyś mi ręki?

Mężczyzna poklepywał go delikatnie po policzkach, powtarzając: - Hej, chłopcze, słyszysz mnie? Chłopcze?

Tommaso Ranieri Strambi pomalutku wracał do przytomności. I gdy tylko otworzył oczy, skoczył na równe nogi jak sprężyna.

- No, wreszcie się ocknąłeś! - zawołał starzec.

Tommaso rozejrzał się dokoła: znajdował się w gołej

izdebce, w której czuć było macerowanym papierem. Usiłował sobie coś przypomnieć. Co się stało?

Mężczyźni z tajnej gwardii deptali mu po piętach, dom zawałił się na niego i potem... Potem nie pamiętał już niczego.

Jedno było pewne: nadal był w Wenecji. Ale gdzie? I kim był stojący obok niego człowiek? Przyjrzał mu się uważnie i rozpoznał go. Zaledwie kilka godzin wcześniej razem z Rickiem przyszli do tego starca zasięgnąć informacji, a ten zatrzaskał im drzwi przed nosem. - To pan był w tym sklepie papierniczym? - zawołał.

Stary Zafon uśmiechnął się do niego. Jego wysuszona twarz była jak maska pełna zmarszczek i bruzd. - Witam!

- Co ja tu robię?

Zafon wskazał mu coś za malutkim okienkiem. - Wyniosłem cię, zanim tamci zdążyli cię dopaść...

Tommaso usiadł na ziemi, usiłując poukładać sobie wszystko w głowie. - Pan mnie... wyniósł? - powtórzył.

- I wcale nie było łatwo, możesz mi wierzyć. Jesteś młody, ale dla mnie, staruszka, było tak, jakbyś ważył tonę. Chcesz wody?

Tommaso przytaknął i wypił łączywie. Zafon powiedział mu, że po ich wizycie poprzedniego dnia pobiegł uprzedzić Petera Dedalusa. A ponieważ było mu przykro, że musiał tak chłopców zbyć, szukał ich, żeby ich przeprosić za swoje zachowanie. Doszedł akurat w pobliże Domu Cabota w chwili, kiedy budynek się walił.

- Widziałem cię, jak wyskoczyłeś na zewnątrz dosłownie na chwilę, nim ci się to wszystko zwali na głowę... - wyjaśnił stary. - I zemdlałeś kilka kroków ode mnie. Potem zobaczyłem tych z tajnej gwardii i nie miałem wątpliwości, co robić...

Tommaso był ciągle jeszcze zbyt oszołomiony, żeby odpowiedzieć.

- Dziękuję - wydusił w końcu, oddając szklanę. Potem pomyślał o budynku, który się zawałił, i zawołał: -Wrota Czasu! Pewnie zostały zniszczone!

Stary Zafon przysiadł na koślawym stołku i uśmiechnął się. - Wrota Czasu, taaak... Tak myślałem, że tego właśnie szukali ludzie hrabiego Cenere. Dowiedzieli się o istnieniu tych drzwi od człowieka, który tu przybył jakiś czas temu na pokładzie okrętu z czarnymi żaglami.

i od tej pory zaczęli przeczesywać dom po domu.

Tommaso skinął głową: pamiętał, jak obaj z Rickiem byli obecni przy płądowaniu przez agentów mieszkania Callerów i rozmontowaniu maszyny drukarskiej Petera Dedalusa.

- Trzeba bardzo uważać, poruszając się po tym mieście. Wszędzie mają oczy i uszy - szepnął Zafon. - Szukają Petera. I szukają Wrót Czasu.

że musiał tak chłopców zbyć, szukał ich, żeby ich przeprosić za swoje zachowanie. Doszedł akurat w pobliże Domu Cabota w chwili, kiedy budynek się walił.

- Widziałem cię, jak wyskoczyłeś na zewnątrz dosłownie na chwilę, nim ci się to wszystko zwali na głowę... - wyjaśnił stary. - I zemdlałeś kilka kroków ode mnie. Potem zobaczyłem tych z tajnej gwardii i nie miałem wątpliwości, co robić...

Tommaso był ciągle jeszcze zbyt oszołomiony, żeby odpowiedzieć.

Tommaso cały czas słuchał uważnie.

- I szukają wszystkich, których podejrzewają, że mają coś wspólnego z Wrotami. Magiczne słowa brzmią: „Ulysses Moore”. Ktokolwiek powie, że go zna, zostaje aresztowany i przesłuchiwany.

- A pan go zna?

- Jeszcze jak! - zawołał Zafon. - Zaopatrywał się u mnie regularnie w zeszyty. I nie tylko on: również Leonard i Peter... Rozumie się, ludzie potrafią odróżnić rzeczy solidne od taniej tandety! - Stary nagle się zasępił. - Wcześniej czy później ci dranie znajdą także to miejsce tutaj i zniszczą je... to tylko kwestia czasu. A ja jestem za stary, żeby udawać i ukrywać się, czekając, aż złe czasy przeminą.

Tommaso poderwał się na równe nogi i zaczął się nerwowo przechadzać tam i z powrotem na zapleczu sklepu, zastanawiając się nad tym, co ma zrobić.

- Nie mamy wiele czasu - podjął Zafon - jeśli chcemy się stąd wynieść.

- Wynieść? - spytał Tommaso, zatrzymując się nagle. - A dokąd chciałby pan się udać?

Zafon dźwignął się z trudem ze stołka. - To ty podróżujesz przez Wrota Czasu - szepnął. - Czy się mylę?

Tommaso spojrzał na niego uważnie. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Wrota Czasu w zaułku Amor degli Amici były jeszcze otwarte i mogły przez nie wrócić dwie osoby, zanim zamkną się na zawsze. Mógł z łatwością dostać się do Kilmore Cove i zabrać ze sobą starego.

Ale mu nie ufał. Nie mógł wiedzieć, czy Zafon nie był aby człowiekiem hrabiego Cenere. Mógł być kimkolwiek. Może chciał go oszukać, żeby się dowiedzieć, gdzie ukryte są Wrota Czasu.

- Chcę ci coś pokazać... - odezwał się stary, jakby czytał w jego myślach. Podszedł do drzwi na zapleczu, otworzył je i wpuścił zwierzę.

- WOREK PCHEŁ! - wykrzyknął chłopiec, kiedy szczenię pumy skoczyło na niego i zaczęło lizać po twarzy swoim szorstkim językiem. W ostatnich dniach to zwierzątko towarzyszyło mu wszędzie: od dżungli Eldorado, gdzie się do niego przyplątało, aż do Kilmore Cove i w końcu w Wenecji. - Tu jesteś!

- Czekal na ciebie, nie ruszając się stąd i nie tykając żarcia - mruczał Zafon. - Musiałem zamknąć swoje koty w sypialni...

Tommaso zaczął się bawić z pumą, odzyskując natychmiast dobry humor. - No dobrze już, dobrze! Tak, to ja! Tęskniłeś za mną? Ja też!

- Masz bardzo dobry kontakt ze zwierzętami, chłopcze... - zauważył Zafon dobrodusznie. - A wiesz, że to wielki dar?

- Tak pan myśli?

Stary przytaknął. - Zwierzęta wyczuwają instynktownie, komu mogą zaufać...

- To prawda - zgodził się Tommi, podczas gdy puma tarosiła go za mankiet spodni.

Zafon zbliżył się i wyciągnął otwartą dłoń ku małej pumie, która natychmiast ją polizała. - Ty i ja jesteśmy podobni, chłopcze. Pojąłem to, gdy tylko zobaczyłem, jak za tobą idzie to zwierzę. I nie tylko ono.

- Co to znaczy? - zapytał Tommi speszony. - Jest jeszcze jakieś inne, co za mną chodzi?

Zafon spojrzał mu prosto w oczy. - Małpa. Uczepiła się jakiś czas temu dachu przed sklepem. Obserwuje każdy mój ruch, jakby na coś czekała. I nie wiem, czy jest po naszej stronie czy tych, którzy nas tropią. Wiesz coś o tym?

Tommaso natychmiast przypomniał sobie małpy, które go ocaliły przed Podpalaczami i zaprowadziły do gondoli Petera Dedalusa, umożliwiając mu przybycie do Kilmore Cove.

- Sądzę, że jest... po naszej stronie - szepnął.

- Ja też tak myślę - zgodził się Zafon, opierając ręce na chudych kolanach. - Ja też tak myślę...

## Rozdział 10

### PRZYGODA JULII

Mieszkańcy Kilmore Cove defilowali przed Julią Covenant bez stawiania pytań.

Wchodzili do szkoły, wędrowali długim korytarzem wzdłuż różnych biur, mijali gabinet dyrektora i skręcali na prawo, w stronę piwnicy.

Tędy, po dobrze oświetlonych schodach, schodzili do schronu. Na ścianach były wywieszone odpowiednie instrukcje: SCHODZIĆ OSTROŻNIE ZEJŚCIE TYLKO W RAZIE KONIECZNOŚCI NIE WYŁAMYWAĆ SIĘ Z SZEREGU

Mieszkańcy Kilmore Cove nie narzekali i nie protestowali. Pomagali sobie nawzajem i cierpliwie schodzili do schronu, jakby to było czymś zwyczajnym. Kolejno, jedni za drugimi, gdy tymczasem na zewnątrz

wciąż trwało bombardowanie. Od czasu do czasu ten czy ów próbował podjąć dyskusję: czy to aby bezpieczne tak schodzić pod ziemię? Co się stanie z ich domami? Zazwyczaj jednak wystarczyło parę strzałów armatnich, żeby zamilkł. Albo uciszały go osoby starsze. Bo właśnie najstarsi zorganizowali się pierwsi: wskazywali drogę, szukali swych sąsiadów i zachęcali ich do zejścia do schronu, pomagali sobie nawzajem, jakby odgrywali jakiś scenariusz. Julia słyszała powtarzające się rozmowy:

- A pamiętasz, jak ćwiczyliśmy takie zejścia?
- No pewnie! Urządzaliśmy nawet wyścigi na czas!
- Ile to już lat minęło? Ze dwadzieścia?
- Och, kochana! Dużo więcej! Jeszcze nad urwiskiem mieszkali Moore'owie.

Uczestnicząc w tym exodusie, Julia dowiedziała się, że pod koniec lat siedemdziesiątych wszyscy mieszkańcy Kilmore Cove zostali poinformowani o istnieniu schronów i nawet przeszli specjalne szkolenie, żeby się nauczyć jak najszybciej schodzić pod ziemię. Wtedy powiedziano im, że chodzi o schrony przeciwartemowe do wykorzystania na wypadek trzeciej wojny światowej.

- Julio! Julio Covenant! - zawołał ją nieoczekiwanie ktoś z tłumu.

Dziewczynka otrząsnęła się z własnych myśli i zobaczyła przed sobą mamę Ricka. - Pani Patrycja! Kobieta opuściła szereg i uściskała dziewczynkę. Rozmawiały szybko, upewniając się, że obu nic się nie stało, aż Patrycja Banner zadała oczywiste pytanie: - Czy Rick jest tutaj? Z tobą?

Julia aż lekko drgnęła. Pomyślała, że nie jest to najlepszy moment na powiedzenie jej prawdy, a więc że Rick wyruszył na poszukiwanie Ulyssesa Moore'a i teraz znajduje się jakieś trzy tysiące kilometrów stąd i trzysta lat temu. Uspokoila więc mamę Ricka, kłamiąc: - Widziałam go jakiś czas temu. Jest z ojcem Feniksem.

Pani Banner uwierzyła jej bez wahania - i to było najgorsze.

- Schodzisz z nami?
- Zejdę niedługo - odpowiedziała Julia, biorąc głęboki oddech. - Czekam na brata.
- Zobaczysz, że sobie poradzimy - powiedziała pani Patrycja, ściskając jej rękę na pożegnanie. - Zawsze dawaliśmy sobie radę.

Julia zmusiła się do uśmiechu, potem się wycofała i wyszła ze szkoły. Stała na deszczu i przyglądała sobie ręką mokre włosy, a niepokój i pośpiech ścisnęły ją w dołku.

Nienawidziła kłamać.

Nienawidziła, kiedy musiała zmyślać jakieś głupstwa, żeby kogoś uspokoić, podczas gdy sama była przerażona i żyła w strachu o los tych, których kochała.

Rick.

Jak bardzo pragnęła, żeby był tu naprawdę z nią, żeby pomógł jej zadbać o bezpieczeństwo tych wszystkich ludzi. Kto wie, czy udało mu się znaleźć Nestora. Kto wie, czy mu się nic nie stało czy może sam został schwytany, jak mama i tata...

Jej oczy napęłniły się łzami, a w piersi czuła ucisk podchodzący aż do gardła i była bliska rozpacz. Ale nie mogła sobie na nią pozwolić. Nie teraz. Miała zbyt odpowiedzialne zadanie do wykonania, a Black i ojciec Feniks liczyli na nią.

Powstrzymała na siłę łzy, wzięła głęboki oddech i znów skupiła się na swoich obowiązkach. Pomyślała o pani Bowen i o mamie pani Kalipso, obu chorych i leżących w łóżkach, i kazała jednemu z chłopców od ojca Feniksa ich poszukać i upewnić się, że zostały przeniesione w bezpieczne miejsce.

Kiedy chłopiec odszedł, Julia wróciła do ludzi na schodach, starając się jak najlepiej służyć im radą, pocieszyć tych najbardziej przerażonych i pomagać najbardziej zagubionym.

Nagle przysła jej do głowy myśl: gdzie, u licha, podział się Jason? Powiedział, że szybko wróci, a tymczasem ciągle go nie było. Może wszedł do kościoła. A może i jemu coś się przydarzyło...

Zaczęła nerwowo obgryzać paznokcie, czego też u siebie nienawidziła.

Zeszła po schodach głównego wejścia do kościoła i idąc pod prąd, w coraz to ulewniejszym deszczu, rozpytywała wszystkich o brata. - Może ktoś widział takiego wysokiego, szczupłego chłopca, szatyna? Rozstaliśmy się na placu Świętego Jakuba.

Ale nikt go nie widział.

Tylko kobieta z kwiatami powiedziała: - Słyszałam jakieś strzały, panienko, kiedy tamtędy przechodziłam. Przykro mi, ale jestem pewna, to były strzały.

- Strzały?

Zapominając o wszystkich innych kłopotach, Julia zaczęła biec.

- Droga wolna! - oznajmił Jason, wyglądając na zaułek.

Malariusz Wojnicz puścił jeszcze jedną serię płomieni do środka pracowni i wyszedł za chłopcem.



Małpy osaczyły ich w środku, ale na całe szczęście, kiedy ujrzały wypchanego smoka w ostatnim pomieszczeniu, wpadły w popłoch i szybko uciekły. Jason i pan Wojnicz zyskali dzięki temu kilka minut potrzebnych, żeby otworzyć drzwi na tyłach i uciec. Teraz próbowali się przedostać na plac, gdzie niegdyś mieściła się księgarnia Kalipso, i stąd do szkoły albo kościoła. Musieli obejść szerokim łukiem, żeby się nie natknąć na inne małpy patrolujące ulice.

Zatrzymali się na następnym rogu i zerknęli na prawo i na lewo.

- W którą stronę? - spytał Wojnicz. Metalowy czubek jego parasola zięjącego ogniem jeszcze dymił, podobnie jak podwójna lufa dubeltówki Jasona, którą niósł na plecach.

- Tędy! - zdecydował chłopiec, puszczając się biegiem pod strugami deszczu.

Przeskoczyli przez kilka głębokich kałuż, oglądając się nieustannie za siebie.

Wyglądało to jak sceny z filmu katastroficznego: puste ulice, pozamykane okna, zamknięte drzwi, dzikie stwory krążące po mieście i polujące na mieszkańców...

- Bałem się, żeby dubeltówka nie wypaliła mi w rękę - odezwał się Jason, opierając się o mur, żeby złapać oddech.

- Nigdy wcześniej nie strzelałeś?

- To nie jest coś normalnego.

- Nie jest też czymś normalnym być ściganym przez bandę oszalałych małp - zauważył Wojnicz swoim zwykłym beznamiętnym tonem.

Schronili się pod jakimś daszkiem, po którym deszcz bębnił z taką siłą, że prawie ich ogłuszał.

- A pozostali? - zapytał szef Podpalaczy, sprawdzając, czy zabrał ze sobą wszystko, i próbując wypatrzyć coś w panującej dookoła nich mokrej szarzyźnie.

- Jacy pozostali, panie Wojnicz? Oprócz nas pozostał w Kilmore Cove jedynie Black. Spotkałem go niedawno, szedł do latarni, żeby wzywać pomocy przez radio... A co zdążyli odpowiedzieć przed atakiem małp pańscy ludzie?

Malariusz Wojnicz spojrział na zegarek. - Już jada, ale... to im zajmie trochę czasu. Musimy wytrzymać co najmniej trzy godziny, zanim będziemy mogli na nich liczyć.

- To długo.

- Najważniejsze, żeby dojechali - szepnął Malariusz Wojnicz. Oparł się o ścianę budynku i dorzucił pół żartem, pół serio: - W przeciwnym razie mogą zapomnieć o najbliższej wypłacie.

W tej chwili doszły ich odgłosy jakiegoś starcia w pobliżu. Łoskot, krzyki i potem... cisza.

Obaj wyskoczyli spod daszku.

- Naprzód! - krzyknęli jeden do drugiego i znów pobiegli w deszczu.

Julia zawróciła z sercem w gardle i chęcią uduszenia brata, skoro tylko go dorwie. Wyszła znowu na plac Świętego Jakuba i stąd skierowała się w zaułek, w którym, jak widziała, zniknął niewiele wcześniej Jason. Kręte uliczki starego miasta Kilmore Cove zawsze wydawały się jej jednakowe i chociaż nie było ich w sumie więcej niż dziesięć,

„W którą stronę?” - zastanawiała się, rozglądając dokoła. Wbiegła do najbliższej sieni i spróbowała kombinować: jej brat oddalił się, bo zobaczył coś dziwnego. Pani z kwiaciami powiedziała jej, że słyszała strzelaninę. Może te dwie sprawy były ze sobą powiązane...

- JASON! - krzyknęła w końcu, nie wymyśliwszy nic lepszego. - JASON! GDZIE JESTEŚ?

Odpowiedział jej tylko deszcz bębniący o ulicę i dudniący w rynnach.

Zawołała po raz drugi i trzeci, potem przebiegła zaułek w poszukiwaniu jakichś śladów. Zatrzymała się przed białymi drzwiczkami, całkowicie wyrwanymi z zawiasów.

- Jason? - powtórzyła, wsuwając głowę do środka.

Wszędzie było ciemno. Zrobiła krok do przedpokojku,

poszukała kontaktu i włączyła światło...

Widać było wyraźnie, że tu, w środku, doszło ostatnio do jakiejś walki. Wszystko było powywracane do góry nogami, szafy pootwierane, słoiki wywrócone, wypchane głowy zwierząt... I wszędzie na podłodze rozrzucone ususzone motyle. Słuchawka starego telefonu z bakelitu dyndała jeszcze na sznurze. Julia podeszła do niej i odwiesiła na miejsce.

- Jason? - szepnęła dla dodania sobie odwagi. - Jesteś tu?

zawsze się gubiła.

Przytulona do muru zrobiła jeszcze jeden krok do przodu. Minęła wypchanego manekina małpy i zerknęła poza krawędź ściany: dalsze motyle rozrzucone na ziemi, światło włączające się i gasnące, oświetlające chwilami cielsko wielkiego wypchanego stworzenia wystającego zza uchylonych drzwi...

Nagle jakaś włochata ręka zacisnęła się na jej ustach.

Ramiona małpy, która wyglądała jak wypchana, poruszyły się raptownie i przewróciły ją na wznak. Julia wytrzeszczyła oczy, spróbowała krzyknąć, ale nie dała rady. Padła na podłogę między motyle i kawałki szkła. Usiłowała się podnieść, ale została uderzona w głowę czymś twardym i bardzo ciężkim. Ostatnią rzeczą, jaką widziała, był złośliwy uśmiezek jakiejś małpy o zepsutych zębach.

## Rozdział 11 TAJEMNICA URZĘDU POCZTOWEGO

- Chyba nikogo nie ma. Nikogo nie widziałem! - zawołał Jason.  
- Ani ja. Może to był fałszywy alarm? - odpowiedział pan Wojnicz.  
Z powodu narastającego szumu burzy nie zdołali zrozumieć, kto krzyczał, i wrócili do swego pierwotnego planu: przebiegli przez placyk z fontanną i schronili się przed pocztą. Ich ubrania ociekały wodą i lśniły jak skóra węża.  
Zatrzymali się na chwilę, by nabrać tchu.  
- Już prawie jesteśmy... - zauważył Jason.  
Spod portyku, pod którym przystanęli, można było zobaczyć dzwonicę przy kościele i narożnik szkolnego budynku. Tymczasem Wojnicz podszedł do wejścia na pocztę.  
- Myślę, że zamknięta - odezwał się Jason, nawet nie patrząc. Dawniej pocztą zarządzała Kalipso, właścicielka miejscowej księgarni, której sklep i wypożyczalnia książek znajdowały się po drugiej stronie placu. Ale po jej nagłym wyjeździe i po powodzi, która zmiotła księgarnię, kluczy do poczty nie odnaleziono.  
- Wygląda na to, że się mylisz - powiedział Wojnicz, sam zdziwiony. Drzwi urzędu bowiem były lekko uchylone.  
- Jak to możliwe? - zdumiał się chłopiec. - Myśli pan, że to sprawka małpisonów?  
Wojnicz użył lufy swej strzelby, żeby rozchylić szerzej drzwi i móc zerknąć do środka. Nie zobaczył nikogo. Urząd wydawał się opustoszały.  
- Poczekaj sekundę - powiedział do Jasona.  
- Co chce pan zrobić? Musimy iść do szkoły!  
Nie zwracając uwagi na protesty chłopca, Malariusz Wojnicz wszedł do środka ze strzelbą gotową do strzału i z parasolem miotającym ogniem za pasem.  
- Może pani Stella wcale nie była znowu aż tak zwariowana. ... - mruknął sam do siebie. - Kto by pomyślał, że zastanę pocztę otwartą? Prosiła, żebym nadał jej paczkę jeszcze dzisiaj w okienku po prawej...  
^^ TAJEMNICA URZĘDU POCZTOWEGO \_ ^  
- Pani Wojnicz? - Jason, który dobrze znał tę pocztę, dołączył do niego.  
To właśnie tu zaczęła się ich przygoda, kiedy pewnego dnia odebrali w imieniu „właściciela Willi Argo” dziwną przesyłkę. Jason doskonale pamiętał ten dzień przed kilku lat: na nabrzeżu świeciło piękne słońce, kiedy on, Julia i Rick otwierali tę paczkę, wyglądającą jak najzwyklejsze pudełko na buty wypchane starymi gazetami, i znaleźli w niej cztery klucze do Wrót Czasu w Willi Argo.  
Urząd pocztowy w Kilmore Cove był mały, bardzo skromny, z okienkami za ladą i pokoikiem na zapleczu, gdzie leżały worki z listami i paczkami do wysłania.  
Wojnicz obszedł ladę, opierając o nią strzelbę. Okienko po prawej stronie, okienko po prawej...  
- Czy można wiedzieć, co pan, u licha, robi? - zapytał go chłopiec, wyglądając jednocześnie nerwowo na ulicę w obawie, że lada chwila mogą się tu pojawić atakujące ich małpy.  
- Chwileczkę! - Nagle Podpalacz coś sobie przypomniał. - Jeśli chcę nadać paczkę, muszę napisać nadawcę, nakleić znaczki i... ty wiesz, jak to się tutaj robi?  
- Nie wiem, panie Wojnicz. A poza tym nie sądzę, żeby to był właściwy moment na takie rzeczy...  
Deszcz coraz to głośniejsz tłukł o szyby.  
- Prosiła mnie o to pani Stella - odparł Wojnicz, przypatrując się badawczo całej ladzie.  
- Tak, ale... to prośba bez sensu! Nie ma tu nikogo, kto mógłby przyjąć przesyłkę. Trzeba wielu dni, żeby wszystko powróciło do normy. O ile to w ogóle nastąpi...  
- Była taka spokojna... - ciągnął Wojnicz zamyślony. - Kiedy usłyszeliśmy pierwsze wystrzały armatnie, poprosiła mnie tylko o tę jedną przysługę.

- Zgoda, panie Wojnicz, ale wydaje mi się, że tracimy tu tylko czas... Musimy szybko iść do schronu i...

- Dobrze, dobrze, za chwileczkę...

Jason parsknął i stanął w drzwiach, żeby móc obserwować plac, podczas gdy Wojnicz przeszedł na drugą stronę lady, po czym przeskoczył kilka mocno wypchanych worków z juty i wydał okrzyk zdumienia.

- Co jest? - zapytał od razu Jason.

Wojnicz wypuścił z czubka swego parasola małą płomyk jak od świeczki, popatrzył jeszcze raz i powiedział: - Założę się, że ty o tym nie wiedziałeś...

- O czym nie wiedziałem, panie Wojnicz?

- Że tu z tyłu są dwa okienka nadawcze. Jedno po lewej i... jedno, mniejsze, po prawej stronie. Prawie niewidoczne, rzeczywiście.

W okienku po lewej znajdowały się dwa najzwyklejsze worki pocztowe, szeroko rozwarłe metalowymi hakami. Stały oparte o transporter, którego zadaniem było przewożenie ich na zaplecze, gdzie ładowano je na pocztowe furgonetki.

- To jest okienko od Korespondencji... - przeczytał Wojnicz na głos. Spróbował otworzyć przedział po prawej stronie. - Podczas gdy to drugie...

Jason porzucił swoje stanowisko czujki w drzwiach i podszedł do lady, żeby lepiej widzieć. Płomyk na czubku parasola oświetlał twarz Wojnicza na chwilę zgaś.

Ktoś zakasłał.

Kiedy światełko ponownie rozbłysło, Malariusz Wojnicz otworzył drugi przedział za okienkiem.

- A to jest okienko Bez korespondencji. I rzeczywiście jest tu tylko dziura w posadzce. Dziura ze zjeżdżalnią prowadzącą... jak sądzę, gdzieś do podziemia.

Wojnicz wpatrywał się kilka chwil w ten otwór bez dna, z którego wydobywały się podmuchy ciepłego powietrza. Potem postanowił coś wypróbować; przyłożył pudełko na buty. Pani Stelli do zjeżdżalni pod posadzkę i nie wypuszczając go z rąk, stwierdził: - Pasuje idealnie. Całkiem jakby zrobione na miarę. „Proszę, niech pan włoży coś ciężkiego, bo za lekkie paczki zazwyczaj giną” - prosiła pani Stella. Za lekkie... żeby się ześlizgnęły na sam dół?

W tym momencie Jason też oparł swoją wiatrówkę o ladę i wychylił się, żeby spojrzeć. - A to dopiero! - zawołał, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

Wojnicz wziął paczkę z powrotem i narodził się z chłopcem. - Dlaczego chciała, żebym ją nadał natychmiast?

- A powiedziała panu, co zawiera?

- Tak i nie. Mówiła o „liście z dymisją i prośbą o pomoc”.

„Pomoc...” - pomyślał Jason. „Pod Kilmore Cove znajdują się groty. Szczelina i przepaść prowadząca do Labiryntu. Pod nimi zbierało się Zgromadzenie Miejsc z Wyobraźni. Może...”. Znowu kaszlnięcie. Jason otrząsnął się ze swoich myśli. - Słyszał pan? - zapytał.

- Co miałem słyszeć?

Deszcz bębnił coraz to gwałtowniej.

- To pan kasłał? - spytał Jason.

- Nie. Myślałem, że to ty.

Na te słowa chłopiec błyskawicznie chwycił za swoją wiatrówkę. - Wyłażcie, przekłete małpiszony! - zawołał, wymachując nią na chybił trafił.

- Hej! - odpowiedział mu jakiś głos. - Licz się ze słowami, cherlaku!

Jason i pan Wojnicz spojrzeli po sobie, po czym i Podpalacz chwycił za strzelbę. Głos dochodził gdzieś z bardzo bliska.

- Kto mówi? - spytał groźnie Jason.

- Ten worek tam - odezwał się półgłosem Wojnicz, wskazując worek parasolem.

- Nie, to ja - zawołał głos z sąsiedniego worka.

Jason skierował broń najpierw na jeden, potem na drugi worek. - Wyłażcie! - rozkazał.

Pomału oba worki zaczęły wstawać.

- Nie ma powodu, żebyś nam groził, Covenant... - odezwał się pierwszy z tych dwóch.

- Właśnie, nie ma żadnego powodu.

- Nie jesteśmy Einsteinami, ale też nie jesteśmy małpiszonami.

Po czym z worków wynurzyły się dwa chłopaczyska, jeden bardzo rostry i z twarzą jak Księżyc w pełni, a drugi wysoki i chudy, kędzierzawy i z nosem usianym piegami.

- A wy co za jedni? - zapytał Malariusz Wojnicz, próbując ich oświetlić płomykiem drżącym na czubku parasola i przypominając sobie, że już ich gdzieś w poprzednich dniach spotkał. - No, nie! Znowu!
- Co wy tu robicie? - zapytał gniewnie Jason. - Założę się, że nic dobrego...
- O to samo możemy zapytać was - odparł wielki Flint, krzyżując mocne ramiona na piersi.
- Właśnie - powtórzył Flint średni, naśladując natychmiast gest kuzyna. - O to samo możemy zapytać was.

## Rozdział 12 PANI BURZ

Korytarz ciągnący się za bramą poprzez szczelinę w skałach wyprowadził Nestora i małego Flinta na bezkresny płaskowyż. Znaleźli się nagle pod niebem pokrytym gęsto chmurami w kolorze kawy z mlekiem. Gdziekolwiek zwrócili wzrok, widzieli tylko niekończące się rzędy bazaltowych ośmiograniastych skał, przypominających ścięte na różnej wysokości kolumny. Tu i tam rosły szare cyprysy z chwiejącymi się żalobnie na wietrze czubkami. Nie było żadnego znaku ludzkiej działalności, ani posągu, ani napisu. Zupełnie nic.

Był tylko lekki słonawy zapach zawiewający od północy.

Mijali porosty obrastające tyły ośmiograniastych kolumn i wędrowali tak przez czas nieokreślony, dopóki płaskowyż nie ustąpił miejsca zwartemu obszarowi twardej i ciemnej ziemi spadającej łagodnie ku morzu. Pod wpływem bijących nieustannie fal ziemia wykruszyła się, zamieniając w szklisty piasek i malutkie czarne otoczaki.

Tu, na brzegu, wyrosła skromna osada na palach i okrągłe chatki stojące nie na ziemi, lecz na ogromnych samobieżnych wozach. Wozy miały nieproporcjonalne i niezwykle ciężkie koła zagrzebane do połowy w piasku, jakby ich nie ruszano od lat. Każdy dom miał swój komin, a każdy komin wypuszczał w niebo czerwone iskry wraz z kłębamii dymu.

Na granicy tego niby-stałego obozowiska z mieszkań zbudowanych jedno obok drugiego dość bezładnie pasło się stado koni pociągowych o bujnych grzywach i potężnych kopytach pokrytych sierścią. Rasa, jakiej nawet Nestor w swoich licznych podróżach nigdy nie napotkał.

Dwaj podróżnicy dotarli do osady bez przeszkód ze strony mieszkańców i weszli między pale, nie napotyając żywej duszy. A przecież było tam życie: ze środka domów, zrobionych z drewna, blachy, zniszczonej skóry i innych materiałów z odzysku dobiegały urywki rozmów, hałas naczyń, powłóczenie nogami i stukot chodaków po drewnie.

Kiedy Nestor rozglądał się dokoła w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, jak dalej iść, mały Flint próbował zapanować nad głodem i coraz to zerkał do tyłu z obawą, że lada moment zostanie zaatakowany.

Po jakimś czasie takiego krążenia doszli do miejsca na plaży, gdzie kilka osób o ciemnej skórze i z jaskrawymi złotymi kolczykami w uszach piekło w ognisku jakąś zwierzynę. Miejscowi obrzucili ich krótkim spojrzeniem, któremu towarzyszył przelotny uśmiech żółtych i srebrnych zębów, i powrócili do swego rożna.

Kiedy do małego Flinta doszedł zapach ściekającego w ogień tłuszczu, poczuł, jak mu burczy w brzuchu. - Pan wie, gdzie jesteśmy? - zapytał, wlokąc się za Nestorem.

- Niewiele więcej od ciebie - odparł sucho ogrodnik.

- A ma pan choćby jakieś mgliste wyobrażenie, dokąd idziemy?

Na to pytanie Nestor nawet nie odpowiedział. Minął czarny wóz ozdobiony groźnymi postaciami zrobionymi z gipsu i skierował się w stronę ciemnego i wzburzonego morza.

Tam zobaczył prymitywną przystań: pomost sklecony z kości i drewna, który ciągnął się nad wodą jakieś dwadzieścia kroków. Do niego było przycumowanych nie więcej niż pięć łodzi. Jedna z nich wyróżniała się urodą dwóch płóz i śmiałym profilem belek. To był katamaran.

- Idziemy - zdecydował ogrodnik. - Może są przewoźnicy.

- Przewoźnicy? - zdumiał się mały Flint. - A niby dokąd mieliby nas przewieźć?

Tym razem Nestor udzielił mu skąpej odpowiedzi: -Dotąd, dokąd wystarczy nam pieniędzy, jak sądzę.

Smarkacz westchnął. - Wie pan co? Pan jest całkiem szalony. Stuknięty, bezmyślny i durny dziadu. A ja, który nadal za panem idę, jestem jeszcze bardziej szalony.

- Możesz zawsze zawrócić, chłopcze. Nie prosiłem cię, żebyś za mną szedł.

- A to pięknie, doprawdy! Zamiast mi podziękować za wszystko, co dla pana zrobiłem... Że szedłem za panem aż tu, po śladach tego pańskiego wielkiego nieprzyjaciela i pańskiej żony...

- Dostyc tego - warknął stary ogrodnik.
- Wcale nie dostyc! - zapiszczał mały Flint, wychodząc z siebie. - Mało tego, wie pan, co panu powiem? Czy nigdy panu nie przyszło do głowy, że może żona pana porzuciła? Nestor nagle się zatrzymał i malec zdołał go w końcu dogonić.
- Nie wydaje się panu, że istnieje taka możliwość? Znalazła sobie kogoś młodszego, bardziej interesującego, mniej drażliwego i może kogoś, kto wypowiada dziennie więcej niż dziesięć słów i kto... kto... ALE! ALE! CO PAN ROBI?!
- Nestor złapał małego Flinta za gardło i przydusił go z całej siły do ziemi. - Posłuchaj mnie uważnie, mała żmijo - wycedził. - Powtórz to jeszcze raz, a poderżnę ci gardło, skoro prawdą jest, że jestem, jak mówisz, stuknięty dziadu. Znam swoją żonę... i znam Spencera. Jeśli szli tędy razem, to dlatego, że on ją do tego zmusił. Wyraziłem się jasno?
- Mały Flint, któremu zabrakło tchu, dał znak głową, że tak. Nestor nagle go puścił i podniósł się. Młody zaczął kasłać i przeklinać, gdy tymczasem stary ogrodnik oddalał się w kierunku pomostu i katamaranu.
- Zna swoją żonę... pewnie... a jakże... - burczał ciągle mały Flint, masując sobie szyję i wlokąc się za utykającym właścicielem Willi Argo. - Ile razy już to słyszałem...
- Pomostu pilnował wóz, który wyglądał jak wyrzeźbiony z -kości słoniowej albo ze szkieletu wieloryba. Zakrzywione czubki kości podtrzymywały płachty kolorowego materiału, które stanowiły rodzaj plandeki. Zamiast drzwi i ścian mieszkanie na wozie miało kołyszące się dywany, kadzielnice z kadzidłem, korale z jadeitu, srebrne naszyjniki i łapacze snów z masy perłowej, których delikatne pobrzękiwanie roznosiło się dookoła.
- Przed wejściem, na kolorowym jaskrawym kilimie, siedziała kobieta o długich czarnych włosach, ze srebrnym kolczykiem w uchu i kółkiem w nosie. Miała na sobie ciemnoniebieskie sari i jadła: z gotowanego ryżu, który wyjmowała z miski, robiła sobie kulki i maczała je w różnych sosach, które stały rządkiem, przed jej kolanami.
- Nie przestała jeść ani ich nie powitała, dopóki Nestor jej nie przerwał.
- Wtedy podniosła wzrok i spytała: - Dopiero co przybyliście, nieprawdaż?
- Ogrodnik lekko speszony zrobił zdziwioną minę. -To aż tak bardzo widać?
- Kobieta dała im znak, by usiedli na dywaniku. - Bardziej, niż widać, czuć. Pachniecie jeszcze zapachem przepisów.
- Zapachem przepisów, jasne - parsknął Nestor. Wskazał za siebie. - Przybywamy z płaskowyżu, a wcześniej jeszcze...
- Kobieta machnęła niecierpliwie ręką. - Nieważne, skąd przybywacie. Ważniejsze, dokąd zmierzacie.
- Te łodzie są twoje? - zapytał Nestor, wskazując pomost.
- Tylko jedna. Najlepsza.
- A możesz nas przewieźć...? - Stary zawahał się, spoglądając na ciemne morze, które łagodnie poruszało przybrzeżnymi otoczkami. Postanowił spróbować inaczej i wyznał: - Szukamy dwóch osób.
- Kobieta wsunęła palce do miski z ryżem, nabrała garstkę i zaczęła ją ugniatać. Potem użyła obu dłoni, by utoczyć idealnie okrągłą kulkę. - Dwóch osób? - spytała z przekąsem. - Zazwyczaj spędza się tu całe życie na poszukiwaniu jednej. I to nie zawsze się udaje.
- Następnie umoczyła kulkę ryżu w miseczce z sosem w kolorze szafranowym i spojrzała na małego Flinta, który śledził jej ruchy z otwartymi ustami, z trudem przełykając ślinę.
- Twój syn jest głodny - zauważyła.
- To nie mój syn - odpowiedział szorstko Nestor.
- Masz pieniądze? - zapytała kobieta, zwracając się do chłopca.
- Mam to! - zawołał natychmiast mały Flint. I wyciągnął z kieszeni garście monet i drogocennych kamieni, które ukradł na wyspie kapitana Spencera. - Będzie dostyc za ten ryż?
- Musisz być naprawdę bardzo głodny...
- Nestor spróbował go powstrzymać, ale mały Flint nie chciał o niczym słyszeć: oddał chętnie swoje bogactwa za te pół miski ryżu, który zaczął łapczywie zjadać obiema rękami.
- Spróbuj także sosów - zachęciła go kobieta - ale uważaj na ten czerwony...
- Mały Flint właśnie w nim maczał garść ryżu.
- ...ponieważ jest bardzo ostry.
- Twarcz chłopca stała się raptem purpurowa. Otworzył usta z wyciem i odbiegł daleko tarzać się po piasku. Kiedy zostali sami, kobieta i Nestor spojrzeli sobie uważnie w oczy.
- Opowiedz mi o tych osobach - zachęciła Nestora. -Jak dawno przybyli na Zapomnianą Plażę?
- Nie wiem dokładnie. Rok? Dwa lata temu?

- Bardzo dawno. To tak jakby nigdy.  
- A jednak byli tutaj.  
- Opisz mi ich.  
- Ona jest mniej więcej tego wzrostu. Jest bardzo ładna, mimo że ma już swoje lata. Ma jasne oczy, okrągłe, bardzo łagodne. Jasne włosy, długie i proste. Przynajmniej... takie miała, kiedy ją ostatni raz widziałem.

- To jej szukasz, prawda? - domyśliła się kobieta.

Nestor przytaknął.

- A on?

- On jest wyższy. Ma włosy jasnokasztanowe, czasem blond i jest łobuzem. Tu, o tu, brakuje mu kawałka ucha. Wygląda na dużo młodszego od niej, chociaż pewnie ma teraz ponad dwieście lat.

- Czarownik?

- Coś w tym rodzaju.

Kobieta pokręciła głową. - Dlaczego podróżują razem?

- Nie wiem - odparł Nestor. - Obawiam się, że on ją porwał.

- I nie wiesz nawet, dokąd się udali? Do którego z Mrocznych Portów?

- Nie wiem.

Kobieta się roześmiała. Był to śmiech powolny, okrutny. - Naprawdę sądzisz, że możesz ich odnaleźć, mając tak niewiele informacji?

- Tak - odpowiedział Nestor bez wahania.

- Mógłbyś stracić na to całe lata: Mroczne Porty są bardzo liczne.

- On miał okręt. Brygantynę z całkiem czarnymi żaglami.

Kobieta podskoczyła. Kolczyk z łańcuszkiem do kółka w nosie zadźwięczał srebrzyście. - Brygantyna z czarnymi żaglami, powiadasz?

- Mary Grey, Szara Maria. Dwumasztowiec tokański, osadzony na mieliźnie na bagnach po buncie załogi. Wiesz coś o tym?

- Może. To historia, którą już słyszałam. Kapitan zdradzony i zesłany na odległą wyspę... - zanuciła kobieta aksamitnym głosem -... który przez dwadzieścia lat planuje zemstę. To może być ta historia?

Powoli, usiłując opanować ogarniający go dreszcz, Nestor przytaknął. - Może być. A co słyszałaś o tej historii?

- Jakieś pogłoski. Wiele pogłosek... i to zrozumiałe, że to tak jest. Nieliczne są okręty, które mogą pływać pod czarnymi żaglami. Z tego, co wiem, były tylko dwa: Mary Grey zagubiona na bagnach... - Kobieta podniosła wzrok ku niebu bez gwiazd. -1 jeden o wiele starszy, porzucony gdzieś w głębi Kornwalii.

- Metis... - szepnęła Nestor.

Kobieta zasłoniła usta obiema dłońmi, jakby chciała ochronić swoje własne słowa.

- Kim ty jesteś? - wyszeptła poprzez palce.

W tym momencie powrócił wolnym krokiem na dywanik mały Flint. Usta miał wciąż jeszcze purpurowe i policzki mokre od łez. - Wściekle pikantne! - zawołał i padł na ziemię wykończony. Potem, kiedy zobaczył tych dwoje patrzących na siebie w milczeniu, dodał: - Co przegapiłem?

- Dawno, dawno temu - podjęła swoją opowieść kobieta, której fale obmywały bosc stopy - stoczono pewną bitwę, której nadano tak dużo nazw, że żadnej z nich się nie pamięta. Jedne światy upadały, inne przeciwnie, zaczynały opływać w złoto. Zwycięzcy ustanowili podział między Miejscami Pamięci, powiązanymi między sobą tym, co wy nazywacie „Labiryntem”, a Mrocznymi Portami, tymi, które są teraz przed nami, połączonymi tym Morzem Zamkniętym, które ma barwę nocy, ale żadnej konstelacji niebieskiej umożliwiającej orientację. Morze bez granic, a jednak bez wyjścia. Tak więc z jednej strony nieskończone morze, które jest jak więzienie, z drugiej -budynek z pokojami i korytarzami, które jednak nigdy się nie kończą. Nieskończoność skupia się w skończoności i odwrotnie. To są paradoksy naszej wyobraźni...

Mały Flint zmiatał ryż z miski i jednocześnie śledził myśli wygłaszane przez kobietę, zadając sobie w duchu pytanie, co się stało, że tak nagle zdecydowała się na poufne zwierzenia. Nestor kucał na piasku kilka kroków obok i słuchał jej z takim wyrazem twarzy, jakby to wszystko już wiedział i teraz tylko sobie przypominał.

- My tu jesteśmy odrzuceni. Jesteśmy tymi, którzy zostali zapomniani i którzy są pozbawieni pamięci. Porty, do których możemy dotrzeć, zostały wygnane z Wielkiej Wyobraźni. Zabronione. Uwięzione. Zapomniane. Tak to jest z tymi, co przegrywają wojny. Czy to w świecie realnym, czy w Miejscu z Wyobraźni... prawo zawsze dyktuje zwycięzca. Jednak istnieją wyjątki, błędy. Niektórzy nazywają je

„możliwościami”. Z tego, co wiem, istnieje tylko jeden jedyny sposób na wydostanie się z Morza Zamkniętego i przejście na Morze Otwarte... a tym sposobem jest wiatr. Wiatr napelnia żagle, które nas niosą z jednego Mrocznego Portu do drugiego. Ale istnieją też inne żagle, żagle czarne... Żagle niezwykle rzadkie, tkane - jak mówią - z końskiego włosia i włosów pierwszych marzycieli... i one mogą nas znów wyprowadzić na zewnątrz. Kto posiada takie żagle i okręt zdolny je unieść, może podróżować po całej Geografii Wyobraźni. I po tym, co bezpieczne, i po tym, co straszne. W świetle i w ciemnościach... Mały Flint parsknął, wybierając palcami z miski ostatnie ziarna ryżu.

- Metis była najstarszym z tych okrętów. Przepłynęła morza, by odnaleźć dusze poległych w bitwie żołnierzy i wróciła z podróży ze wszystkimi, których poszukiwała. Żołnierze założyli hrabstwo na Północy i Metis nadal im służyła do podróżowania. W końcu zatонуła z winy niedoświadczonego kapitana.
- A co powiadają o Mary Grey? - spytał Nestor, nie okazując zdziwienia.
- Podobno Mary Grey pływała jeszcze pięćdziesiąt lat temu, a potem zaginęła. Chociaż są i tacy, co utrzymują, że widzieli ją na Cmentarzu Wielorybów czy pod Sfinksami.
- A co jeszcze mówią?
- Powiadają, że powróciła. Że jej kapitan znowu pływa po morzach. Że zemścił się na tych wszystkich, którzy zbuntowali się przeciwko niemu. Że ich wykurzył z kryjówek i pozabijał. Wszystkich.
- Nie wszystkich - szepnął ponuro Nestor.
- Ale jeśli Mary Grey jest legendą, to Metis jest nią tym bardziej. Pogłoski krążące o niej są pełne niejasności. Jedni powiadają, że to nieprawda, jakoby zatонуła, tylko została wyciągnięta na ląd, żeby już nie wyruszała w te morza. Inni utrzymują, że jeszcze żegluje po jakimś wąskim przesmyku, odnodze zasilanej wodą tego samego morza... Po takiej zminiaturyzowanej kopii Morza Zamkniętego i Labiryntu... Kobieta pochylała się i musnęła powierzchnię ciemnej wody, która zdawała się drżeć pod jej palcami jak coś żywego.
- Ale to są oczywiście tylko legendy. A dawanie wiary legendom bywa niebezpieczne.
- Czemu? - zapytał mały Flint.
- Ponieważ Metis była okrętem konstruktorów.
- Konstruktorów?
- Tych, którzy zbudowali Labirynt i zamknęli Mroczne Morze. Tych, którzy przygotowali wrota i przegrali bitwę, kiedy ich uczniowie zbuntowali się przeciwko nim i wypędzili ich z Miejsc z Wyobraźni. Tych, którzy zostali zapomniani i którzy jeszcze czekają na iskrę pamięci, żeby powrócić na morze. Konstruktorzy... jak ich nazywasz, młody człowieku? Wynalazcami? Architektami? Bogami? To ostatnie słowo zabrzmiało na plaży jak kamień rzucony w fale i odbiło się w myślach wszystkich, zanim zanurzyło się w ciemności. Zbliżali się do tych niebezpiecznych brzegów, gdzie słowa nabierają dostojności, a nad nieskończonością panuje cisza.
- Nestor pomyślał o latach, które spędził na tropieniu złudzenia budowniczych Wrót: tych, co w zamierzonej przeszłości znaleźli sposób na połączenie Miejsc z Wyobraźni z rzeczywistymi, posługując się zwykłymi drewnianymi drzwiami i kluczami z główką w kształcie zwierząt. Tyle długich lat, żeby w końcu mieć w ręku tylko garstkę pyłu i okruchów tajemnicy.
- Ja się nazywam Pandora - powiedziała kobieta, zwracając się do nich.
- A ja jestem Emmett Flint - przedstawił się młody. Kobieta wyciągnęła ręce do Nestora, który dźwignął się z trudem z piasku.
- Chcesz, żebym cię zawiozła na bagna? - zapytała. Stary ogrodnik wskazał katamaran przycumowany do pomostu. - A twoja łódź jest szybka?
- Pandora odrzuciła swoje długie włosy. - Szybsza od wiatru, kapitanie. Nestor przytaknął.
- Jeśli jednak chcesz ze mną podróżować - dodała kobieta - muszę znać twoje prawdziwe imię. Nestor pochylił się nad jej włosami i szepnął coś na ucho.

## Rozdział 13 DOLINA BĘBNÓW

Dwie postacie posuwały się wolno przez bagno, torując sobie z trudem drogę pośród namorzyn, których długie splecione korzenie zanurzone w wodzie i błocie tworzyły nieprzenikloną barierę.

Leonard Minaxo szedł przodem, wywijając maczetą, żeby zrobić przejście między pnączami, których słodkawe wyziewy zatrwały powietrze. W drugiej ręce trzymał długi kij, którego używał do badania konsystencji gruntu.

Kalipso szła cztery kroki za nim, związana z nim liną, jak alpinistka, żeby nie zatonać w trzęsawisku. Kiedy stopy Leonarda zaczynały grzęznąć w błocie, przystawała, opierając się o pień drzewa, i czekała, aż latarnik wynajdzie inną drogę.

Przy każdym zakręcie pośród tej niekończącej się płataniny korzeni, krzewów i piaszczystych mielizn Kalipso umieszczała czerwonym sprayem znak na jasnej korze. I im głębiej wchodziła w tę bagienną gęstwinę, tym bardziej znaki te kojarzyły się jej z ranami. A gdy tylko próbowała się podzielić tym wrażeniem z Leonardem, ten parsknął i zadawał jeszcze gwałtowniejsze ciosy swoją maczetą.

- Dobrze, robimy przerwę - zgodził się w pewnej chwili latarnik, rzucając plecak na ziemię. Małe białe owady rozbiegły się, by poszukać schronienia w zagłębieniach między korzeniami.

Doszli na niewielkie wzniesienie, gdzie siedli na odpoczynek. Kilka małych ciekawskich krabików wychyliło się z jamek, by się im przyjrzeć.

Leonard podał Kalipso manierkę i coś do jedzenia. Przyjęła z zadowoleniem jedno i drugie, siedząc wyprostowana i unikając oparcia się o cokolwiek; widziała za dużo stworzeń pełzających i drepcących pomiędzy korzeniami, nie miała najmniejszej ochoty, by ją oblażyły.

- Jak długo zamierzasz jeszcze wędrować? - zapytała męża, zanim oddała mu manierkę. Leonard spojrzął ku górze, jakby chciał się rozejrzeć, ale roślinność na namo-rzynowych mokradłach była tak gęsta, że niemal przesłaniała niebo. Wyglądało to jak gąbczasta tkanina naciągnięta na gałęzie.

- Za każdym razem myślę, że już powinniśmy tam być... - odparł, kręcąc głową - a tymczasem ciągle tylko ten przeklęty las.

- Wyznaczmy sobie jakiś określony czas - zaproponowała Kalipso.

- Godzinę - odpowiedział Leonard. - Idziemy jeszcze godzinę, potem zawracamy.

Kalipso ponuro przytaknęła. Kolejna godzina marszu oznaczała dwie godziny, żeby wrócić na miejsce, gdzie zaczynał się las namorzynowy, i dalsze trzy, żeby wrócić do łodzi. Pozostawili ją na brzegu w zatoczce, dużo dalej, tam, gdzie po raz pierwszy usłyszeli bębny.

To właśnie bębny przekonały Leonarda, by zagłębić się w las. Bębny i fakt, że brygantyna kapitana Spencera rozplynęła się jak zjawą.

Leonard chciał wyruszyć sam, ale Kalipso nalegała, by mu towarzyszyć. „Razem albo nikt” - przypomniawszy mu jego własne słowa, jakie wyszeptał jej w noc ich zaślubin, kiedy po raz pierwszy zabrał ją do latarni. Przez wszystkie te wspólne lata Leonard opowiedział jej, kim naprawdę jest i o wszystkim, co robił i co widział podczas swoich podróży. Powiedział jej też, przez kogo stracił oko - właśnie przez kapitana tego zaginionego okrętu. Kalipso poznała tajemne życie Leonarda w sposób naturalny, jak to zazwyczaj w małżeństwie się dzieje, i z tych luźnych kawałków opowieści, jakie jej przekazywał, bibliotekarka złożyła w swym umyśle wielką mozaikę tajemnic i starych sekretów. Nawet jeśli niektóre z nich, szczerze mówiąc, już znała...

Długo przed wyjściem za mąż za Leonarda Kalipso złożyła przysięgę. Ta przysięga była niczym kasa pancerna: strzegła małego sekretu, który może nie był aż tak mały, a któremu pozostawałaby wierna, dopóki to byłoby możliwe. Oczywiście nigdy nie kłamała swemu mężowi, ale też nie zamierzała ujawnić mu spontanicznie prawdy, w którą była wtajemniczona. Chyba że postawiłby jej konkretne pytania, wtedy Kalipso otworzyłaby swój sejf. Ale tylko wtedy. W przeciwnym razie, zafascynowana, ograniczałaby się do słuchania opowieści o podróżach i teorii Leonarda na temat Portów Snów, żaglowców o czarnych żaglach i tajemniczych budowniczych Wrót...

A jednak po tylu latach, na tym bagnie poza światem i poza czasem, Kalipso zastanawiała się, czy dalsze przemilczanie tego „trochę”, które wiedziała, miało sens. Czy jej sekret dopomógłby Leonardowi w poszukiwaniach? Czy też tylko pograżyłby go jeszcze bardziej?

Nie wiedziała tego. A w każdym razie tego dnia nie miała czasu dłużej się nad tym zastanawiać.

Bębny podjęły swe dudnienie, a echo ich miarowego rytmu rozeszło się po całym lesie. Wydawały się naprawdę bardzo blisko. Jak jeszcze nigdy. I poza dźwiękami bębnowych dochodziły ich też krzyki i dzikie wrzaski.

- Ruszamy - szepnął Leonard, dźwigając się na nogi.

„Tak” - pomyślała Kalipso. „Ruszamy”

Po chwili przez gęstwinę lasu dostrzegli przebłyski ognia. Wkrótce doszedł ich drażniący swąd dymu i spalenizny. Hałas bębnowych nasilił się i chwilami stawał się ogłuszający, trudny do zniesienia w nieruchomym powietrzu bagien.



Leonard i Kalipso posuwali się do przodu z największą ostrożnością, starając się, by ich nie zauważyli wartownicy, którzy mogliby podnieść alarm.

Teren zaczął się lekko wznosić. Piasek, kałuże pełne wody ze szlamem i grząskie błoto, po którym do tej pory wędrowali, zaczęły ustępować miejsca twardszemu podłożu i skałom. Namorzyny były coraz rzadsze i na ich miejscu pojawiły się drzewa o białych pniach, których nie potrafili nazwać. Mchy i pnącza stawały się coraz gęstsze. Pokazały się pierwsze paprocie, które wkrótce uformowały zwartą i coraz wyższą przeszkodę z wielkich szeleszczących liści.

W końcu dotarli do wierzchołka tego wzniesienia, osłaniającego rodzaj naturalnej niecki: był to amfiteatr ze skał i drzew, w którego środku mieściła się osada.

Ognie, jakie do tej pory zaledwie prześwitywały, teraz stały się nagle bardzo intensywne, niemal oślepiające. Kalipso osłoniła sobie nos chusteczką, żeby nie rozkaślać się od gęstego dymu unoszącego się z ognisk.

Zobaczyli dziesiątki, setki małp. Tańczyły nieprzerwanie w rytm bębnow, na których grali półnaczy ciemnoskórzy mężczyźni, uderzający dłońmi w napiętą skórę, w obsesyjnym i hipnotycznym rytmie. Grali bez przerwy, a kiedy jeden z nich przerywał, natychmiast zastępował go inny.

Osada składała się z kilku szmacianych chatki i z jednego większego domu zbudowanego z drewna i kamienia. Na tyłach domu było widać rodzaj dziwnej pergoli, do której umocowano kołyszące się złowrogo liny.

Leonard ścisnął dłoń Kalipso, wskazując jej główny budynek i dał znak, by poszła za nim. Biegiem skierowali się wzdłuż krawędzi wzniesienia, by móc lepiej obejrzeć całą osadę.

- Co oni robią? - zapytała osłupiała bibliotekarka z Kilmore Cove.

Leonard nie wiedział, ale wyczuwał, że cokolwiek by to było, było nie w porządku. Coś niegodziwego, podsycanego szalonym rytmem bębnow, płonącymi stosami i tańcem do upadłego małp.

Szli powoli, skuleni, zwracając uwagę, by nie wychylić się spoza gęstych zarośli, nawet jeśli mieli wrażenie, że nikt tam, w dole, nie mógłby zauważyć ich obecności. Na ostatnim odcinku czołgali się, potem wyjrżeli zza krzaków, by spojrzeć raz jeszcze na osadę z bębniami.

Obeszli tak gdzieś jedną trzecią tego naturalnego amfiteatru i znajdowali się dokładnie na tyłach murowanego domu, rodzaju małych koszar wojskowych z ośmioma okienkami.

Obok tylnego wejścia leżały na stosie stare ubrania, buty, zardzewiałe szable, dziurawe kapelusze, paski, wysokie buty nie do pary i szelki.

- Nie patrz... - szepnął do żony Leonard, próbując ręką zasłonić jej oczy. Ale było już za późno.

To, co z daleka wydawało mu się pergolą, było w rzeczywistości szubienicą, z której zwisało pięć pętli przygotowanych dla wisielców.

Kalipso podniosła rękę do ust, starając się nie krzyknąć. Ukryła twarz w ramionach Leonarda, który przeciwniemu - nie mógł oderwać oczu od tej absurdalnej osady. Co, do licha, się działo w tym miejscu zapomnianym przez Boga i ludzi?

Nagle usłyszał trzask łamanej gałęzi. Spojrzał jedynym okiem w kierunku, z którego doszedł go ten dźwięk, i zdołał dostrzec chowającą się wśród gałęzi małpę.

- Uważaj! - zdążył krzyknąć, odsuwając Kalipso od siebie na moment przedtem, zanim małpa dmuchnęła w coś przypominające świstulę.

Leonard poczuł na szyi ukłucie jak ukąszenie komara.

Spróbował się podnieść, ale zwałił się od razu całym ciężarem na ziemię i potoczył między listowię.

## Rozdział 14

### SAMI

W urzędzie pocztowym Kilmore Cove Jason i Wojnicz opuścili strzelby i wpatrywali się ponuro w dwóch kuzynów Flint, stojących jeden obok drugiego, ubabranych błotem i z lękiem w oczach.

- No więc? - zagadnął Jason, skoro żaden się nie odzywał.

Wielki Flint spojrział na niego wrogo. - Co, no więc?

- Właśnie... - powtórzył jak echo Flint średni. - Co, no więc?

- No więc, czy można wiedzieć, co tu robicie?

- A czemu wy nie powiecie nam pierwi, co tu robicie?

Jason zniecierpliwiony podniósł oczy ku niebu. - Panie Wojnicz, to są... - zaczął wyjaśniać.

- Wiem - przerwał mu Wojnicz. - Pracowali dla nas.

- Pracowali dla was? - wybuchnął Jason, podnosząc wiatrówkę. - Co znaczy, że pracowaliście dla nich?

- Nie pracowaliśmy dla nikogo! - zaprotestował wielki Flint. -1 uważaj, gdzie kierujesz tę pukawkę!

- Właśnie, uważaj Covenant! Chcesz nas pozabijać? Jason niechętnie znowu opuścił broń. - A gdzie się podział trzeci? - jeszcze spytał.

- O to możemy zapytać was! - odpalił wielki Flint, czerwieniąc się aż po uszy z oburzenia. - Coście zrobili z naszym kuzynem?

- Właśnie! Was o to pytamy! - powtórzył Flint średni.

- Gdzie się podział?

- Ale o czym wy mówicie? - zapytał osłupiały Jason.

- Nasz kuzyn poszedł do twojego domu - ciągnął chłopak, wysuwając oskarżycielsko palec - i już nie wrócił!

- Właśnie, nie wrócił... - płacząco potwierdził drugi.

- Oddajcie nam naszego kuzyna!

- Dostyc tego! - wybuchnął Wojnicz, stając między chłopcami. - Sprawa jest całkiem prosta, chłopaki. My nie mamy zielonego pojęcia, gdzie się podział ten nicpoń, wasz kuzyn. W każdym razie teraz jesteśmy wszyscy po jednej stronie. Ale nie czas na wyjaśnienia... - Spojrzał na Jasona.

- Zresztą, co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Jasne? Jason skrzywił się nieprzekonany. - Jeszcze nam nie wyjaśnili, co tu robią...

- A co myślisz, że tu robimy, panie inteligent? - wybuchnął wielki Flint.

- Według ciebie, co tu robimy, co? - dodał Flint średni. - Nie widzisz, że nie możemy wrócić do domu bez naszego kuzyna? Więc ruszyliśmy się, żeby go poszukać. Zglądaliśmy wszędzie: do lasu, na cmentarz, do latarni... Wróciliśmy nawet do twojego domu, żeby tam go poszukać, ale tam człowieka dreszcze przechodzą!

- W każdym razie - ciągnął wielki Flint - nie znaleźliśmy go.

- Nigdzie.

Kuzyni wymienili między sobą spojrzenie pełne rezygnacji.

- A co ma do tego poczta, przepraszam? - spytał zaintrygowany Jason.

Flint średni parsknął niecierpliwie, jakby odpowiedź na to pytanie była całkiem oczywista. - A to ma, że możemy tu wejść, bo posiadamy klucze! Znaleźliśmy je w księgarni na zapleczu, zanim przez te przekłete drzwi nie chlusnął na nas koniec świata... I woleliśmy przyjść tu, niż wracać do domu i narażać się na wielkie zmycie głowy, co nie?

Wielki Flint otarł nos grzbietem dłoni. - Potem zaczęły się wybuchy... Bum! Bum! Złękliśmy się, chociaż to nie była nasza wina...

- My do tego nic nie mamy! - ...no to ukryliśmy się jeszcze głębiej.

- W workach.

- Póki nie przyszliście wy.

- Właśnie, póki wyście nie przyszli...

I tak wszyscy czterej rozmawiali jeszcze przez kilka minut, kiedy bliższy huk wystrzału armatniego kazał im nagle zamilknąć i powrócić natychmiast do rzeczywistości.

- Idźmy wszyscy do schronu pod szkołą - zaproponował Jason, kiedy ucichł pogłos eksplozji.

- Do szkoły? Zgłupiałeś? - wybuchnął wielki Flint.

- Z tobą, Covenant? Ani mi się śni! - poparł go Flint średni.

- Zrobicie, co chcecie! Zostaniecie tu zamknięci albo wyjdziecie i złapią was małpy, jeśli wolicie - zniecierpliwiał się Jason. Potem spojrzął na Wojnicza i pokiwał głową. - Z nimi nic się nie da zrobić. Idzie pan ze mną?

Wojnicz zastanowił się, zanim odpowiedział. - Nie, zostanę tutaj.

- Zostanie pan tutaj? - powtórzył Jason z niedowierzaniem.

- Ktoś będzie musiał wyjść na spotkanie moich ludzi, kiedy przybędą...

- Przybędą za trzy godziny, jak dobrze pójdzie!

- Mówię poważnie, chłopcze. Zostaję tu - Wojnicz ścisnął paczkę pani Stelli i zaczął nią przesuwac tam i z powrotem po ladzie.

- Jak pan sobie życzy - burknął Jason, zarzucając sobie wiatrówkę na ramię.

-Mam przy sobie zeszyt Moreau... - dodał jeszcze Wojnicz. - Co jakiś czas będę go otwierał, żeby zobaczyć, czy jesteście, i w ten sposób możemy być w kontakcie.

Jason skinął głową na zgodę.

- Myślę, że to dobry pomysł. - Rzucił okiem na dwóch kuzynów coś między sobą knujących na stronie i dorzucił: - A czy oni stanowią jakiś problem?

- Nie, chyba nie - odpowiedział szef Podpalaczy. - Powiedzmy, że... jeżeli pojawią się małpizony, przynajmniej będzie nas trzech, by je godnie powitać.

Jason zawrócił do drzwi. - Do zobaczenia zatem. Zajrzy pan do zeszytu, dobrze? - I nie czekając na odpowiedź, wyszedł.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Wojnicz zajął się znowu przesyłką od pani Stelli. Położył pakunek na pochylni prowadzącej do podziemi, ale nie zdecydował się go spuścić.

- Co się dzieje? - zapytał wielki Flint, podchodząc bliżej. - Nie chce pan nadać swej przesyłki?

Wojnicz westchnął. - Prawdę mówiąc, mam wielką chęć ją otworzyć i zajrzeć do środka... - wyznał.

- To dlaczego pan jej nie otwiera? - zachęcił go chłopak. - Nikt tego nie zobaczy. Z wyjątkiem nas, oczywiście.

- Ale my się nie liczymy! - wtrącił się średni Flint. - My jesteśmy ci niedobrzy!

- Właśnie. Raz otworzyliśmy paczkę przeznaczoną dla taty, ponieważ myśleliśmy, że to automatyczne nożyce do żywopłotu... tymczasem to były tylko durne książki! Pamiętasz?

- Pewnie! Przeżyliśmy wielki zawód... - Średni Flint pokiwał smętnie głową.

Kiedy tak rozmawiali, Wojnicz zabrał się do przygotowania drugiej paczki. Wsunął do niej swój rękopis, obwiązał go starannie sznureczkiem, paczkę zaplombował, napisał na wierzchu nadawcę i zaadresował na siedzibę Podpalaczy na Frogmal Lane w Londynie.

- Gotowe - oznajmił zadowolony.

- Teraz są dwie paczki - zauważył ze swoją zwykłą bystrością wielki Flint.

Usłyszeli szuranie kroków na placu, a przy tym dziwnie niezrozumiałe głosy.

- Mały! - wyjąkał Wojnicz. - Szybko! Schowajcie się!

Kuzyni Flint nie kazali sobie tego dwa razy powtarzać.

Wojnicz przykucnął za ladą, otworzył okienka i wrzucił w otwór obie paczki. Ta od pani Stelli nabierała rozpędu, jakby zjeżdżalnia ciągnęła się na dziesiątki, dziesiątki metrów w głąb.

Głosy i harmider na placu się nasiliły. Mężczyzna usiadł na ziemi, chwycił za strzelbę i sprawdził godzinę. „Dwie i pół godziny” - pomyślał. „Jeszcze dwie i pół godziny i będą tutaj”.

## Rozdział 15 RADIO ZERO

Dziwaczny mechaniczny stwór poruszał się z biegiem podziemnej rzeki, posuwając się nieregularnymi podrygami ze znaczną szybkością. Peter siedział przy sterach, podczas gdy Rick obserwował okolicę przez górny luk. Nie dlatego, żeby pejzaż był aż tak interesujący: był to monotony ciąg skał, które ginęły w górze z jednej strony, i niekończących się meandrów Labiryntu z drugiej. Pomyślał, że nigdy by się nie oswoił z myślą, że wszystkie Miejsca z Wyobraźni są powiązane tą jedną strukturą zbudowaną w głębi szpary, która je oddzielała od rzeczywistości. A jednak tak było. On i Peter mieli dopiero jeden z licznych tego dowodów.

Siedzący obok Ricka genialny zegarmistrz z Kilmore Cove zachowywał się jak dziecko, które po raz pierwszy w życiu zwiedza lunapark. Odkąd wyruszyli, nie przestawał rozglądać się dokoła, wydawać okrzyków podziwu i zaglądać do kilku swoich olbrzymich arkuszy rysunkowych, pokrytych ciągami niekończących się i niezrozumiałych obliczeń.

- To miejsce musi mieć swoją geografie! - zawołał w pewnej chwili. - Jeśli się tu wpłynie przez wodospad w Wenecji, dotrze się do źródeł rzeki... Jeśli się natomiast wejdzie przez zburzoną kopułę, jak mi opowiadałeś, to się trafi do Kilmore Cove...

Na dźwięk nazwy swojego miasta, Ricka dopadł nagły atak tęsknoty. Pomyślał o swoim domu, o matce, o przyjaciółach. Przyszła mu na myśl Julia i przez chwilę pragnął, aby cała ta przygoda zakończyła się jak najprędzej, żeby mógł wreszcie uściskać przyjaciółkę. Ale - o ile się orientował - jedynym sposobem na wydostanie się z Labiryntu do Kilmore Cove był balon, który wiele lat wcześniej właśnie Peter przygotował dla Penelopy, a który obecnie kołysał się na linie przyczepionej do mostu zwierząt w sercu Salton Cliff.

- W Wenecji, w pracowni, mówiłeś nam o jakimś okręcie... - odezwał się Rick do Petera, bardziej dlatego, żeby się otrząsnąć z uporczywych myśli o domu, niż z prawdziwego zainteresowania.

Wynalazca natychmiast podniósł głowę znad swoich za-bazgranych papierów i spojrzął na niego tak, jakby Rick dopiero co zmaterializował się w kabinie.

- O okręcie kapitana Spencera - powiedział. I bez zbędnych wstępów zaczął opowiadać. Opowiedział, jak widział przyplływający do Wenecji okręt pod czarnymi żaglami, i o piracie, który zawarł pakt z jakąś egzotyczną kreaturą i dlatego nie podlegał procesowi starzenia, szachraju mózgu, który na pokładzie swego okrętu przemieszczał się dowolnie po Miejscach z Wyobraźni i po tych w świecie realnym. Opowiedział, jak ich drogi się skrzyżowały i jak to on z Ulyksesem i przyjaciółmi pokonali kapitana, odbierając mu okręt i osadzając go potem na mieliźnie pośród niedostępnych bagien. - Ja chciałem go zatopić... - wyznał Peter. - I spalić żagle. Ale pozostali, zwłaszcza Nestor, nie chcieli o tym słyszeć. Dla Nestora zatopienie okrętu było jak zabicie człowieka. A poza tym mieliśmy pewność, że Spencer nigdy nie opuści swojej wyspy i nie odnajdzie okrętu...

- A jak zdołał go odnaleźć? - zapytał Rick, podskakując, w miarę jak metalowy pająk rwał do przodu.

- Sam sobie zadaje to pytanie... - odpowiedział zamyślony Peter. I po chwili dodał: - Ale przypominam sobie, że był pewien marynarz, który zbuntował się z resztą starej załogi i który odstawił nas na ląd, po tym jak osadziliśmy Mary Grey na mieliźnie.

- Marynarz?

- Olbrzym o hebanowej skórze, imieniem JohnDoo - przypomniał sobie Peter. - Oprócz Blacka, Nestora, Pe-nelopy, Leonarda i mnie był jedynym człowiekiem znajdującym dokładne położenie okrętu.

- Może więc to on...?

- To jedyne wyjaśnienie. Spencer mógł uciec z więzienia na wyspie, odnaleźć JohnaDoo i dzięki niemu - swój stary okręt.

- Tak więc znowu powrócił na scenę.

- Właśnie - odparł Peter. - I dlatego się ruszyliśmy. Przybył do Wenecji, ale to było w gruncie rzeczy łatwe. Najważniejsze, żeby nigdy nie odkrył kursu na Kilmore Cove...

- To dlatego my teraz... - zawahał się Rick - idziemy... powstrzymać tego Spencera, tak?

- Tak - potwierdził Peter.

- A dokąd dokładnie płyniemy?

Wynalazca przestał na chwilę prowadzić swego pająka--amfibię i posłał Rudzielcowi długie spojrzenie. - A wiesz co? Nie pomyślałem o tym - powiedział i powrócił do prowadzenia w ciemności. Następnie zaczął gmerać przy sterach, żeby włączyć prymitywną aparaturę radiową, mrużąc sam do siebie: - Kto wie, może ktoś tu, na górze, nadaje muzykę klasyczną...

Rick patrzył z niedowierzaniem na genialnego zegarmistrza. I znowu pojawiła się w nim wątpliwość, czy sobie żartuje czy brakuje mu jednej klepki.

Nie dawało rady. Nie było mowy, absolutnie nic się nie dawało zrobić.

Baterie radia w latarni były całkiem rozładowane, a poza tym, jak we wszystkich wynalazkach Petera, zasilala je energia słoneczna. W nocy nie było sposobu, by je naładować.

Black Wulkan nacisnął przycisk nadawania tego pudełka z czarnego bakelitu, krzycząc do mikrofonu: - HALO! LEONARD! SŁYSZYSZ MNIE? HALO! HALO! SPRÓBUJ! SPRÓBUJ! ALFA! BRAVO! CHARLIE! Kręcił gałką w prawo i w lewo, usiłując nastawić radio na „częstotliwość zero”, jedyną zdolną połączyć miejsca realne z Miejscami z Wyobraźni. O ile Black pamiętał, częstotliwość zerowa była echem promieniowania tła wszechświata, wydzielonego podczas Wielkiego Wybuchu, i to na niej miały działać różnego rodzaju projektowane przez Petera aparaty radiowe. A tymczasem ten przeklęty wihajster nie łączył się po prostu z niczym. Wydawał tylko jakieś słabe brzęczenie, świst, chroboty owadów, niezdolne nawet przebić się przez szum deszczu padającego zawzięcie na pogaszone lampy latarni.

Widziana z góry zatoka Kilmore Cove miała w sobie coś apokaliptycznego: od wschodu chmury rzedły i ustępowały miejsca złocistym smugom coraz to silniejszym, kiedy promienie słońca przebijały się przez zasłonę na niebie jak pazury kota. Burza nad miasteczkiem ucichła i przeszła w ulewny deszcz, który teraz padał pionowo bez wiatru. Morze wyglądało jak powierzchnia termityery.

Black spróbował ostatni raz uruchomić radio, potem skrajnie zniechęcony odrzucił mikrofon.

Nic. Cisza. Zupełna ciemność. Ciemność absolutna i deszcz.

Nie można się skontaktować z Leonardem. Nie sposób wytropić Ulyksesa. Peter zabawia się w Wenecji. Wszystko wskazuje na to, że oto musi całkiem sam stawić czoła ich najgorszemu wrogowi.

Wrogowi zbyt straszному, żeby mieszać w to dzieci.

Podniósł się z krzesła, oparł ręce na biodrach i spróbował się zastanowić. Przeniósł wzrok z brygantyny kołyszącej się na redzie na ruiny Willi Argo na szczycie urwiska. Salton Cliff bez wieńczącej je wieżyczki nie było już takie samo.

- Kombinuj, stary... kombinuj... - powtarzał sobie Black. - Ilu ich jest, jak myślisz?

Dzieci widziały jakiegoś marynarza o ciemnej skórze, to na ładzie, i zakapturzonego typa na pokładzie.

Poza nimi załogę stanowiły, jak się zdaje, tylko małpy.

Black zaklął, stojąc za szybą w morskiej latarni, zmęczony poczuciem bezsilności.

Jeśli nie liczyć małp, to Spencer właściwie był sam.

Sam.

„Jak, u licha, udaje mu się kontrolować te zwierzęta?” - zapytywał sam siebie. Jak wydawał rozkazy, żeby rozumiały? To było zasadnicze pytanie. Gdyby tylko Blackowi udało się zerwać więź między Spencerem a marynarzami, raz jeszcze wywołać bunt...

Niejasny pomysł zaczął kielkować mu w głowie, zagmatwany i niewykonalny. A jednak może jedyny zdolny ocalić miasteczko.

- Leonard? - zatrzeszczało niespodziewanie radio. Black zadrżał. - Leonard Minaxo?

Black chwycił za mikrofon z sercem w gardle. - Tu Black Wulkan! Kto mówi?

Zwolnił kanał zero w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Black! Stary potworze! Jak ci leci?

Głos dobiegający przez radio był dziwny. Daleki, a jednak znajomy. Był to głos, którego maszynista z Kilmore Cove od dawna nie słyszał. Zajęło mu kilka sekund, zanim go rozpoznał, ale gdy tylko to się stało, radość napełniła mu serce.

- Peter! - zawołał. - Powiedz mi, że to ty!

Musiał nastawić głośność na maksimum, ponieważ głos przyjaciela był bardzo daleki, zaledwie jak szept.

- Jasne, że to ja! A myślisz, że kto?

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię słyszę, stary draniu! Ale gdzie jesteś? W Wenecji?

Kilka sekund musiał czekać na odpowiedź. - Będzie prościej, jeśli ty mi powiesz, gdzie jesteś!

- Jestem w Kilmore Cove! W latarni! I pojawił się Spencer!

- Spencer? - kolejna przerwa, dłuższa. - Niemożliwe!

- Powiadam ci, jest tutaj, w zatoce!

- Ale jak odnalazł kurs?

- A skąd mam wiedzieć! Wiem tylko, że ten szubrawiec ostrzeliwuje nas z armaty. - Zgromadziliśmy ludzi w schronach, a ja... szukam pomocy!

- No cóż, mój stary, widzę, że jej naprawdę potrzebujesz! Po żarciku, jaki mu zrobiliśmy ostatnim razem, pewnie ma ochotę odegrać się na nas i upiec nas wszystkich na wolnym ogniu! Zaczynając od Ulyssesa.

Black roześmiał się nerwowo i jeszcze zbliżył do mikrofonu, ponieważ głos przyjaciela się oddalał.

- Peter, posłuchaj! - zawołał. - Musimy uruchomić twoją starą broń! Słyszysz mnie?

Głos przyjaciela dobiegł go jak bulgotanie: - Mowy nie ma! Nigdy jej nie wypróbowaliśmy, mogłaby się okazać bardzo niebezpieczna...

- A masz inny cudowny pomysł do zaproponowania? Czy może myślisz, że już dosyć się nacieszyłeś swoimi wa-kacyjkami i przyjedziesz tu we własnej osobie mi pomóc?

- Ba, jeśli tak stawiasz sprawę, myślę, że przyjadę. Już dość dawno nie robiłem w domu porządków.

Black poczuł, jak serce mu podskoczyło. - Mówisz... serio?

- Tak. Teraz znajduję się gdzieś pod ziemią. Daj mi tylko czas, żebyśmy się zorientowali i odnalazł drogę do domu...

- Ależ to fantastycznie!

- I posłuchaj mnie: nie uruchamiaj tej broni ZA ŻADNE SKARBY. Zrób trochę zamieszania, trochę dywersji, staraj się zyskać na czasie, ale nie ruszaj za nic Dźwigni Syren! Rozumiesz? Zaczekaj na mnie!

- A ile ci to zajmie czasu?

Cisza.

- A niech to! Peter, słyszysz mnie jeszcze?

Radio cicho brzęczało.

Połączenie się przerwało. Głos Petera Dedalusa znikł w meandrach czasu i przestrzeni rozciągających się pod Kilmore Cove.

Zyskać na czasie, powiedział zegarmistrz. Zrobić jakąś dywersję.

Słusznie, ale... jak?

Black Wulkan znowu zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju w latarni, szukając w głowie pomysłu.

- W porządku - powiedział sobie na koniec. - Zajmijmy się jedną sprawą naraz.

Odsunął mapy i książki, jakie Leonard zgromadził w swej pracowni, i wyszedł. Doszedł do tablicy rozdziel-  
BumaBwiHa: 153 .....—

czej, odszukał dźwignie, które regulowały światła latarni, i włączył je wszystkie na maksymalną moc.

Awaryjny agregat w podziemiach ruszył z warkotem i Blackowi się wydawało, że wprost widzi, jak prąd elektryczny, trzeszcząc, płynie w kablach.

Wielkie światło latarni zapaliło się i przecięło na pół chmury jak cięciem szabli.

Black zszedł szybko po schodach.

- Teraz wiesz, gdzie jestem, Spencer... - ryknął. - Ale nie sprawię ci tej satysfakcji, żebyś mnie tutaj złapał.

Opuścił latarnię. Ariadna w stajni zarżała niespokojnie. Black nie zwrócił na nią uwagi i wszedł do domu Leonarda, od którego miał klucze. Odszukał starą skrzynię--ławę. Kiedy ją otworzył, buchnął mu w nozdrza zapach naftaliny.

-Jak na wariata, to na wariata, ale przynajmniej róbmy to jak trzeba... - mruknął pod nosem.

Wyjął kunsztownie rzeźbiony drewniany kuferek, na którym poprzedni właściciel umieścił na złotej tabliczce własne nazwisko: Francisco Vasquez de Coronado.

Owinęta w czerwony aksamit leżała w niej para pistoletów o długiej lufie i kolbie z kości słoniowej. Dwa wspaniałe egzemplarze hiszpańskiej manufaktury, zdobyte w już nieistniejącej krainie.

- A teraz... kamizelka - mruknął Black Wulkan, rozglądając się dokoła.

## Rozdział 16

### WIĘŹNIARKA KAPITANA

Pierwszą rzeczą, jaką Julia zobaczyła, był pokład; listwy z ciemnego drewna falowały w jej oczach, a widziała je przez jasną mgiełkę. Nic nie pojmowała. Wpatrywała się w te listwy, aż mgiełka się rozwieje; otępiona nieustannym bólem w karku, w miejscu, gdzie została uderzona. Potem usłyszała odgłos kroków dudniących po pokładzie i zauważyła parę zbliżających się czarnych butów z cholewami i zatrzymujących się kilka kroków od niej.

Ochrypli, męski głos rozkazał: - Obudźcie ją.

Dwie małpy pochwytyły Julię za ramiona i zaczęły nią potrząsać, ale dziewczynce wystarczył cuchnący odór idący od nich, żeby całkiem otrzeźwieć.

- Precz z łapami! - krzyknęła.

Dwie rozszłoszczone małpy, wrzeszcząc, podrzuciły ją i posadziły na ziemi.

- Ty jesteś bliźniaczką z Willi Argo? - zapytał ją ten sam głos co przedtem.

Julia przełknęła ślinę i wolno podniosła wzrok. Naprzeciwko niej stał silnie zbudowany, wysoki, bardzo wysoki mężczyzna. Z bliska i z dołu wyglądał jak posąg. Buty miał lśniące, ręce potężne i silne. Mundur neriaganny i dziwnie pachnący. Stanowił całkowity kontrast ze zgrają otaczających go cuchnących małp. Dziewczynka spróbowała grać na zwłokę. - To ty jesteś kapitanem Spencerem, prawda? - zapytała głosem lekko drżącym, zastanawiając się, skąd ten człowiek o niej wiedział.

Pirat przyklęknął przed nią. Z bliska jego twarz wydawała się wyrzeźbiona w drewnie tekowym: wysokie kości policzkowe, głęboko osadzone oczy, usta ładnie zarysowane, nos prosty jak igła kompasu.

- To ja - odpowiedział, wydmuchując powietrze między lśniącymi zębami.

Julia odruchowo spróbowała się cofnąć, ale nie było dosyć miejsca, żeby to zrobić. Nagle ogarnęła ją panika i zrozumiała, że z tym człowiekiem nie ma żartów. Krzyknęła: wydobyta z pochwy szabla kapitana Spencera błysnęła i przygwoździła do pokładu sznurowadła tenisówek dziewczynki.

- Teraz... mogę się dowiedzieć, czy moi chłopcy przynieśli mi osobę, której szukałem, czy też mam cię wrzucić do morza?

- To... to ja... - wyjąkała Julia. - Jestem Julia Covenant.

- Bardzo dobrze - mruknął Spencer.

Podniósł się, wyciągnął szablę ze sznurowadeł Julii i kazał jej wstać. Dziewczynka spróbowała i uświadomiła sobie, że drżą jej kolana. Zakręciło się jej w głowie. Spojrzała na wrzeszczące wokół nich małpy i na dymiące domy Kilmore Cove.

- Czego chcesz? - spytała w końcu.
- Tylko jednego: twój przyjaciel, Ulyssesa Moore'a - odpowiedział kapitan Spencer.
- Ja... nie wiem, gdzie on jest... - odparła Julia.

Pirat założył ręce z tyłu i spojrzał na morze. Na szczycie urwiska w parku Willi Argo błyskały świetlne sygnały. Sygnał długi, sygnał krótki. Sygnał długi...

„Alfabet Morse'a” - domyśliła się Julia.

Spencer odczekał, aż wiadomość zostanie przesłana, i powiedział: - Twego brata tam nie ma. Ani ogrodnika.

Zaśmiał się szyderczo.

„Wszystko wie” - pomyślała Julia z przerażeniem. „Ale jakim cudem?”

Chciała coś powiedzieć, ale on ją uprzedził: - Schwyciłem twoich rodziców. Są jeszcze na łodzi, ale nic nie powiedzieli. Powtarzają, że nic nie wiedzą o waszym... kulawym ogrodniku.

- Co zrobisz moim rodzicom? - zawołała rozwścieczona Julia.
- Nic takiego, czego nie mógłbym zrobić i tobie, jeśli też nie będziesz mówić - odpowiedział najspokojniej kapitan Spencer. - Mogę wyrwać ci po kolei wszystkie paznokcie albo zanurzyć cię w beczce pełnej mrówek...

Julia spróbowała go nie słuchać: oceniała odległość, jaka dzieliła brygantynę od brzegu.

- Jeśli tylko spróbujesz wskoczyć do morza... - odezwał się Spencer, jakby czytając w jej myślach - każę cię zastrzelić.

- Komu? Swoim małpom?

Spencer się zaśmiał. - Masz charakterek, Julio Covenant! Mówiono mi o tym.

- Kto ci mówił?
- I jesteś milutka... - ciągnął z szyderczym uśmiechem kapitan. - To doprawdy przykre być zmuszonym do tortur, by cię skłonić do ujawnienia, gdzie się ukrywa ten podły tchórz Ulysses Moore.
- Powiadam ci, że nie wiem! Pojęcia nie mam!
- Kłamiesz. Nie chcesz mi powiedzieć? Ty? Powiedzą mi twoi rodzice albo brat.
- Jason nigdy się nie da złapać.

Kapitan Spencer znowu uśmiechnął się ironicznie.

- Wiesz, ile razy słyszałem takie zdanie? A tymczasem w końcu wszystkich ich złapałem, jednego po drugim. Myśleli doprawdy, że im się upiecze. Że mogą uniknąć mojej zemsty. Co za dziecinada! Ja jestem mistrzem w tego rodzaju polowaniu, żyję tym. Powiedz mi, gdzie przebywa Ulysses Moore... a ja daruję ci życie.

- I mam ci wierzyć? - spytała pogardliwie Julia.

Spencer wskazał Willę Argo. - W twoim domu, akurat

teraz, jest mężczyzna, z którym zawarłem układ. - Tupnął obcasem o pokład. - On wiedział, gdzie się znajdował mój okręt, a ja wiedziałem, jak przedłużyć jego życie... Jak widzisz, zaufaliśmy sobie. I powróciliśmy do interesów. Masz szczęście, Julio Covenant: poszukuję jeszcze czterech osób, a ciebie wśród nich nie ma. No więc jak, masz mi coś do powiedzenia?

Julia pokręciła głową, ale pirat ją powstrzymał: chwycił ją za twarz i przytrzymał nieruchomo, patrząc jej w oczy. - Nie każ mi tracić czasu - rozkazał. - Gdzie on jest?

Kiedy ją puścił, dziewczynka o mało co nie zemdląca ze strachu.

- Zrobimy tak. Ja teraz spróbuję ci pomóc... - szepnął Spencer - a ty potem pomożesz mnie. Co masz do powiedzenia o ślepym Leonardzie?

Julia zmusiła się do zachowania spokoju. - Wypłynął w morze... Nie wiem dokąd.

- Bardzo dobrze. Widzisz, jaka z ciebie grzeczna dziewczynka? A Peter Dedalus?
- Już tu nie mieszka.
- Wspaniale, panienko. Nie musisz nic dodawać. Wiem: mieszka w Wenecji i przekazałem innym zadanie, by się nim zajęli, chociaż nie powiem, żeby mi nie sprawiło przyjemności zabicie go osobiście... Dalej. Kolejny?

- Ja... ja nie wiem...

- Pomogę ci: widzisz światło latarni morskiej? Jak sądzisz, kto je włączył?

Julia pociągnęła nosem i przytaknęła. Tak. To był Black.

- A teraz przejdźmy do grubszego zwierza: chcesz mi powiedzieć o kulawym?
- Poszedł gdzieś - powtórzyła Julia.
- To trochę za łatwe, nie wydaje ci się?
- Przysięgam ci! Zniknął... nagle, bez słowa. Nikt z nas nie wie, dokąd poszedł!

Kapitan Spencer odczekał kilka chwil, po czym powiedział z zimną krwią: - Naprawdę chcesz, żebym kazał przybić twego brata do grotmasztu?

Julia nie potrafiła dłużej się powstrzymać i wybuchła płaczem.

- No nie! - pirat udał rozżalonego. - No nie! A tak dobrze szło! Zostawmy twego brata, chcesz?

Mogę zrobić to samo z twoim ojcem albo matką, jeśli wolisz! Wybór należy do ciebie. Chyba że mi powiesz, dokąd się udał kulawy.

- Odszedł po przeczytaniu listu od Penelopy! - zawołała Julia, szlochając.

Na dźwięk tego imienia kapitan Spencer spochmurniał. - Jakiego listu?

- Tego, który do niego napisała, nim zniknęła. On go przeczytał, dowiedział się, że Penelopa jeszcze żyje, i udał się na jej poszukiwanie.

- Ale przecież Penelopa nie żyje - powiedział zdumiony Spencer.

Julia przestała nagle płakać i otworzyła usta.

- Mogę cię zapewnić - dodał pirat. - Sam ją zabiłem w Krainie Puntu, kiedy zrozumiałem, że nigdy mi nie udostępni map, dzięki którym mógłbym dopłynąć do Kilmore Cove. Zamknąłem ją w bibliotece i podpaliłem cały budynek!

Julia poczuła, jak ostatnie łzy spływają jej po policzkach. Przypomniała sobie nagle podróż Jasona i Ricka do tego Miejsca z Wyobraźni: opowiadali jej o jakimś gigantycznym pożarze, który strawił całe skrzydło biblioteki. I o tym, jak szukali mapy Kilmore Cove strzeżonej tam w sekretnej komnacie. Mapy, która potem wpadła w ręce Obliwii Newton i która...

Penelopa zmarła, strzegąc tej tajemnicy? Wydawało się, że upłynęło tysiąc lat.

Julia pomyślała o tym wszystkim i podniosła wzrok na Spencera. Cały strach nagle ją opuścił. - Jeśli tak, to ty powinieneś się bać Ulyssesa Moore'a.

- Co powiedziałaś, przepraszam?

- Kiedy się dowie, że zabiłem Penelopę, nic go już nie powstrzyma.

Spencer wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

- Boisz się go - ciągnęła dziewczynka, czując jak się czerwieni.

- Tak, Julio Covenant, masz rację! Boję się! Strasznie się boję Ulyssesa Moore'a! Jestem wprost przerażony! - Pirat popatrzył na nią z politowaniem. - Widać, że nic nie rozumiałaś, dziewczyno! Ja nie mogę umrzeć. I nigdy niczego się nie bałem!

Uniósł rękę i dał znak swojej małpiej załodze.

- Znieście ją na dół! - rozkazał.

## Rozdział 17

### TAJEMNA BROŃ

- Ojcie Feniksie! - zawołał Jason na korytarzu w podziemnym schronie.

Już prawie wszyscy byli tu, w podziemiach, a przecież nie brakowało powietrza i wcale nie było duszno.

Po trochu mieszkańcy Kilmore Cove jakoś się urządzali. Jedni żywo rozprawiali, inni się położyli, by odpocząć po tym nagłym wyrwaniu ze snu. Najmłodszy wyglądał na najbardziej wystraszonego, podczas gdy osoby starsze ten nastrój militarnego konfliktu jakby ożywił. Jak gdyby sama myśl o wojnie rozbudziła w nich wojowniczego ducha z dawnych lat.

Przygotowując schrony, grupa przyjaciół z Wielkich Wakacji wykonała doskonałą robotę: miejsca by wystarczyło na drugie tyle mieszkańców Kilmore Cove, a pomieszczenia zostały zaopatrzone w rozwiązania techniczne bardzo pożyteczne, choć nieco dziwne. Prądnica zapewniała oświetlenie w obiegu zamkniętym, wielkie szumiące wentylatory nadmuchiwały wciąż świeże powietrze. Przy zbiorowych sypialniach z piętrowymi łóżkami były łazienki z ciepłą wodą, a w każdym korytarzu co najmniej jedno ambulatorium, jedna sala sterylna przeznaczona do pilnych zabiegów, dwie duże kuchnie, magazyn wypełniony konserwami z żołnierskimi racjami, szereg automatycznych pralek z recyklingiem wody i mydła, nie licząc podziemnego zbiornika na wodę, który przypominał basen olimpijski. Była też stacja kolejowa, połączona z równoległą linią Klio, w razie konieczności ostatecznej ewakuacji miasteczka. Jasonowi wydało się nieprawdopodobne, że zaledwie czwórka przyjaciół, w dodatku w tajemnicy, zdołała to wszystko urządzić: bardziej logiczne wydawało się, że ten schron istniał wcześniej i oni go tylko odkryli. Może pochodził z okresu drugiej wojny światowej albo jeszcze wcześniejszych, z okresu wojen budowniczych Wrót, a przyjaciele go tylko na nowo urządzili i wyposażyli we współczesne wygody.

- Ojcie Feniksie! - powtórzył Jason, biegnąc wśród tłumu, by dogonić księdza. - Gdzie jest moja siostra?



Proboszcz przetarł oczy i pomasażował sobie skronie. Widać było, że jest bardzo wyczerpany. - Posłałem ją, żeby otworzyła przejście pod szkołą, a potem... tu, w podziemiach, jeszcze jej nie widziałem, ale... teraz już jesteśmy wszyscy. Już zamknąłem wejście przez kościół.

- A Black? Wrócił?

- Jego też nie widziałem - odparł ojciec Feniks. Potem zauważył wiatrówkę przewieszoną przez ramię chłopca i spytał go, skąd ją wziął.

Jason opowiedział mu pokrótce o napadzie w pracowni zmarłego preparatora i wyjaśnił, że Wojnicz zamknął się na poczcie w oczekiwaniu na pomoc.

- Musimy coś zrobić... - wyszeptał na koniec. Przerwał, a po chwili dodał: - Black mi opowiedział o jakiejś broni, gdzieś tu, w podziemiach... Coś księdzu o tym wiadomo?

Ojciec Feniks patrzył mu przez chwilę prosto w oczy. Widać było, że intensywnie myśli. - Coś słyszałem, tak - przyznał w końcu.

- Co takiego? - dopytywał się niecierpliwie Jason.

- No dobrze... - zdecydował się proboszcz. Wycofał się na chwilę z kręgu otaczających go osób i poprosił grupę chłopców, aby go zastąpili przez kwadrans, polecając im uważać na to i owo, udzielił krótkich wskazówek burmistrzowi i dwóm strażakom i w końcu wrócił do Jasona, by poprowadzić go w głąb schronu. - Przed swoim odejściem - zaczął opowieść - Penelopa wspomniała mi o systemie obronnym, jaki ona wraz z przyjaciółmi zaczęli projektować, ale potem postanowili od niego odstąpić, kiedy dla uniknięcia różnych problemów zamknęli wszystkie Wrota... Słuchasz mnie?

Jason przytaknął. Nigdy tak całkiem nie zrozumiał, jaką rolę odegrał ojciec Feniks w grupie przyjaciół z Wielkich Wakacji. Raz wydawało mu się, że ksiądz jest wtajemniczony we wszystko i uczestniczył w tym osobiście, kiedy indziej przeciwnie, trzymał się na uboczu, jak obcy.

Doszli do pancernych drzwi i ksiądz w ciężkim pęku średniowiecznych kluczy od Blacka zaczął szukać tego właściwego. - Po zamknięciu Wrót sądzili, że uniknęli wszelkiego rodzaju zagrożenia, i przez jakiś czas rzeczywiście tak było. Przynajmniej do waszego pojawienia się. Ale ja nigdy w to bezpieczeństwo nie uwierzyłem. Wiedziałem, że wcześniej czy później coś się wydarzy. To było nieuniknione...

Wypróbował ze dwa klucze i w końcu przy trzecim zamek puścił i drzwi się otworzyły, skrzypiąc na zardzewiałych zawiasach. Wszedł do środka i zapalił światło.

Jason ujrzał się w swego rodzaju centrali rozdzielczej przypominającej scenerię ze starego, czarno-białego filmu fantastycznonaukowego: prawie całą jedną ścianę zajmowała makietka Kilmore Cove, na podłodze leżała wykładzina, na niej stały stoły laminowane, były kontakty z okrągłymi światełkami, brzuchate telewizory, adaptory na winylowe płyty z kolekcją starych longplayów i duży telefon z czarnego bakelitu postawiony na liście z wykazem numerów.

- Co to za miejsce...?

- To było studio radiowe Blacka Wulkana... i wiele innych rzeczy. Peter nazywał je Olimpem, ale... - Ojciec Feniks manipulował przez chwilę różnymi włącznikami, zanim udało mu się uruchomić te właściwe. Rząd różnych aparatów pod ścianami zaczął brzęczeć jak rój szerszeni. - Peter miał słabość do górnolotnych nazw. Chodź. Siadaj.

Ojciec Feniks usiadł na starym fotelu z lat siedemdziesiątych i wskazał drugi chłopcu.

Poskrzypując, włączały się kolejne telewizory. Z czerni ekranów wyłaniało się z wolna coś białoszarego i w końcu ukazały się wyraźnie różne widoki Kilmore Cove.

- Ojoj! - zawołał Jason. - Ależ to... jest plac Williama!

Wskazał pierwszy z ekranów, który odbierał widok głównego placu. Na makiecie w odpowiednim miejscu zabłysło zielone światełko.

- Czy to są telekamery... rozmieszczone na mieście?

- Nie całkiem... - szepnął ojciec Feniks. - To jest system luster i prymitywna kamera filmowa, którą Peter wydobyl z rozmontowanego projektora. Ten widok jest ujęty z oczu pomnika króla Williama... Jason odniemał.

Drugi telewizor przekazał obraz jednostajnie szary.

- To chyba nawaliło - ocenił ksiądz. Stuknął kilka razy w telewizor, ale obraz się nie poprawił.

Inne ekrany pokazywały główne ulice Kilmore Cove smagane deszczem, plażę obok małego portu (a przynajmniej to, co z niego pozostało), balkony domu panny Biggies, aleję tonącą w błocie i krzewy przed Domem Luster, podwórze przed domem Leonarda widziane ze szczytu wieży latarni morskiej...

- Ktoś jest w stajni - zauważył Jason, wskazu-

Sjąc na światło wychodzące z boksów dla koni. - Może to Black. Moglibyśmy z nim porozmawiać?

Ojciec Feniks popatrzył na pulpity sterownicze. - Nie. Obawiam się, że nie.

Patrzyli tak jeszcze przez chwilę jak zahipnotyzowani, aż na jednym z ekranów zobaczyli grupkę małych przebiegających przez plac przed urzędem pocztowym.

- A niech to! - zawołał Jason. - Tam jest Wojnicz z Flintami!

Małpy już obwąchiwały wejście. Potem, jakby coś wywęszyły, i otworzyły drzwi z szablami w garści.

- Musimy pójść im na pomoc! - Chłopiec zerwał się na równe nogi. Ojciec Feniks jednak go przytrzymał: na ekranie widać było, jak małpy wchodziły kolejno na pocztę, a po chwili wychodziły, jak gdyby nigdy nic.

Jason pokręcił przejęty głową. - Nie rozumiem...

- Może się ukryli - domyślił się ojciec Feniks. - Małpy za krótko tam były, żeby ich...

„Pozabijać” - dokończył w myśli Jason. Ksiądz miał rację: małpy wyglądały na spokojne i opuściły pocztę tak, jak weszły. „No to gdzie się podzieli Wojnicz i tamci dwaj?”

- Mam pomysł - powiedział nagle Jason, rozchmurzając się. Podniósł słuchawkę z czarnego bakelitu i spojrzał na numery wypisane na liście: Leonard, Willa Argo, Chubber, mieszkanie Blacka Wulkan, Dom Luster, księgarnia „Dobrych książek ocalonych z morza”, pani nauczycielka Stella... Był też numer urzędu pocztowego. Spróbował się tam dodzwonić, obserwując obraz na ekranie, ale nie wydarzyło się nic specjalnego. Potem zadzwonił pod inne numery. Żaden nie odpowiedział.

Tymczasem ojciec Feniks pootwierał wszystkie szuflady, jakie tylko mógł. I przy ostatniej zawołał: - O, właśnie! Pamiętałem, że to gdzieś tutaj musi być...

Gdy tylko znalazł teczkę z papierami, wyciągnął z niej parę rysunków na kalce i położył je na pulpicie sterowniczym. Były to przekroje korytarzy i podziemnych grot pod miastem. Przekartkował je szybko, jakby to robił wcześniej wiele razy.

- My jesteśmy tutaj, gdzie ten czerwony punkcik - powiedział, pokazując to Jasonowi. - To są schrony, piwnice... potem jest ten długi korytarz... - dodał, przesuwając palcem po arkuszach i rozkładając je jak harmonijkę - ...który prowadzi do wind, do groty, do mauzoleum, na stację kolejową, do mostu... biegnie tędy, wewnątrz urwiska i... tu schodzi.

- Pod morze - szepnął zafascynowany Jason.

- Pod Damskie Szpilki - uściślił ojciec Feniks.

Damskie Szpilki, inaczej Szpikulce, Sharp Heels, czyli dwie skały wystające z wody u stóp urwiska Sal ton Cliff.

- Znaczy, że... to jest tam? - zapytał Jason z sercem w gardle.

- Sądzę, że tak - odparł ojciec Feniks - ale nie pytaj mnie, co to jest i jak działa, bo nie wiem. A nawet gdybym wiedział, poradziłbym ci, żebyś tego nie używał, bo jestem osobą duchowną.

Jason zerknął na niego spod oka.

- Co nie oznacza - dorzucił ojciec Feniks ze złośliwym uśmiechem - że ty, z własnej inicjatywy, nie mógłbyś zejść tam na dół, uruchomić tę broń i przepędzić na morze tę hałastrę!

Teraz Jason zrozumiał. Ojciec Feniks pałał chęcią walki, ale jednocześnie był w rozterce. Starł się jak naj-troskliwszy ojciec uprzedzić swoje dziecko o grożącym niebezpieczeństwie, a zarazem dawał mu klucze do ręki.

Proboszcz z Kilmore Cove rzucił pęk kluczy Blacka na pulpit. - Zostawiam je tu. Uważaj, chłopcze... - powiedział, po czym wyszedł.

Kiedy Jason został sam, spojrzał na makietę, na zielone światełka, na płyty długogrające, ekrany z białoczanym obrazem...

Drugi telewizor zaczął znów działać i pokazał park Willi Argo spowity w półmrok. Jason aż podskoczył na widok olbrzyma o ciemnej skórze, który kręcił się po dziedzińcu, wydając małpom polecenia. Schwycił za telefon i spróbował wykręcić numer do Willi Argo. Zauważył na ekranie, że ciemnoskóry olbrzym odwrócił się raptownie i wszedł do domu.

Serce chłopca zaczęło walić jak oszalałe.

Usłyszał, jak tamten zdejmuje słuchawkę, i nie czekając, aż się odezwie, krzyknął: - CO ZROBIŁEŚ MOJIM RODZICOM?

Rozczarowany ujrzał, jak ów typ spod ciemnej gwiazdy wpatruje się osłupiały w słuchawkę i w końcu puszcza ją na ziemię; najwyraźniej nigdy w życiu nie widział jeszcze telefonu.

- JESTEM JASON COVENANT - krzyczał jeszcze głośniejszym głosem chłopiec - I RADZĘ WAM WYJŚĆ NATYCHMIAST Z MEGO DOMU I OPUŚCIĆ MOJE MIASTO, ZANIM BĘDZIE DLA WAS ZA PÓŹNO!

Rozłączył się gwałtownie i długo jeszcze trzymał słuchawkę w ręce, dopóki nie przestała mu drżeć.

Następnie, nie tracąc już czasu, zabrał pęk kluczy, złożył mapę podziemi i opuścił pokój zwany Olimpem. Ojciec Feniks kątem oka zauważył, że Jason się oddalił, po czym powrócił do pokoju.

- Miejmy nadzieję, że nic ci się nie stanie... - szepnął, widząc, że chłopiec zabrał ze sobą klucze od podziemi.

Chwilę potem coś na ekranach przyciągnęło jego uwagę.

Plażą wolno kroczyła jakaś postać.

Ojciec Feniks podszedł bliżej, żeby lepiej widzieć, i mimo marnej jakości nadawanego obrazu rozpoznał charakterystyczną brodę Blacka Wulkanu. Były kolejarz doszedł nad samą wodę i podniósł wysoko nad głowę coś w rodzaju białej flagi.

- Co ty robisz, Black...?

JASON

*Kiedy przybył do Willi Argo, pomyślałem sobie: a więc to już; ten chłopiec zburzy mi dom. Ale nie rozpaczalem: powiadają mędracy, że nie można niczego dobrego zbudować, zanim się czegoś nie zburzy...*

Rozdział 18

POD POKŁADEM

Kajuta w ładowni była ciemna i tak ciasna, że prawie nie można się było w niej wyciągnąć. Julia spróbowała popchnąć mocno drzwi i wzywać pomocy, ale bez rezultatu. Tylko raz wydało się jej, że słyszy z którejś strony w brzuchu okrętu czyjś głos wykrzykujący dziwne rozkazy. Nagle przypomniała sobie, że ma ze sobą przecież zeszyt Morice'a Moreau. Wyciągnęła go z kieszeni i zaczęła gorączkowo kartkować, wodząc po omacku palcami po każdej stronie. Niestety, nikt z jej przyjaciół się nie odezwał i w końcu z westchnieniem zawodu zamknęła zeszyt.

Czas włókł się niemiłosiernie. Nie umiałaby powiedzieć, ile go upłynęło, kiedy wyczerpana i wystraszona skuliła się w kącie z głową opartą na kolanach i przysnęła.

Nagle się ocknęła: wydało się jej, że usłyszała jakiś głos, który ją wołał. Nasłuchiwała, sądząc, że to się jej przyśniło.

Potem głos się odezwał ponownie: - Jesteś tam, dziewczynko?

Julia zerwała się na równe nogi i przypadła do drzwi kajuty.

- Tak! - zawołała. - Jestem tu! A ty... kim jesteś?

- Przyjaciółką.

Było coś dziwnie znajomego w tym głosie, ale Julia nie potrafiła zupełnie powiedzieć, gdzie go wcześniej słyszała. Potem, w nagłym błysku, przypomniała sobie za-kapturzoną postać za plecami Spencera, którą widziała przez lunetę Blacka.

- Należysz do załogi Mary Grey? - zapytała.

-Tak.

- Możesz mnie wypuścić? - spytała błagalnym tonem.

- Nie - odpowiedziała tamta.

- To po co przyszłaś?

- Chciałam się upewnić, że dobrze się czujesz...

Julia mało co się nie roześmiała. - Zostałam schwytana

przez szaleńca i zamknięta w celi. Jak sądzisz, jak mogę się czuć?

- Kapitan Spencer nie jest szaleńcem.

- Nie? Może napadł na moje miasto ogniem i mieczem tak przypadkiem, co? - zapytała Julia z przekąsem.

- Nie jest ono bardziej twoje niż jego. - Głos po drugiej stronie drzwi miał w sobie jakąś nieuchwytną nutkę pogardy.

- A ty co o tym możesz wiedzieć?

Julia usłyszała, jak jej tajemnicza rozmówczyni oparła się o drzwi. - Opowiedział mi coś niecoś ze swojego życia podczas podróży.

- Teraz rozumiem! To ty go tu przyprowadziłaś!

Milczenie.

Julia spróbowała odkryć jakąś szparę w drzwiach, prześwit, przez który mogłaby zobaczyć, z kim rozmawia, ale niczego nie znalazła.

- Kapitan Spencer ma wielki żal do rodziny Moore'ów - podjął naraz głos. -1 nie on jeden, wierz mi.

„Żal?” - Julia z przerażeniem przypomniała sobie groźby z jego strony. Nazwanie tego „żalem” było stanowczo zbyt łagodne.

- Moore'owie zabrali mu córkę.

- Moore'owie... co?! - zawołała Julia zaskoczona tą niespodziewaną rewelacją. - Co to znowu za historia?

- Zdarzyła się w końcu ubiegłego wieku... Mary Grey wzięła abordażem statek handlowy - zaczął opowieść tajemniczy głos - a kiedy walka się skończyła,

kapitan odkrył, że w ładowni była ukryta mała dziewczynka.

Julia aż podskoczyła. Akurat poprzedniego dnia w Willi Argo czytała książkę z bardzo podobną opowieścią o brygantynie, której załoga tajemniczo zniknęła. Czy możliwe, żeby to było o tym samym okręcie?

A tymczasem nieznajoma za drzwiami ciągnęła: - Spencer był piratem okrutnym, ale ta mała... jej nie mógł zabić. Ani zostawić na morzu. Zabrał ją więc ze sobą, na swoją wyspę, gdzie ją wychowywał jak rodzoną córkę. Wyrosła na dużą dziewczynkę, potem na pannę... nazywała się Zofia.

„Zofia Matylda Briggs!” - przypomniała sobie Julia. Takie imię nosiła dziewczynka, która zniknęła wraz z całą załogą... Mary Celeste, bo tak się nazywał ten okręt.

- Spencer opowiedział jej wszystko o sobie: chciał ją uczynić swoją spadkobierczynią. Powiadają, że była bardzo ładna i bardzo inteligentna. Zostałaby słynną kobietą piratem. Jednak podczas jednego rejsu...

-Co...?

- Zawinęli do Londynu, nad Tamizą. W nocy Zofia uciekła z Mary Grey. Ukryła się w mieście i zatarła za sobą wszelkie ślady.

- A co do tego wszystkiego mają Moore'owie? - spytała Julia, jeszcze nie rozumiejąc.

Kobieta po drugiej stronie drzwi westchnęła głęboko, po czym odpowiedziała. - To właśnie Moore'owie ofiarowali jej schronienie w Londynie...

Julia przygryzła wargę, czekając na dalszy ciąg historii. Tymczasem usłyszała, jak jej tajemnicza rozmówczyni gwałtownie się poderwała.

- Muszę iść - rzuciła szybko. - Nie mów nikomu, że tu byłam.

- Zaczekaj! - spróbowała ją zatrzymać Julia. - Co było dalej?

Brygantyna zakolysała się tak mocno, że dziewczynka straciła równowagę. Kiedy wróciła pod drzwi, usłyszała oddalające się kroki nieznajomej, a potem jakieś krzyki na górnym pokładzie. Usłyszała też rozwrzeszczane i rozbiegane mały oraz obcasy kapitana Spencera stukające o pokład. Słyszała też, że padały jakieś rozkazy, ale nie potrafiła ich zrozumieć.

- A niech to wszyscy diabli! - zaklęła, kopiąc drzwi kajuty w bezsilnej złości, na myśl o tym, że musi pozostać zamknięta tu, pod pokładem, nie wiadomo na jak długo.

Ku jej wielkiemu zdumieniu drzwi zaskrzypiały i uchyliły się...

Tajemnicza kobieta skłamała...

Ledwie wyjechali z Londynu, auto rozpędziło się na autostradzie, pokonując szybko kilometry. Tuż za nim jechały jeszcze inne dwa wozy.

- Prawdą jest, panowie - mówił Pires do braci Noży-ców siedzących na przodzie - że brakuje jeszcze wiele szczegółów w mojej rekonstrukcji faktów...

Anita Bloom siedziała obok niego zagłębiona w miękkim fotelu luksusowej limuzyny Podpalaczy i patrzyła na majordoma londyńskiego Klubu jeszcze zaspanymi oczami. Ziewnęła.

Nie zdążyła się wypaść przez te kilka krótkich godzin, jakie upłynęły od nieprawdopodobnego odkrycia w tajemnej komnacie w podziemiach Frogmal Lane. Czarne żagle. Te same, które teraz starannie złożone wieźli ze sobą w bagażniku.

- Śmiało, Pires, powiedz, co znalazłeś... - powiedziała, znowu ziewając.

- Ona ma rację, zdradź nam fakty! - powtórzył kędzierzawy.

- „Fakty są tym, co konieczne. Tylko fakty są w życiu konieczne” - zacytował tymczasem blondyn.

- Czekaj, czekaj, to mówi... doktor van Helsing w Dra-kuli Stokera!

- Pudło: to z Karola Dickensa! - zawołał triumfalnie blondyn.

Tamten uderzył dłonią o szybę. - Jestem zbyt zmęczony. Takie błędy mi się nie zdarzają.

Anita i Pires spojrzeli na siebie wymownie.

-Opowiedz, no, dalej... - zachęciła go dziewczynka, przecierając oczy. Przez chwilę wyobraziła sobie, jak będzie wyglądało przebudzenie jej rodziców, kiedy się spostrzegą, że znowu uciekła, zostawiając tylko

lakoniczną wiadomość: Jestem z przyjaciółmi z Killmore Cove. Nie czekajcie na mnie z obiadem. Całuję. I te ich kłótnie, jakie zapewne poprzedzą poszukiwanie jej w Londynie i całej Komwalii.

- Po pierwsze... - westchnął Pires - niech będzie jasne dla wszystkich, że musiałem skorzystać z pary zapasowych kluczy do biura, żeby móc przejrzeć archiwum doktora Wojnicza. Przeto życzyłbym sobie, żebyście mnie uwolnili od jakiegokolwiek odpowiedzialności, skoro to właśnie wy upoważniliście mnie do szukania informacji na wszelkie sposoby...

- Usprawiedliwiony! - zawołał kędzierzawy. - Jeśli doktor Wojnicz będzie miał jakieś zastrzeżenia, odpowiedzialność spadnie nie na ciebie, lecz... na mego kolegę t przy kierownicy.

- A dlaczego na mnie?! - zawołał blondyn, nagle zwalniając.

Kędzierzawy rzucił okiem we wsteczne lustro. -Może byłoby lepiej, żeby nikt nas nie walnął, co?

- Panowie... - wtrącił w tym momencie Pires. - Prosiłbym was o poważniejsze podejście do sprawy, jeśli można. Dla mnie to kwestia etyki zawodowej.

- Ależ jasne, Pires! Co możemy zrobić, by cię uspokoić? Podpisać oświadczenie? - rzucił kędzierzawy, myśląc, że wszystkich rozśmieszy.

- Właśnie. - Goriwy majordomus wyjął złożoną na czworo kartkę papieru i podsunął mu ją pod nos. -Wystarczy mi tu mały podpisik, dziękuję - powiedział cichutko. I zanim tamten zdołał cokolwiek powiedzieć, podsunął mu też niebieskie wieczne pióro.

Zaskoczony kędzierzawy zawahał się przez moment, niezdecydowany, co robić. Potem złożył niezdamy podpis na papierze, nawet go nie czytając. Blondyn przy kierownicy się roześmiał, a Pires wsunął wszystko z powrotem do kieszeni.

- Mówiłem wam więc... - podjął opowieść-że fakty, na ile wiadome, wymyślone, domniemane i wysłuchane przeze mnie jako świadomość historyczną tego salonu, można by podsumować tak: we wrześniu 18\*\* roku pojawiła się w progu Klubu Podróżników w Wyobraźni pewna panna, o nazwisku Briggs. Ale jeszcze wtedy nie kazała się nazywać Kirke, pod którym to imieniem stała się później znana w samym Klubie, lecz... Zofią.

- Zofia? - spytała zaciekawiona Anita.

- Właśnie. I w tym momencie pomyślałem, żeby zajrzeć do komputera. Na podstawie uzyskanych w nim informacji i szybkich poszukiwań w encyklopedii Britannica z łatwością ustaliłem, że niejaka Zofia Briggs pojawiła się akurat wtedy w kronikach towarzyskich niektórych ówczesnych pism...

- Co takiego? - spytał kędzierzawy, obracając się na siedzeniu, żeby lepiej słyszeć.

- Dwadzieścia lat wcześniej, przed wydarzeniami, o których wam opowiadam, na morzu w pobliżu wysp azorskich została znaleziona brygantyna Mary Celeste bez załogi. Nikt nie wie, co się z nią stało czy kto ją napadł. Jedna z ostatnich notatek w dzienniku okrętowym, z siódmego listopada tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku, zawiera listę nazwisk dziesięciu pasażerów, między innymi, kapitana Beniamina Briggsa, jego żony Sary i dwuletniej córeczki, właśnie Zofii.

- Ojej! - zawołała Anita. - Tej samej, która prosiła o przyjęcie do Klubu Podróżników w Wyobraźni?

- Tak właśnie przypuszczałem - potwierdził Pires. - Ale muszę podkreślić, że przyjęcie jej do Klubu nie nastąpiło natychmiast: wpisano ją dopiero jakiś czas potem. Panna Briggs bowiem nie miała żadnego doświadczenia w Podróżach w Wyobraźni. A przynajmniej tak się zdawało...

- Poczekaj chwilkę - przerwała mu Anita. Wyciągnęła z plecaka jedenasty tom Przygód kapitana Spencera, który również znalazła w podziemiach pałacyku Moore'ów. -Jak to się stało, że Zofią Briggs została... Kirke De Briggs, poczytną pisarką?

Pires wzruszył ramionami. - Mogę przypuszczać, że również za sprawą młodego ilustratora, który w tym samym czasie był w salonie Podróżników.

- Co takiego? - spytał kędzierzawy, obracając się na siedzeniu, żeby lepiej słyszeć.

- Dwadzieścia lat wcześniej, przed wydarzeniami, o których wam opowiadam, na morzu w pobliżu wysp azorskich została znaleziona brygantyna Mary Celeste bez załogi. Nikt nie wie, co się z nią stało czy kto ją napadł. Jedna z ostatnich notatek w dzienniku okrętowym, z siódmego listopada tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku, zawiera listę nazwisk dziesięciu pasażerów, między innymi, kapitana Beniamina Briggsa, jego żony Sary i dwuletniej córeczki, właśnie Zofii.

- Ojej! - zawołała Anita. - Tej samej, która prosiła o przyjęcie do Klubu Podróżników w Wyobraźni?

- Tak właśnie przypuszczałem - potwierdził Pires. - Ale muszę podkreślić, że przyjęcie jej do Klubu nie nastąpiło natychmiast: wpisano ją dopiero jakiś czas potem. Panna Briggs bowiem nie miała żadnego doświadczenia w Podróżach w Wyobraźni. A przynajmniej tak się zdawało...

- Poczekał chwilę - przerwała mu Anita. Wyciągnęła z plecaka jedenasty tom Przygód kapitana Spencera, który również znalazła w podziemiach pałacyku Moore'ów. - Jak to się stało, że Zofia Briggs została... Kirke De Briggs, poczytną pisarką? Pires wzruszył ramionami. - Mogę przypuszczać, że również za sprawą młodego ilustratora, który w tym samym czasie bywał w salonie Podróżników.
- Morice'a Moreau? - domyśliła się Anita i odczytała jego nazwisko jako ilustratora w książce przygodowej tej autorki.
- Właśnie: sprawdziłem to i okazało się, że właśnie pan Morice Moreau złożył wniosek o przyjęcie panny Briggs. Myślę więc, że najprawdopodobniej on również wymyślił jej nom de plume, czyli pseudonim literacki: Kirke De Briggs. We wniosku o przyjęcie do Klubu Podróżników w Wyobraźni, który znalazłem w biurze doktora- Wojnicza, panna Briggs jest przedstawiona jako młoda pisarka o nieograniczonej fantazji. Nieco późniejszy dopisek podpisany przez jednego z członków Klubu dodaje, że jej proza jest całkiem słaba, a rozmaite przykłady Podróży w Wyobraźni, o których opowiada w swoich powieściach, są bez składu ni ładu, na dowód czego pisze, że Przygody kapitana Spencera zostały odrzucone przez wielu wydawców, zanim zdecydował się je opublikować mało znany drukarz, pan François Bonet\*, za namową Tommasa Moore'a, ojca Merkurego Malcoma Moore'a, dziadka Ulyssesa. - Pires zawiesił głos, spoglądając przez okno i pozwolił sobie na krótki śmiech. - I to był naturalnie ogromny sukces. Przygody kapitana Spencera miały trzy nakłady w pierwszym miesiącu i czytelnicy je rozchwyty-

\* *Który - nawiasem mówiąc - jest przodkiem tego Paula Boneta, o którym można przeczytać w Kodeksie króla, Piemme, 2010.*

wali. Kirke De Briggs została pełnoprawnym członkiem Klubu i nadal pisała przez ileś tam lat. Morice Moreau ilustrował jej książki i wkrótce przygody rozrosły się z trzech, czterech, sześciu do dwunastu tomów.

- A potem? - zapytała Anita, pożerana wprost przez ciekawość.
- Potem coś się zaczęło psuć - odpowiedział majordo-mus. - Ale nie umiałbym powiedzieć co. Może stosunki między nią a Moreau? Może nie potrafiła zapanować nad nieoczekiwaną sławą, jaką jej przyniosły książki? Może miała jakieś zaległe sprawy do uregulowania? Nie było możliwości, żeby się o tym czegoś dowiedzieć, ponieważ jej pobyty w Londynie stały się coraz to rzadsze, a jakiś czas potem Klub Podróżników w Wyobraźni został zamknięty. To, co wam opowiedziałem, to właściwie wszystko, co udało mi się zebrać na temat tej współpracy... Anita zamyśliła się: może ona wiedziała coś więcej. Kędzierzawy obrócił się w jej stronę: - Czy książki tej pisarki są rzeczywiście takie piękne?
- Prawdę mówiąc, nie wiem - odpowiedziała dziewczynka. - Czytałam tylko jedenasty tom i niewiele z tego zrozumiałam... Tyle tylko, że ten kapitan Spencer miał naprawdę dziwną załogę.
- Dziwną, w jakim sensie?
- Złożoną z małp. W tym tomie, który czytałam, Spencer udaje się na Wyspę Jadeitu, gdzie uwalnia Króla Małp. I Król Małp ofiarowuje mu w zamian naszyjnik nieśmiertelności, który nosi na szyi.
- Powiedziałbym, że niezły interes... - zauważył ma-jordomus.
- Ale mówi mu też, że ten naszyjnik będzie do niego należał tylko dopóty, dopóki Król Małp pozostanie przy nim... - ciągnęła Anita.
- Według tego, co nam powiedział przez telefon nasz szef- wtrącił kędzierzawy - sędzę, że wciąż jest przy nim.
- Tak. - Blondyn głośno cmoknął. - Wydaje się, że czegoś jak czegoś, ale małp w Kilmore Cove nie brakuje...

## Rozdział 19 SKAZAŃCY

- Leonard...? - wyszeptwała Kalipso, gdy tylko odzyskała przytomność. Spróbowała się poruszyć, ale bezskutecznie. Miała skrępowane ręce i nogi.
- Jestem tu - odpowiedział jej mąż ochryplym głosem.

Kalipso obróciła się na tyle, na ile mogła, stwierdzając przy tym, że także wokół szyi ma sznur. Zobaczyła chaty w osadzie, dżunglę, duży murowany dom i stos butów, starych ubrań, pasków i zardzewiałej broni. Potem zobaczyła Leonarda, ciasno obwiązane sznurami jak baleron, z bosymi stopami, stojącego na zamkniętej klapie, i zawieszony nad jego głową sznur.

Przerażona krzyknęła.

I dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że jest w zupełnie takiej samej sytuacji: była przywiązana do słupa, który ją utrzymywał w pozycji pionowej, przygotowana do powieszenia.

Nie! To musiał być sen! Z pewnością śniła. Dopiero co byli w głębi dżungli, a teraz...

Po chwili je zobaczyła.

Małpy.

Zebrały się wszystkie dokoła i wpatrywały w nich w nienaturalnej ciszy. Niepokojącej.

- Co się dzieje, Leonardzie?! - zawołała.

- Złapali nas! I teraz sądzą!

- Złapali? Co to za historia? Musimy stąd uciec! - Kalipso rozpaczliwie spróbowała się uwolnić, ale nie mogła; im bardziej się kręciła, tym głębiej sznury wpijały się jej w ciało.

- Myślisz, że nie próbuję?! - wybuchł Leonard.

Potężne muskuły latamika nieustannie napinały się

i rozluźniały, próbując pokonać opór sznurów. Szczeka mu drżała z wysiłku, a zęby zaciskał tak mocno, że mało mu nie popękały. Ale mimo ogromnej siły powiększonej jeszcze rozpaczą ani słup, do którego był przywiązany, ani sznury nie ustępowały.

W pewnej chwili wszystkie małpy zgodnie obróciły się w kierunku jedyne murowanego domu. Jego drzwi się otworzyły i wyszedł z nich mężczyzna o białej skórze spalonej słońcem i pokąsanej przez owady.

Ciało miał okrutnie wychudzone, a twarz zakrytą ogromną małpią maską.

Na jego widok wśród zwierząt rozległ się pomruk, który przeszedł w szmer stopniowo coraz głośniejszy.

Za mężczyzną w masce podążała świta małp grających na bębnach. A on szedł przodem z diabelskim uśmiechem wymalowanym na masce z grzywą ze słomy opadającą na twarz i ramiona.

- A ten tu, to kto, Leonardzie?

- Mnie pytasz? Nie wiem. Wygląda... jak ich król... albo czarownik...

- Co on chce zrobić?

Mężczyzna w masce podszedł do szubienicy, a małpy rozwrzeszczały się coraz bardziej podniecone.

- Leonardzie!

Walący w bębny zaczęli bić w rytmie ponurego marsza żałobnego.

- Powiedziałbym, że to raczej oczywiste, co chce zrobić! - zawołał latamik. - Idzie ku nam!

Rzucił spojrzeniem na małpy i grających na bębnach, wpatrzył się następnie w puste oczodoły w małpiej masce. Zacisnął zęby, próbując raz jeszcze się uwolnić.

- Leonardzie! Jest coś, co chcę ci powiedzieć!

Ten niby-kapłan podniósł obie ręce i zatrzymał się na moment. Następnie obrócił się w stronę małp i zaczął je podjudzać.

- Ja też cię kocham! - odkrzyknął Leonard, kiedy mężczyzna znowu ruszył w ich stronę.

- Nie to chciałam ci powiedzieć, Leonardzie!

- A, nie?

- Nie! - krzyknęła zrozpaczona Kalipso. - To jest coś,

- O czym ci nigdy wcześniej nie mówiłam!

- I naprawdę sądzisz, że w tej sytuacji to robi jakąś różnicę?

Bębny przyspieszały swój rytm, jak gdyby po grzbiecie dżungli waliły jakieś ogromne pięści.

- Mój dziadek... - ciągnęła Kalipso.

- Jaki dziadek?

Leonard zaczął wykręcać prawą pięść, próbując ją wyplątać ze sznura.

- Morice Moreau! To nieprawda, że on przybył do Kilmore Cove sam. Przybył z pewną kobietą, żeby ją tam ukryć!

- Fantastycznie!

- Posłuchaj mnie, mówię! Nazywała się Kirke i nigdy jej nie poznałam, ponieważ oboje zmarli przed moimi narodzinami...

- A długa ta twoja historia? Bo gdybyś nie zauważyła, to wiedz, że nie pozostaje nam wiele czasu...

- Oni byli wielkimi przyjaciółmi rodziny Moore'ów.

- I to właśnie Moore'owie przekonali ich, żeby zamieszkali w Kilmore Cove. Kiedy babcia zmarła, mój dziadek opuścił miasteczko i przeniósł się do Wenecji. I tam doczekał marnego końca!
- Bardzo mi przykro, kochanie, naprawdę. Ale to się wydarzyło pół wieku temu!
- Nie o to chodzi, Leonardzie! Chodzi o to, że ja o tym nic nie wiedziałam, dopóki mi nie powiedziała pani Stella, kiedy byłam dzieckiem!

Bębnienie stawało się coraz bardziej natarczywe.

I podobnie głos Kalipso. - Ona też wyjaśniła mi, jak korzystać z poczty. Z tej zwyczajnej i tej... z Wyobraźni!

- Co ma do tego... poczta, teraz?
- Właśnie to musisz wiedzieć, Leonardzie! To nauczycielka Stella pewnego dnia otrzymała tę paczkę!
- Rany boskie, Kalipso, o jakiej ty mówisz paczce?!
- O paczce z kluczami! Zostawiła ją na poczcie, a wkrótce potem pojawiły się dzieci i poprosiły o nią!

To, ęo Kalipso usiłowała wytłumaczyć Leonardowi, to fakt, że nauczycielka Stella doskonale wiedziała, co się działo w Kilmore Cove, i często nawet ona sama, Stella Evans, osobiście była tego sprawczynią. Chciała, żeby zrozumiał, że to zapewne ona, pozornie nieszkodliwa nauczycielka szkoły podstawowej, puściła na nowo w ruch klucze od Wrót Czasu w Willi Argo. Wydostała je z kryjówki przyjaciół z grupy Wielkich Wakacji. Postanowiła wznowić podróże. Ale Kalipso teraz nie miała czasu, by to wszystko Leonardowi wytłumaczyć. Było za późno!

Leonard napiął muskuły tak, że mało co mu nie pękły, podczas gdy czarownik w małej masce doszedł już do stóp szubienicy.

- To ona, rozumiesz? - powiedziała jeszcze Kalipso.
- CO ZA ONA? - krzyknął Leonard, próbując ostatni raz uwolnić się od sznurów.
- OSTATNIA KONSTRUKTORKA WRÓT! - odkrzyknęła Kalipso.

Czarownik uniósł ramię i pokiwał ręką, dając znak małpom, by się uciszyły, a grającym, by przestali bębnić. I nagle w całej osadzie zapadła nierealna cisza.

Leonard otworzył oczy, wyczerpany, z ciałem poznaczonym przez sznury jak uderzeniami batem.

Czarownik coś pomajstrował przy masce i zdjął ją z twarzy.

Przyjrzał się im uważnie, najpierw jemu, potem jej.

- Leonard Minaxo? - szepnął cichutko. - Kalipso? To naprawdę wy?
- Nikt nigdy nie został tak wprawiony w osłupienie jak w tym momencie Leonard i Kalipso.
- Dyrektor... Marriet? - wy dukali, kiedy do nich dotarło, kto przed nimi stoi.

## Rozdział 20

### PRZYJACIEL ZWIERZĄT

- Co ona robi? - zapytał Tommaso Ranieri Strambi starego Zafona, który włożył się kilka kroków za nim. Sprzedawca papieru zarzucił sobie na plecy ogromny plecak, pod którym ugiął się wpół niczym znak zapytania.

- Idzie za nami - odpowiedział stary, ciężko dysząc. Nie przerywając marszu, Tommaso zarzucił sobie na plecy część towaru Zafona, którego ten za nic nie chciał zostawić w sklepie. - Dlaczego idzie za nami? - spytał, kiedy skręcali w zaułek.

- Bo, jak się zdaje, lubi to, chłopcze...

Przeszli w milczeniu kilkaset metrów, mieszając się z innymi wędrowcami, będącymi chwilowo w mieście. Mimo wszystko Tommaso starał się jednak wybierać drogę przez nabrzeża i zaułki mniej uczęszczane, z obawy, by się nie natknąć na ludzi hrabiego Cenere.

- Bądź grzeczny, worku pcheł.- szepnął do pumiątka, które dreptało u jego boku. - To tylko koty. Od czasu do czasu bowiem puma parskła na koty Za-fona, które wtedy pokazywały pazury i stroszyły sierść na karku. Tommi pomyślał, że razem z małpą tworzyli niezły objazdowy cyrk.

- Jak daleko jeszcze? - zapytał w pewnym momencie stary. - Obawiam się, że nie dam rady już dalej iść.

- Uprzedzałem pana, żeby nie brać tego majdanu - zauważył chłopiec.

- To dorobek całego życia! - odparował Zafon. - Naprawdę chciałbyś, żebym go tu zostawił?



Tommaso nie potrafił mu odpowiedzieć, że przecież wszystkie te pergaminy, atramenty i pachnące drobiazgi będą najzupełniej bezużyteczne, kiedy znajdą się w Kilmore Cove. Ale jak miał mu wytłumaczyć, że we współczesnym świecie już się nie używa papieru i pióra, lecz... sprzętu elektronicznego?

Zostawił mu chwilę na złapanie oddechu, a tymczasem rozglądał się po dachach. Mignęła mu gdzieś małpa, która według Zafona od kilku dni pilnowała jego sklepu, a teraz szła za nimi. Po raz nie wiadomo który zadał sobie pytanie, jaką rolę odgrywają w tej historii małpy. Małpy pomogły mu uciec we współczesnej Wenecji. Mówi się też, że Morice Moreau przed śmiercią w pożarze Domu Ba-zgrołów miał przy sobie małpę. A teraz, w Wenecji 1751 roku, pojawiła się małpa, która szła za nim krok w krok.

- Jesteśmy prawie na miejscu - odpowiedział staremu Zafonowi, ruszając dalej. - Chodźmy, zanim całe miasto zwróci na nas uwagę.

- Ale to jest Wenecja, chłopcze! - zaśmiał się kupiec, uginając się pod swoim ogromnym ładunkiem. - Tu nie ma miejsca dla osób normalnych!

Doszli bez przeszkód do zaułka del'Amor degli Amici i gdy tylko Tommaso rozpoznał znajome zarysy kanału na uboczu, poczuł się, jakby powrócił w domowe pielesze.

- Tędy... - wskazał Zafonowi drogę w zaułku.

Posłyszał jakiś hałas i nagle przystanął, obawiając się,

że hrabia Cenere zastawił na nich pułapkę. Ale to był fałszywy alarm. Tak jak poprzednim razem, kiedy tu był, tak i teraz nie było nikogo.

Poszli w głąb zaułka i chłopiec otworzył drzwi po lewej stronie. Za nimi znajdował się ciemny pokój zawalony starymi gratami, a w głębi - Wrota Czasu.

- To one... - pokazał Zafonowi.

Stary wyprzedził chłopca i zapuścił się w mrok. Kilka kroków przed drzwiami obrócił się niezdecydowany. - A ty? - zapytał Tommasa. - Nie wejdiesz pierwszy?

- Nie. Proszę iść przodem. Tylko przypominam, proszę się zatrzymać zaraz po drugiej stronie drzwi. Tam jest inaczej niż tu. To jest... miejsce całkiem inne.

Zafon przytaknął. - Gdzie nikt nie będzie mógł pójść za nami.

- Gdzie nikt nie będzie mógł pójść za nami.

Stary kupiec jeszcze się wahał.

- Coś nie tak? - spytał Tommi.

Podszedł do starego i wtedy zobaczył, że ten z zamkniętymi oczami modli się, bezgłośnie recytując psalm. Pozwolił mu spokojnie skończyć, a wtedy Zafon powiedział:

- Przeżyłem w tym mieście wiele lat. Winien mu jestem podziękowanie. - Wyciągnął ręce w stronę chłopca. - Zostaw mi również i twój bagaż. W razie gdybyś zmienił zamiar czy postanowił nie przechodzić.

Tommi się roześmiał i podał mu worek z toną towaru, jaki dźwigał na plecach. - Możesz zabrać i jego? - szepnął, kucając, by pogłaskać pumiątko. - Idź z Zafonem, worku pcheł. Ja zaraz do was dołączę.

Puma spojrzała na niego swoimi wielkimi wilgotnymi oczami.

- Przyrzekam - dorzucił.

Zafon otworzył Wrota Czasu i spojrział w ciemność po drugiej stronie. - To pewne, że zwierzęta też mogą...?

- Zwierzęta mogą przejść - zapewnił go chłopiec.

- Taaa... jak zawsze - odparł Zafon enigmatycznie.

Potem przekroczył próg, ciągnąc za sobą z trudem swój ciężki ładunek. Koty ocierały mu się o nogi, a pumiątko wbiegło za nim, tuż przed zamknięciem się Wrót.

Tommi obejrzał się, patrząc na prześwit światła padający od wyjścia w zaułek. Następnie zaszył się w cieniu. „A teraz poczekamy” - pomyślał. „I zobaczymy kto kogo, małpo”.

Nie musiał czekać dłużej niż dziesięć minut. Włochata łapka nacisnęła drzwi i pojawił się ciekawski pyszczek zaglądający do środka. Tommaso ukryty między starymi meblami wstrzymał oddech. Małpa, która wędrowała za nim aż tutaj, weszła do pokoju i z największą ostrożnością podeszła do Wrót Czasu. Tu się skuliła i znieruchomiła, obserwując je przez jakiś czas.

- Wiem, kim jesteś - odezwał się w pewnym momencie Tommaso, nie poruszając się.

Zaskoczona małpa zerwała się na równe nogi i w mgnieniu oka umknęła za drzwi.

Tommaso pobiegł za nią, roztrzaskując deski. - Nie odchodź! Nie uciekaj! - zawołał.

Znalazł ją na końcu zaułka, prawie nad kanałem.

Rozłożył ramiona i przyklęknął na znak, że nie ma złych zamiarów. - To ty jesteś tą małpą, która mnie uwolniła i doprowadziła do mechanicznej gondoli Petera De-dalusa, prawda?

Małpa wolniutko ruszyła w jego stronę.

- A potem szłaś za mną, kiedy ja płynąłem gondolą...  
Tommaso przemawiał do niej, dając jej jednocześnie  
znaki, by się zbliżyła. - Chodź tutaj. Jestem twoim przyjacielem. Nie rozumiesz?  
Pokazał jej wnętrze dłoni i mała, ciągle podejrzliwa, podeszła trochę bliżej.  
- Widzisz? To ja, Tommaso... - uśmiechnął się do niej. - Wskazałaś mi gondolę i dzięki niej trafiłem  
do Wenecji z Wyobraźni... Szłaś za mną aż tutaj, a potem przeszedłem przez te drzwi i już dalej nie  
mogłaś iść za mną...  
Mała wydała słaby pomruk. Zbliżyła się na jakieś dwa metry do chłopca.  
- I czekałaś na mnie, widziałaś, jak wróciłem z Ri-ckiem, i zaczęłaś chodzić za mną po dachach, aż  
do Za-fona. A teraz znowu tu jesteś... Nie musisz się mnie bać...  
Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej pyszczka. Mała cofnęła się, gdy tylko Tommi ją dotknął i pogłaskał.  
- Ładna małpka, ładna... Widzisz, zostaliśmy przyjaciółmi...  
Małpka podniosła wzrok, spoglądając na niego. Potem wywróciła się na grzbiet brzuchem do góry, żeby ją  
podrapał.  
- Ciekawska małpeczko... powiesz mi, czego ode mnie chcesz?  
Tommaso pobawił się z nią kilka minut i na koniec cofnął rękę.

„Zwierzęta instynktownie wyczuwają ludzi. Wiedzą, kto jest im przyjazny, a kto nie”.

- Chcesz iść ze mną, tak? Chcesz iść do... Kilmore Cove?  
Małpka wykonała pirueta i zastępną w bezruchu, wpatrując się w chłopca.  
- Chcesz iść do Kilmore Cove? - powtórzył pytanie Tommaso Ranieri Strambi. Dźwignął się z wolna  
na nogi, klepnął ręką w ramię. - Wskakuj więc. Musisz przejść przez Wrota razem ze mną.  
Klepnął się w ramię jeszcze raz. / ...  
- Śmiało. Nie bój się.  
Furgonetka pocztowa podskoczyła i pan Wojnicz, który wychylił się przez okienko, żeby oddać strzał, o  
mały włos z niej nie wyleciał.  
- Przepraszam - usprawiedliwił się średni Flint siedzący przy kierownicy. - Wcale niełatwo jest  
prowadzić tę maszynę!  
Wojnicz wycofał się do środka, przeklinając. - Uważaj, jak jedziesz, chłopcze, albo nie ma sensu, żebyśmy  
próbowali uciekać!  
Następnie wyjął dwa kolejne naboje i załadował broń.  
- Jeszcze nas gonia? - wyjęczał wielki Flint siedzący pośrodku.  
- A jak myślisz? - warknął Wojnicz. - Jasne, że gonia! Przytrzymaj mnie za nogi, kiedy będę do nich  
mierzył!  
- O mamuniu najdroższa! - zawołało płacząco chłopaczysko.  
- A ty postaraj się lepiej prowadzić! - wrzasnął Podpalacz do Flinta średniego.  
- Staram się! Właśnie się staram!  
Wojnicz ponownie wychylił się przez okienko, podczas gdy wielki Flint trzymał go za kolana, żeby nie  
wypadł. Furgonetka ograniczyła mu pole widzenia. Oparł lufę strzelby o bok pojazdu, zamknął oczy w  
nadziei, że strzepnie z nich wodę, a kiedy je znów otworzył, zobaczył sześć czy osiem małp, które  
galopowały po asfalcie tuż za nimi, wymachując szablami.  
Wystrzelił dwa naboje i mały zawył rozwścieczony. Potem wycofał się do środka.  
- Trafił je pan? - spytał niespokojnie wielki Flint, rzucając okiem na wsteczne lustro.  
- Trzymajcie się! - krzyknął akurat w tym momencie średni Flint, biorąc zakręt tuż za miastem, jakby  
uczestniczył w rajdzie.  
Furgonetka pocztowa zarzuciła, a jej gładkie opony poślizgnęły się na asfalcie. Cała trójka zobaczyła  
nagle szybko zbliżające się morze, po czym średni Flint jakoś odzyskał panowanie nad pojazdem i  
wyprowadził go z poślizgu.  
Wszystkich trzech rzuciło na drugi bok.  
- Uff! - westchnął średni Flint, gdy furgonetka odzyskała równowagę i wróciła na jezdnię. - Niewiele  
brakowało!  
- Chłopcze! - zagrział Malariusz Wojnicz, usiłując wygrzebać się spod wielkiego Flinta. -  
Przypomnij mi, że bym ci uniemożliwił uzyskanie prawa jazdy, kiedy będziesz pełnoletni! A ty otwórz oczy!  
Jeszcze żyjemy!  
- Mamuniu najdroższa! - zaszlochał wielki Flint. Ale z chwilą, gdy zrozumiał, że nie wpadli do  
morza, na jego twarzy pojawił się głupawy uśmiech. - Brawo, kuzynisko!

Flint średni dodał gazu, nie zmieniając biegu i wskazówka na tablicy podskoczyła do ponad czterech tysięcy obrotów. Wojnicz, który prawdę mówiąc o silnikach wiedział jeszcze mniej od niego, zajął się rozładowaniem i załadowaniem strzelby.

Nabrał tchu, zanim znowu wychylił się przez okienko, by posłać kolejną serię, i pomyślał, jak brawurowo uciekli: kiedy tylko na placyku przed pocztą usłyszeli mały, dwaj kuzyni rzucili pomysł, żeby ukryć się na zapleczu. A tam zastali furgonetkę jak znalazł. Kluczyki były w stacyjce. Wtedy Flint średni skłamał, utrzymując, że jest świetnym kierowcą, więc wskoczyli do furgonetki i odjechali, robiąc tyle hałasu, że ściągnęli sobie na głowę wszystkie mały z miasteczka.

Wąskie uliczki Kilmore Cove i nieudolność młodego kierowcy zmusiły ich do bardzo wolnej jazdy, ale teraz, kiedy opuścili już przylądek z latarnią morską i droga stawała się coraz bardziej pusta, przyspieszyli i mały z trudem dotrzymywały im kroku.

- Lepiej poczęstować je jeszcze drugim cukierkiem... - powiedział Wojnicz, powracając do bieżącej rzeczywistości. - Trzymaj mnie, uważaj! '

Wielki Flint posłuchał polecenia, kiedy Podpalacz ładował kolejne dwa naboje usypiające przeznaczone dla ścigających ich mały. Potem jednak ujrzał, jak na szosę wyszła jakaś dziwaczna kreatura z ogromnym plecakiem na grzbiecie i puścił kolana Wojnicza, krzycząc: .

- UWAŻAJ KUZYNIE!

Średni Flint zauważył przeszkodę w ostatniej chwili. Skręcił gwałtownie, żeby ją wyminąć, ale zamiast przyhamować, dodał gazu i furgonetka poślizgnęła się na mokrym asfalcie jak krążek hokejowy. I nastąpiło nieuniknione spotkanie ze skałami na poboczu drogi.

Kuzyni Flint wyszli z furgonetki, chwytając się na nogach. Żadnemu z nich nie stało się właściwie nic złego. Tylko Flint średni rozciął sobie brew do krwi.

- Jest tam! - zawołał wielki Flint. - Mówię ci, że wypadł tam! - Widział, jak Wojnicz wyleciał przez okienko w chwili, kiedy jego kuzyn gwałtownie skręcił.

- Oto i on, widzę go! - zawołał średni Flint.

- A ci, co za jedni?

Dwadzieścia kroków od miejsca, gdzie się rozbili, ukazała się dziwna gromadka. Dwa koty, coś w rodzaju małej pantery, do tego ta dziwaczna postać z ogromnym plecakiem, która stąd wyglądała jak starzec o wysuszonej na wiór twarzy. Obok niego stał przyjaciel Covenantów, Tommaso, z małą na ramieniu.

A rozciągniętym na ziemi, jęczącym mężczyzną, któremu udzielali pomocy, był sam szef Podpalaczy.

- Panie Wojnicz? Nic się panu nie stało? - dopytywali się jednocześnie obaj kuzyni, podbiegając do spotkanej grupy.

- A niech was wszyscy diabli! - ryknął Podpalacz. Potem, klnąc z bólu, spróbował dźwignąć się na nogi. Tommaso i stary z plecakiem pospieszyli mu z pomocą.

- Kto was uczył, jak się przechodzi przez ulicę, co? - zgromił ich Flint średni.

- Milcz! - nakazał mu Wojnicz. Potem sobie coś przypomniał: - Strzelba! Gdzie się podziała moja strzelba?

W tej chwili doszło ich straszne wycie na drodze. Wszyscy się obrócili i zobaczyli ze zgrozą, że mały się nie zatrzymały. Jakieś dziesięć przygarbionych małpisonów biegło na czterech łapach ku nim, wlokąc szable po ziemi.

- No nie! - zawołał wielki Flint! - Dogoniły nas!

- Do furgonetki, szybko! - zawołał Flint średni.

- Strzelba! Gdzie jest moja strzelba?

Ale zanim ktokolwiek z nich zdążył coś zrobić, mała towarzysząca dotąd Tommasowi, zeskoczyła na ziemię i pobiegła po szosie naprzeciw tamtym.

- Rozszarpia ją na kawałki!

- Może nie! Może są przyjaciółmi?

Nagle zwierzątko stanęło na tylnych łapach, a dwie przednie podniosło w rozkazującym geście. Z ust mały wydostały się jakieś gardłowe dźwięki.

Mały pirackie od razu się zatrzymały jak rażone piorunem.

- Co się dzieje? - spytał Wojnicz ze spojrzeniem przyćmionym bólem.

- Nie wiem... - odpowiedział Tommaso, podtrzymując go - ale wygląda na to, że te mały... uklęknęły!

Brygantyna kapitana Spencera kołysała się na falach. Julia wychyliła się z kajuty, żeby sprawdzić, czy nie ma kogoś w pobliżu. Potem wyszła, zachowując wielką ostrożność: krok po kroku, nasłuchując, przeszła przez ciemny korytarz.

Słyszała jakieś głosy, ale na szczęście w oddali. Doszła do szerszego korytarza, gdzie uderzył ją wstrętny odór mieszanki czosnku z mokrą sierścią, odór tak silny, że musiała sobie zatkać nos i usta. Spróbowała się zorientować w tym labiryncie: sprowadzili ją tutaj po małych schodkach po lewej stronie i stąd wepchnęli do kajuty...

Zastanawiała się, jak uciec i przedostać się na ląd: może mogłaby wydostać się na pokład i poszukać jakiejś szalupy. Nie, to zbyt niebezpieczne... a poza tym to Jason był od wiosłowania. Gdyby wskoczyła do wody, może zdołałaby dopłynąć do brzegu niezauważona.

Z pokładu dobiegł ją ostry rozkaz kapitana Spencera:

- Wpuśćcie go na pokład!

„Wpuśćcie na pokład... kogo?” - zainteresowała się Julia.

Podeszła do schodków prowadzących na górę i zerknęła.

Niebo się przejaśniało, a ulewa przeszła w dokuczliwą mżawkę. Pokład Mary Grey oświetlały skwierczące pochodnie, od których w zimnym porannym powietrzu rozchodził się gęsty, oleisty dym. Spencer stał podparty pod boki, czekając na kogoś, kto wspinał się na pokład.

Kiedy Julia jeszcze bardziej wychyliła się ze schodków, dostrzegła kilka baryłek prochu i jaszcz na kule armatnie, który mógłby posłużyć za kryjówkę. Sprawdziła, czy nie ma w pobliżu małp, i wyskoczyła, żeby się za nim ukryć.

Z tego miejsca mogła zobaczyć kapitana Spencera i tajemniczą kobietę, która ją uwolniła. Kobieta zsunęła kaptur i obróciła się ku Julii. Dziewczynka przypadła płasko do desek pokładu.

- Czego się spodziewasz po tej bufonadzie? - zapytał kapitan Spencer mężczyznę, który właśnie przeskoczył przez burtę.

Julia odwróciła się w jego stronę i z bijącym sercem rozpoznała Blacka Wulkana. Maszynista rzucił między

nich białe prześcieradło, którego użył jako flagi parlamentariusza. Wyglądał na bardzo zmęczonego i miał za-dyszkę. Trzymał pod pachą ozdobną drewnianą szkatułę.

- Miło cię widzieć... - wysapał, gdy tylko złapał oddech.

- Obawiam się, że ci nie uwierzę, Black - zaśmiał się szyderczo Spencer.

- Uplynęło sporo czasu, co?

- Nie dla mnie. Ale widzę, że ty się mocno postarzałeś.

- Im człek starszy, tym mądrzejszy.

- Oszczędź mi swoich mądrości, proszę. Przejdź do rzeczy.

- Sprawa jest bardzo prosta: skończ z tą kanonadą i odpłyń.

- I to wszystko? - zapytał Spencer ze złośliwym uśmiechem.

- Na razie może wystarczy - uśmiechnął się Black Wulkan.

- Bardzo dobrze - zasyczał pirat. - Oddajcie mi Ulys-sesa Moore'a, a wezmę pod uwagę waszą propozycję.

- Proponuję ci pewną umowę.

- Obawiam się, że mnie nie zrozumiałeś, Black: ja się nie układam. Albo mi przekazujesz Ulyssesa Moore'a, albo zburzę tu dom po domu, dopóki go nie wykurzę.

- Co do mojego - ciągnął niewzruszenie były kolejarz - wydaje mi się trochę zardzewiały. A co do ciebie, rób zwrot na pełne morze i wracaj, skądeś przybył. Może tym sposobem ocalisz skórę.

- A jeśli nie?

- Przybędzie policja. Wojsko: Ludzie współcześni, z którymi sobie nie poradzisz. Mają lornetki, celowniki teleskopowe, broń palną, którą mogą cię trafić z wielkiej odległości. Zatopią cię, zanim zdążysz wydać rozkaz swoim małpizonom, żeby podniosły kotwicę.

- Błefujesz, Black. I do tego mamie. Wiesz doskonale, że nikt nie przyjdzie. A w każdym razie nie zdążą na czas: wysłałem JohnaDoo na zwiady i po potrzebne mi informacje. Jedna z dziećmi już tu jest, a drugiego wkrótce mi dostarczą, bądź pewien.

- Jesteś starym draniem! Dzieciaki nie mają nic wspólnego z tą sprawą! - wybuchnął wściekły Black.

- Sprowadź mi Ulyssesa Moore'a, a puszczę je wolno.

- Zawrzyjmy umowę, Spencer. - Black Wulkan położył szkatułę na podłodze i popchnął kopniakiem tak, że znalazła się u stóp kapitana.

- Co to takiego? - zapytał ten, przytrzymując szkatułę butem.

- Wyzwanie - powiedział Black Wulkan. - Jeśli zwyciężę ja, zabierasz swoją zgraję, podnosicie kotwicę i nigdy więcej się tu nie pojawiacie. Jeśli zwyciężysz ty, wyjawię ci, gdzie przebywa Ulysses Moore.

Kapitan Spencer otworzył pudło z dwoma pistoletami o rękojeściach inkrustowanych kością słoniową. - Jaki sens ma wyzywanie mnie na pojedynek? - mruknął. - Przecież ja nie mogę umrzeć i ty dobrze o tym wiesz.

Black Wulkan uniósł brwi. - A może jednak... Kto to wie...

Spencer wyjął pierwszy pistolet i zważył go w dłoni, po czym zbliżył do oczu i przyjrzał się uważnie lufie, zbadał wagę, ocenił misterne wykończenie. - Doskonała broń... - zauważył.

- Ulysses Moore w zamian za opuszczenie Kilmore Cove - powtórzył Black.

Pirat wyciągnął pistolet przed siebie. - Jeden strzał - szepnął w zamyśleniu.

- Jeden strzał - potwierdził maszynista, przetykając z trudem ślinę.

Spencer opuścił broń. - Kto mi zagwarantuje, że ty naprawdę wiesz, gdzie się znajduje Ulysses Moore?

- A kto mi zagwarantuje, że ty opuścisz Kilmore Cove, kiedy cię pokonam?

- Maśz moje pirackie słowo.

- A ty masz moje słowo kolejarza - odparował Black.

Kapitan Spencer zastanawiał się, podczas gdy deszcz kroił na syczące pochodnie. - Mam jeszcze jedną wątpliwość. Jeśli zwyciężę i zabiję cię, to jak mi powiesz, gdzie przebywa Ulysses Moore? - zapytał, głaszcząc rękojeść pistoletu.

- Zwycięż mnie bez zabijania i podejdź, żeby wysłuchać moich ostatnich słów - odparł najspokojniej Black Wulkan.

- Dobrze - zgodził się kapitan Spencer.

Zakapturzona postać, która dotychczas trzymała się na uboczu, stanęła pomiędzy nimi, wyraźnie zaniepokojona. - Nie taka była nasza umowa!... - zaprotestowała.

- Milcz! - zgrmiał ją Spencer, nakazując gestem, by usunęła się na bok.

Kobieta cofnęła się o krok i zsunęła kaptur z twarzy. Julia, ukrywająca się tuż za nią, zobaczyła wyłaniające się spod peleryny rude włosy.

Black zatoczył się na pokładzie, jakby ujrzał jakieś widmo. - Niemożliwe... - wybełkotał. - To... ty?

- To ja, tato - odpowiedziała Obliwia Newton.

Pełen niedowierzania Black wpatrywał się w swoją córkę, którą dotąd uważał za martwą, pożartą przez wieloryba, kiedy wyruszyła na poszukiwanie Pierwszego Klucza. Był przekonany, że zniknęła na zawsze razem z dyrektorem Marrietem, prowadzącym motorówkę, na której widziano ją po raz ostatni. A tymczasem stała tu przed nim, na smaganym deszczem pokładzie Mary Grey.

Prawie jednocześnie padły dwa strzały. Mały narobiły wrzasku i wskoczyły na takielunek. Julia zobaczyła, jak Black i Obliwia unieśli ręce do piersi i runęli na deski pokładu. Kapitan Spencer jeszcze ścisnął w rękach dwa dymiące pistolety o rękojeściach z kości słoniowej. Rzucił je na ziemię i szybko podszedł do starego maszynisty.

Julia nie zdołała nawet krzyknąć. Zobaczyła, że Spencer przykleknął obok Blacka i przewrócił go bezceremonialnie na plecy: żył jeszcze, ale czerwona kałuża krwi pod nim ciągle się powiększała.

- Gadaj, stary, gdzie on jest? Gdzie się ukrywa? Black miał zamknięte oczy. Wycharczał w odpowiedzi

coś, czego Spencer nie dosłyszał.

- Powtórz!

- Ty tego nie zrozumiesz... - wydyszał stary kolejarz. Uniósł rękę, by chwycić kapitana za kołnierz marynarki.

Rozszierzony pirat potrząsnął nim. - GADAJ! Na twarzy Blacka Wulkana pojawił się drwiący uśmiech. - Według mnie... on... teraz...

- GDZIE ON JEST? - wrzasnął Spencer.

- Jest razem z... kobietą... którą kocha... - ostatnim tchnieniem wyszeptali kolejarz z Kilmore Cove. „Nie” - pomyślała Julia. Nie.

Czuła się jak uwięziona w jakimś koszmarze. To wszystko nie mogło być prawdą!

Leżąca obok niej Obliwia Newton także się poruszyła. Z wielkim trudem zdołała zwrócić głowę ku Julii. - Tak mi przykro... - wydyszała. - Ja chciałam tylko wrócić do domu. - Po czym otworzyła usta i zawołała: - UCIEKAJ, JULIO!...

UCIEKAJ! WSZYSCY UCIEKAJCIE!

Czuwała nad wszystkimi z energią i zdrowym rozsądkiem, z typowo kobiecą roztropnością i wdziękiem. Ale ona, jak sądzę, nigdy by nie otworzyła Wrót o czterech kluczach...

## Rozdział 22 SYRENY

Jeżeli mapa była dokładna, to Jason powinien już być prawie u celu. Przeszedł ciągnącymi się bez końca korytarzami i po kładkach zawieszonych w ciemności, otworzył i pozamykał z pół tuzina drzwi i poczuł powiew ciepłego prądu wirującego w skalnej rozpadlinie. Znalazł się wewnątrz urwiska Salton Cliff i był niemal pewien, że przeciął jedno z przejść biegnących od Wrót Czasu w Willi Argo. Teraz już wiedzieli dokładnie, dokąd prowadziły trzy z czterech tamtejszych korytarzy, i bardzo możliwe, że tym czwartym był właśnie ten, którym podążał teraz Jason.

- Już jestem blisko - powiedział, szykując się na najgorsze.

W drodze spróbował sobie wyobrazić, jaka też będzie ta broń Petera: wielka armata, machina ściąająca pioruny, promienie lasera, wojsko złożone z automatycznych robotów, prymitywny bombowiec...

Różne pomysły przychodziły mu do głowy, ale żadną miarą nie mógł przewidzieć tego, co w końcu miał zastać.

Zatrzymał się; był już pod dnem morza.

Tunel wyglądał na bardzo stary, co najmniej tak stary jak grotę, w której spoczęła Metis. Z beczkowego sklepienia skapywały krople wody, od których posadzka stawała się śliska, i tworzyły się mniejsze lub większe kałuże. Powietrze dławiło silnym odorem ryb i zgniłych wodorostów.

Na sklepieniu ktoś pociągnął kabel, na którym co trzydzieści metrów wisały górnicze lampy, zapewniające minimum światła. Tu i tam leżały porzucone narzędzia: młotki, zwoje lin, poziomnice, zbutwiałe kartonowe pudła, a w nich - zębate przekładnie.

Za ostrym zakretem Jason ujrzał dwa korytarze oznaczone numerami jeden i dwa. Na ziemi pod ścianą dostrzegł jakieś kości: piszczele i skrzydełka kurczaka oraz łepkę królika. Wprawdzie nie było to nic groźnego, ale sam widok był na tyle obrzydliwy, że chłopca przeszedł dreszcz. Nad tym wisiła korkowa tablica z mnóstwem przypiętych karteczek z notatkami, schematami elektrycznymi i różnych innych, które z upływem czasu stały się nieczytelne.

Jason spróbował dotknąć jednej, ale rozsypała mu się w palcach.

Potem, odsuwając notatki techniczne i schematy elektryczne, zauważył kartkę z grubszego papieru, takiego samego jak w dzienniku Ulyssesa Moore'a. Na niej dawny właściciel Willi Argo narysował rafę z dwiema syrenami, czyli w połowie kobietami, a w połowie rybami, które swym śpiewem wciągały marynarzy w topiel. Na ten widok uśmiechnął się pod nosem i natychmiast zrozumiał, skąd się tu wzięły stare kości kurczaka: porzucono je dla żartu, a symbolizowały kości marynarzy, które groźnie białeły na skałach syren.

Pod rysunkiem Ulysses umieścił jeden ze swoich enigmatycznych czterowierszy: Dwie są wartowniczkę, co nad morzem czuwają, groźne, przerażające, lancami się bronią. Trojga przyjaciół trzeba, co z moc je zdołają, lecz baczność, bo przed nikim łatwo się nie skłonią.

Jason nie spróbował nawet tego zinterpretować; domyślał się wprawdzie, kim są owe dwie wartowniczkę, ale brakowało mu przyjaciół, „co z moc je zdołają”. Musiał działać samotnie.

Wybrał korytarz po lewej stronie i wszedł w niego. Po kilku krokach napotkał schodki prowadzące do maleńkiego pomieszczenia o ścianach wyglądających jak pokryte rybą łuską.

Zaledwie przekroczył próg, zapaliło się światło.

Posadzka składała się z szeregu wielkich, współśrodko-wych metalowych obręczy wpuszczonych jedne w drugie, jak fajerki na płycie starodawnej kuchni. W samym środku znajdował dziwny fotel osadzony na osi. Całe pomieszczenie miało kształt ściętego stożka wyłożonego żeśrubo-wanymi żelaznymi płytkami, które wznosiły się spiralnie parę metrów powyżej jego głowy. Z posadzki dookoła fotela, pomiędzy poszczególnych obręczy, sterczało osiem wysokich na około metr dźwigni i każda z nich zdawała się sterować jedną z obręczy. Nie było widać żadnego centralnego pulpitu, tylko w jednej ze ścian znajdowało się osmiokątne wgłębienie, wyglądające, jakby było przeznaczone dla jakiegoś klucza rozruchowego.

Jason wszedł, a obręcze głucho zadźwięczały mu pod stopami. Spróbował delikatnie nacisnąć jedną z dźwigni i odkrył, że miała trochę luzu w przód i w tył.

Przyjrzał się uważnie sufitowi w spirale, obręczom współśrodkowym, okładzinie w rybią łuskę i zawrócił, skąd przyszedł.

Drugi korytarz prowadził do prawie takiego samego pomieszczenia, tylko odrobinę mniejszego.

Jason oparł się o ścianę.

Dwie są wartowniczkę, co nad morzem czuwają... Pomyślał o Damskich Szpilkach, tych dwóch skałach sterczących z morza u stóp urwiska Salton Cliff, i wyobraził sobie, że każde z dwóch pomieszczeń znajduje się pod nimi.

Lancami się bronią. Lance to mogłyby być dźwignie, które wystawały z posadzki.

Innych pomysłów nie miał, z wyjątkiem jednego.

Kształt obręczy i ośmiu dźwigni.

To przypominało konstrukcję małej karuzeli.

Wyjął z kieszeni pozytywkę Johna Joyce'a Moore'a, wyniesioną z wieżyczki Willi Argo na chwilę przedtem, zanim się zawała. Otworzył małą karuzelę i przyjrzał się łódeczkom umocowanym na współśrodkowych kołach. Potem usadowił się pod lampką i przyjrzał zawiasowi, który łączył podstawę z przykrywką pozytywki. Rozkręcił go bez trudu i oto miał w rękach dwie połówki urządzenia.

„Czy możliwe, żeby to było takie proste?” - zdumiał się.

Spróbował umieścić połowę pozytywki w ośmiokątnym wgłębieniu w ścianie. Pasowała idealnie, jak gdyby było to celowo przygotowane.

Zwahał się. Czy to, co robił, było rozropne? Jako jedyna odpowiedź przyszedł mu na myśl filmy fantastycznonaukowe, w których trzeba było odbezpieczać bombę atomową, przestrzegając skomplikowanych procedur bezpieczeństwa: pracowała nad tym grupa osób naciskających rozmaite przyciski i wystukujących tajne szyfry, a każda z nich знаła tylko swoją część.

Przełknął ślinę. Nie myślał, rzecz jasna, że w tym pomieszczeniu kryje się bomba atomowa, ale niczego nie mógł być pewien.

Przyłożył ponownie połowę pozytywki do ośmiokątnego zagłębienia w ścianie i wcisnął ją mocniej. - Nic się nie wydarzyło. Przynajmniej nie od razu. Kilka chwil później pozytywka, podrygując, obróciła się w prawo. Drgnęła drugi raz. Trzeci. Czwarty.

Jason usłyszał, jak zaczęła wygrywać swoją spokojną melodię.

Wyszedł pospiesznie z pomieszczenia numer dwa i wszedł znowu do pierwszego. Wsunął drugą połowę pozytywki w odpowiednią wnękę i usiadł w fotelu. Wydarzyło się to, co poprzednio. Jedno drgnięcie.

Drugie. Trzecie. Czwarte.

I melodia.

- Okej... - szepnął chłopiec. Wyciągnął rękę ku najbliższej dźwigni i uchwycił ją jak drążek sterowy. - A teraz?

Kiedy pierwszy raz usłyszeli muzykę, wisieli właśnie niczym pająki na skalnej ścianie rozpadliny. Peter De-dalus i Rick umilkli i zaczęli nasłuchiwać. Wokół nich świstał wiatr, wprawiając metalową skorupę batyskafu w drżenie jak papierowy lampion.

- Co się stało? - zapytał zegarmistrz.

Rick nie miał zielonego pojęcia.

Po rozmowie przez radio z Blackiem błędzili wokół Labiryntu, dopóki nie natrafili na odkrytą kopułę na wysokości Salton Cliff. Wtedy batyskaf-pająk wyrzucił z siebie mnóstwo haków i haczyków, za pomocą których zaczął się piąć po skalnej ścianie, występ za występem.

W tej chwili Rudzielec przestał analizować sytuację. Na samą myśl, że wisi na pionowej ścianie na zawrotnej wysokości, doznawał zawrotu głowy.

Podjęli wspinaczkę i wkrótce usłyszeli to na nowo. Cichą, melancholijną, brzęczącą melodię.

- Ale... skąd to dobiega? - zapytał Rick.

- Powiedz mi, że to nieprawda - wyszeptał w odpowiedzi Peter. - Teraz przestaje... - Ale melodia ciągle brzmiała,

1 leciutko. się nasilając. - Nie! - zawołał. - Niech to szlag!

Chwycił za stery uruchamiające długie odnóża batyskafu i przyspieszył jego wspinaczkę.

- Dlaczego to zrobił? Mówiłem mu, żeby zaczekał na mnie! Miał tylko grać na zwłokę! Syreny nie były jeszcze gotowe! Nigdy ich nie ukończyliśmy!

- Syreny? - zapytał Rick, starając się nie obijać zanadto o żelazne ścianki mechanicznego pająka, który podskakiwał coraz gwałtowniej. - Co to takiego Syreny?

Zamiast odpowiedzi Peter wskazał mu skrzyneczkę z apteczką turlającą się to w jedną, to w drugą stronę.  
-Szybko! - polecił. - W środku!

Rick sięgnął po apteczkę i otworzył ją, nie wiedząc, czego szukać. Czekał na dalsze polecenia.

- Powinny tam być woskowe zatyczki do uszu, takie różowe, widzisz je?

Rick pogmerał między tabletkami, plastrami, gazą i buteleczkami... i w końcu je znalazł.

- Daj mi dwie, szybko! I ty też włóż je sobie do uszu, zanim będzie za późno!

- Za późno... na co?! - spytał Rick bardzo przejęty. Ściągnął z woskowych kuleczek otulającą je watę i wsunął je sobie do uszu, mocno wciskając do środka.

Może Peter mu coś odpowiedział, ale już nic nie usłyszał. Nadal tłukł się od ściany do ściany po tej niby-kabi-nie, modląc się, by całe to urządzenie nie zleciało na dół i żeby jakoś udało się im dotrzeć na górę, do Kilmore Cove, do domu.

Potem wszystko zaczęło się trząść. I Rick zamknął oczy.

## Rozdział 23

### BUNT

Kiedy dostrzegł na plaży grupkę zbliżających się osób, ciemnoskóry olbrzym zwany JohnDoo wydał w małym języku rozkaz i parę kroków od szalup zatrzymał swoich żołnierzy. Oparł jedną rękę na jataganie, a drugą na pistolecie, zastanawiając się, kim, u diabła, są ci tutaj i czego chcą.

Było ich czterech i mieli ze sobą psa. Piąty włókł się z tyłu, dochodził do linii pierwszych zabudowań w miasteczku. Czy i oni przyszli uzgadniać warunki kapitulacji? Mężczyzna, którego pozostawili w tyle, to może ten Ulysses Moore, którego Spencer poszukiwał.

W miarę jak ci czterej podchodzili coraz bliżej, John-Doo marszczył brwi. Pies z bliska okazał się małym jakiegoś gatunku kotów, a trzech z całej czwórki - ledwie podro-śniętymi dzieciakami.

Przystanęli jakieś dwadzieścia kroków przed nim.

JohnDoo wydał swoim małpom drugi rozkaz, ale tym razem zwierzęta nawet nie drgnęły, wpatrując się w nadchodzący kwartet.

- Nie posłuchają cię - oznajmił jeden z tej czwórki, , najmniejszy ze wszystkich. W plecaku, który niósł na ramionach, coś było. I to coś się ruszało.

- A tyś co za jeden? - zagrzmiął straszny JohnDoo, basem tak niskim, że mógłby wprawić w drżenie uliczne latarnie.

- Jestem ich przyjacielem - odparł Tommaso.

- Przyszedłeś dać się zabić?

- Przyszedłem, żeby ci kazać oddać wszystko, coś wzięt, i wynosić się stąd.

JohnDoo ryknął śmiechem. Podparł się jedną ręką pod bok i krzyknął: - Spływaj, smarkaczu, i to zaraz, albo dam ci zakosztować kling naszych mieczy!

- Oj, mamuniu... - jęknął największy z całej czwórki.

- Milcz, kuzynie - odezwał się jego sąsiad i poczęstował go kuksańcem. - Daj mu mówić.

Tommaso postąpił krok do przodu. - Nie. To ty spływaj. I to natychmiast - powiedział stanowczym głosem.

JohnDoo znowu ryknął śmiechem. Miał już na morzu do czynienia z najgroźniejszymi piratami i na pewno nie bał się tego chłopaczka z plecakiem i jego koleżków.

- Przyprowadziłeś też i dziadka? - zarżał szyderczo, wskazując z pogardą pana Wojnicza.

Szef Podpalaczy ograniczył się do uniesienia parasola i puszczenia nad ich głowami pięciometrowego płomienia. JohnDoo zdumiony cofnął się instynktownie o krok. Ale szybko ochłonął i wydał małpom rozkaz do ataku.

Jednak małpy i tym razem nawet się nie poruszyły. Wpatrywały się w Tommasa jak zakłęte ślepkami wytrzeszczonymi ze strachu.

- Uprzedzałem cię... - powiedział Tommaso Ranieri Strambi.

Dał znać ręką i zza piątego mężczyzny, tego, co trzymał się z tyłu, zaczęły wyskakiwać kolejno jedna, dwie, trzy, dziesięć, małp.

JohnDoo je rozpoznał: to były jego małpy. Jego załoga.

- Co... co to znaczy? - mruknął speszony.

Tommaso zdjął plecak i postawił go na piasku obok swojego pumiątka. - To znaczy, że teraz... to ja rozkazuję...

Z plecaka wyskoczyła małpka o okrągłym pyszczku pokrytym sierścią.



- Albo właściwie on - sprecyzował chłopiec z Wenecji.  
Król Małp wydał swoje gardłowe polecenie i żołnierze JohnaDoo natychmiast go posłuchali.  
Wszystkie małpy rzuciły się na, marynarza i w mgnieniu oka go powaliły.  
Z pokładu Mary Grey zaczęły dochodzić pierwsze sygnały świetlne.

- Alfabet Morse'a - zauważył pan Wojnicz.  
- I co mówią? - spytał go Tommaso, podczas gdy małpy kończyły kneblować JohnaDoo.  
- A skąd mam wiedzieć? - odpowiedział szef Podpalaczy. Uniósł parasol z uśmiechem. - Jeśli chcesz, możemy spróbować im odpowiedzieć.  
Tommaso nie zareagował i odwrócił się do swojej gromadki człekokształtnych.  
Dwaj kuzyni Flint stali przy potężnym cielsku Johna Doo, skrępowanym sznurami i unieszkodliwionym.  
Wielki Flint dał mu małego kopniaka w bok i rzekł: -Zrozumiałeś już, kto tu teraz rozkazuje, tłuściochu?

- Zrozumiałeś? - powtórzył jak echo Flint średni.  
- Flintowie! - przywołał ich do porządku Tommaso.  
- Co takiego? - zawołał wielki Flint, cofając się raptownie, jakby coś przeszkrobał.  
-Wy pilnujecie jego... - wydał polecenie chłopiec z Wenecji, wskazując marynarza.  
- Rozkaz! - odpowiedzieli zgodnie obaj kuzyni.  
- A my? - zapytał szef Podpalaczy.  
Tommaso podszedł do szalupy na brzegu. Oparł o nią ręce i powiedział: - My ruszamy odbić żaglowiec...  
Pan Wojnicz pokręcił głową. - Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł, chłopcze.  
Zaledwie to powiedział, a plaża zaczęła się trząść.

- Co się dzieje? - zaniepokoił się wszyscy. Przestraszone małpy podniosły raban.  
Woda w morzu zaczęła wolno cofać się od brzegu, jakby ją wysysało coś potężnego. Wszyscy usłyszeli metaliczny dźwięk, przytłumiony, ale narastający, który powracał echem wśród fal.  
- Ale co... - mruknął Tommaso, rozglądając się dookoła.  
Zobaczył, że pumiątko zaczęło się cofać, naśladowane natychmiast przez małpy. „Instykt” - pomyślał.  
„Zwierzęta zawsze idą za głosem instyktu”.  
Spojrzał na ciemne morze, które nie przestawało się cofać.  
Potem usłyszał, jak nagle się wzburzyło.

- W nogi! - krzyknął, oddalając się biegiem od brzegu. - Uciekamy!  
Chwilę potem podniosła się potężna fala i runęła na plażę. Następną zmiotła JohnaDoo i pociągnęła go za sobą.  
Fotel w pomieszczeniu numer jeden zaczął dygotać od coraz to silniejszych wibracji, podobnie jak wszystkie metalowe płytki na ścianach.  
Współśrodkowe obręcze zaczęły się kręcić, każda w inną stronę i coraz szybciej. Jason wypuścił dźwignię z ręki, bo i dźwignia zaczęła się poruszać. Spróbował chwycić drugą, ale wyslizgnęła mu się z palców i mało co mu ich nie urwała.

- Okej, jesteś silna... - mruknął chłopiec. - Ale teraz zatrzymaj się, co? Zatrzymaj się!  
Miła melodia pozytywki zamieniła się w ogłuszający zgrzyt metalu i oszalałych przekładni. Kręgi w posadzce obracały się jak kamienie młyńskie i Jason nie miał zielonego pojęcia, jak je zatrzymać.  
Spojrzał w górę i zobaczył, że także sufit pomieszczenia zaczął się kręcić jak gigantyczne wiertło.

- No nie! Nie tak! Co ty wyprawiasz, maszyno!  
Jason czuł się jak w statku kosmicznym wysłanym w przestrzeń, tyle że przynajmniej fotel nie obracał się szaleńczo. - Jak to się robi, Peter? Jak można nad tym zapanować? - krzyczał ogarnięty paniką.  
Ale nie było nikogo, kto by go usłyszał. Tu, w dole, wszelkie dźwięki zagłuszał metaliczny warkot łopat olbrzymiej śruby, które wirowały wokół skał i zaczynały wzburzać morze.  
Julia zbiegła po schodkach, wpadła w korytarz po lewej stronie, usłyszała, jak z ładowni wybiegło ku niej kilka małp, otworzyła pierwsze napotkane drzwi i ukryła się w pomieszczeniu za nimi. Była to dosyć duża kabina z koją, stołem, rozwieszonymi na ścianach morskimi mapami i okrągłym bulajem, wychodzącym na zewnątrz.  
Kiedy tylko go ujrzała, pomyślała o jednym: uciec.  
Podeszła do niego i spróbowała go otworzyć. Był zablokowany.  
Sprężyła się, pociągnęła, popchnęła i w końcu się jej udało.  
Usłyszała szum morza, które biło o burtę okrętu, i poczuła zimny podmuch na twarzy. Zobaczyła jaśniejsze niebo i usłyszała nawoływania mew, które zaczęły opuszczać swoje nisze na skalnym urwisku.  
Wolność. Mogła wydostać się na wolność.

Wsunęła głowę w otwarty bulaj, potem ramię i utknęła. „Nie” - pomyślała. Tym sposobem nie uda się jej wydostać. Cofnęła się więc do kabiny, chwyciła za górną krawędź iluminatora i podciągnęła się. Wisząc, spróbowała wysunąć najpierw jedną, potem drugą stopę. Zdołała wysunąć się z kabiny na zewnątrz prawie aż po biodra. I znowu utknęła.

Nie. Musiała się stąd wydostać. Wystarczyło jeszcze trochę popchnąć. I tak zrobiła. Wygięła plecy w łuk i wtedy wypadł jej na ziemię zeszyt Morice'a Moreau.

- A niech to! - zawołała. Wyciągnęła się, usiłując go podnieść, ale bez skutku. - Chodź tu! No! - syknęła zrozpaczona. Musiała wybierać. W środku albo na zewnątrz. Czy wyskoczyć z brygantyny, czy wrócić po zeszyt Mori-ce'a Moreau?

Zeszyt był zbyt cenny.

Nie mogła go zostawić na okręcie Spencera.

Odbiła się biodrami, próbując wrócić do kajuty. Udało się jej, ale kosztem głębokiego zadrapania tuż nad paskiem spodni. Pomyślała o tężcu i prawie się roześmiała. Ryzykowała życiem, a myślała o tężcu.

- Śmiało... - szepnęła, wyciągając rękę po zeszyt. Już go prawie mogła dotknąć.

Prawie.

Wystarczył tylko jeden mały wysiłek. Jeszcze tylko jeden rzut biodrami.

Zadrapany bok palił żywym ogniem.

Wzięła głęboki wdech, potem zrobiła wydech i odbiła się. Wyciągnęła się, na ile tylko mogła, i udało się jej dotknąć grzbietu zeszytu, ale złapać go nie mogła.

Usłyszała, jak Spencer krzyczy na pokładzie: - Co wy wyrabiacie, przeklęte bestie? Co macie zamiar zrobić?

Julia zacisnęła zęby. Usłyszała dziwne pluśnięcia, jakby coś wpadało do morza, coś ciężkiego, jak beczki z rumem albo...

Ktoś, kto skoczył do wody.

- Do mnie! Natychmiast do mnie! - wrzeszczał ciągle Spencer głosem drżącym z wściekłości. - Wracajcie na swoje stanowiska! Na stanowiska!

Brygantyna przechyliła się raptownie, zakołysana niespodziewaną falą, i Julię wrzuciło z powrotem do środka kabiny, gdzie poturlała się po ziemi. Potem okręt przechylił się na drugą burtę, przewracając dziewczynkę jeszcze raz. Julia bez tchu wylądowała w rogu kabiny między mnóstwem rzeczy, które pospadały na podłogę.

Potem usłyszała zbliżające się kroki. Rozpoznała stukot wysokich butów Spencera.

Poszukała zeszytu koło siebie, ale go nie znalazła. Gdzie on się podział?

Kroki przystanąły dokładnie przed drzwiami do kabiny?

Julia spojrzała na wciąż otwarty iluminator. Szukała nadal zeszytu. Może wpadł pod wielkie łóżko w przeciw-t ległym rogu kabiny.

Musiała...

Musiała...

„Uciekaj!” - powiedziała jej, umierając, Obliwia Newton. „Uciekajcie wszyscy!”

Morze wezbrało kolejną falą, jeszcze potężniejszą od poprzedniej, i Julii wydało się, że niebo i morze zamieniły się miejscami.

## Rozdział 24

### WYMIANA

- Nie wiem nawet, od czego by tu zacząć... - wyznał dyrektor Marriet w małej wiosce.

- Na przykład od tego, czemu chciałeś nas powiesić...

- podsunął mu zjadliwie Leonard, masując sobie zbolące nadgarstki. - Albo od tego, kim są ci ludzie. Albo co tu robisz. Sam wybierz. Nam wszystko jedno.

- Nie wiedziałem, że to wy - usprawiedliwił się płaczącym głosem mężczyzna. Od kiedy latarnik i jego żona ostatni raz go widzieli, zmienił się nie do poznania: twarz miał wychudzoną, a policzki dziobate od ospy. Jego oczy zrobiły się malutkie i gorączkowo rozbiegane. Głos brzmiał jak głos człowieka, który zwariował.

Kalipso upiła łyżeczek ciepłego napoju, jaki Marriet kazał jej podać, i z trudem się powstrzymała, żeby go nie wypluć. - Znaczący, że gdyby to był ktoś inny... to byś go powiesił?

Dyrektor szkoły w Kilmore Cove spojrział na nią nie-widzącymi oczami. - Powieszenie was było jedynym sposobem, żeby uwolnić dwóch z nas... - odparł dyrektor. - To niegodne, wiem, ale... jesteście tu więźniami. Więźniami małp. Ja i pozostali czterej.

- Co to znaczy, że jesteście więźniami małp? - dopytywał się Leonard. - Dlaczego? Kim są pozostałe osoby?

Dyrektor Marriet potarł głowę i zaczął nią potrząsać jak opętany. - Nie wiem! Nie wiem! Nie wiem!

- Sądzę, że nadszedł moment odstawienia cię do domu, mój drogi - zauważył Leonard Minaxo.

- Nie możecie.

- Nie możemy?

- Jestem skazany na pobyt tu dopóty, dopóki tamci nie wrócą z Królem Małp! - wybełkotał dyrektor, wykrzywiając usta w rozpaczliwym grymasie.

- Co ty, u licha, pleciesz?

- Tak to jest! Zostawili mnie tu jako zakładnika za Króla Małp!

Leonard ścisnął go za ramię i usiłował spojrzeć mu prosto w oczy, ale wzrok biednego Marrieta nieustannie mu się wymykał, jak u kogoś, kto doszczętnie postrada zmysły. - Ursusie! Spójrz na mnie! To ja, Leonard! Znasz mnie od dwudziestu lat, nie?

Marriet pomalutku przytaknął.

- Czy zechcesz mi opowiedzieć, co się stało? Od początku. Od tej nocy, kiedy to ty z Obliwia...

Kiedy Leonard wymówił to imię, dyrektor rozpaczliwie jęknął. - To przez nią! To jej wina!

- Ciii... opowiedz mi wszystko po kolei. Spokojnie. Słuchamy cię, Ursusie. Odwagi.

I Ursus zaczął niekończącą się i pogmatwaną opowieść, pełną dygresji i zakrętasów, powtórzeń i sprzeczności. Wyjaśnił, jak oboje z Obliwia na otwartym morzu zostali zaatakowani przez stado wielorybów, które najwyraźniej chciały ich zabić. Jeden rozbił na drobne kawałki motorówkę dyrektora (i to był prawdopodobnie ten sam, którego morze wyrzuciło niedługo potem na plaży na północnym wybrzeżu Kilmore Cove). Drugi, ogromny humbak, ślepy na jedno oko i z grzbietem naszpikowanym połamanymi harpunami, połknął ich. Ale przeżyli. Pozostali w jego gigantycznym, rozbrzmiewającym echem kałdunie, pijąc wodę deszczową przenikającą przez fiszbiny, spowici w resztki glonów i ryb, które wieloryb nieustannie łykał. I tak przetrwali, dopóki humbak nie dopłynął sam na mieliznę Cmentarzyska Wielorybów - jednego z Mrocznych Portów. Wyciągnęli ich z jego brzucha tamtejsi wieloryb-nicy, utrzymujący się dzięki tym potężnym morskim zwierzętom, z których pozyskiwali tran i kości, wymieniając je na wszystko, co im było potrzebne do życia. Obliwia i Ursus jakoś przeżyli na tej równinnej i pustej ziemi, gdzie nie było nic prócz kości i błędnych ogników, a w powietrzu unosił się bezustannie odór rozkładającego się mięsa. Pracowali dla tubylców, opowiadając im dzieje swojego minionego życia w Kilmore Cove, jakby to były legendy. Aż pewnego dnia pojawili się dwaj mężczyźni: kapitan Spencer i JohnDoo. Przybyli bez łodzi, ale mieli pewien plan.

- W wiosce wielorybników uprzedzano nas, żebyśmy z nimi nie szli! - płacząco wyjęczał dyrektor "Marriet. 1 - Uprzedzali nas! Ale my nie posłuchaliśmy ich i poszliśmy z nimi.

- Dokąd? Dokąd poszliście?

- Do dżungli. Odszukać jakieś plemię małp! - wyjaśnił Ursus Marriet. - JohnDoo znał drogę i znał ich język. Nauczył się go na Wyspie Jadeitu wiele lat wcześniej, kiedy przekonał Króla Małp, żeby wsiadł na okręt kapitana Spencera.

- Ale co to znaczy? Kim jest ten Król Małp?

- To istota święta. Nieśmiertelna, której jedynym pragnieniem są podróże i obserwacja świata! Ale to szelma! Istota jednocześnie dobra i zła! Król Małp, Małpeczka, Sun Wukong\* - to tylko kilka z jego imion. Pewnego razu

*\*Postać Króla Małp, zwanego też Sun Wukong, pochodzi z jednej z klasycznych powieści literatury chińskiej, autorstwa Wu Cheng'en, powieściopisarza i poety z XVI wieku. Polski przekład: T. Żbikowski, Małpi bunt, Czytelnik 1976.*

wszedł na pokład okrętu kapitana Spencera i nigdy nie wrócił...

- Czekaj, czekaj... - przerwał mu Leonard. - Chcesz mi powiedzieć, że wyruszyliście, żeby się porozumieć z tymi samymi małpami, które kiedyś już utraciły swego króla?

- Nie! Wyspa Jadeitu nie leży w Mrocznych Portach. Chyba nie. Poszliśmy do innego plemienia, Leonardzie. I tam JohnDoo w ich języku wyjaśnił im, że wie, gdzie przebywa Król Małp...

- I to była prawda?

- Tak. Powiedział, że żyje, ale zszedł z pokładu okrętu kapitana Spencera w jakimś porcie w... w... określił to dokładnie... Pamiętam, bo mnie to uderzyło... A tak! W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, bo to... Król... chciał odkrywać świat na własną rękę. I jak zszedł z okrętu, to już nie wrócił.
- I powiedział, w jakim porcie wysiadł w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym?
- Tak, w Wenecji - szepnął Ursus Marriet.

Leonard kiwnął głową. I gdyby tylko mógł znać historię Morice'a Moreau, legendę dotyczącą jego śmierci w tym samym roku, i małpy, o której powiadano, że mu towarzyszyła, kiedy malował klatkę schodową w Domu Bazgrołów, z pewnością zadałby inne pytanie. Tymczasem zapytał całkiem po prostu: -1 co się stało potem?

wszedł na pokład okrętu kapitana Spencera i nigdy nie wrócił...

- Czekaj, czekaj... - przerwał mu Leonard. - Chcesz mi powiedzieć, że wyruszyliście, żeby się porozumieć z tymi samymi małpami, które kiedyś już utraciły swego króla?
- Nie! Wyspa Jadeitu nie leży w Mrocznych Portach. Chyba nie. Poszliśmy do innego plemienia, Leonardzie. I tam JohnDoo w ich języku wyjaśnił im, że wie, gdzie przebywa Król Małp...
- I to była prawda?
- Tak. Powiedział, że żyje, ale zszedł z pokładu okrętu kapitana Spencera w jakimś porcie w... w... określił to dokładnie... Pamiętam, bo mnie to uderzyło... A tak! W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, bo to... Król... chciał odkrywać świat na własną rękę. I jak zszedł z okrętu, to już nie wrócił.
- I powiedział, w jakim porcie wysiadł w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym?
- Tak, w Wenecji - szepnął Ursus Marriet.

Leonard kiwnął głową. I gdyby tylko mógł znać historię Morice'a Moreau, legendę dotyczącą jego śmierci w tym samym roku, i małpy, o której powiadano, że mu towarzyszyła, kiedy malował klatkę schodową w Domu Bazgrołów, z pewnością zadałby inne pytanie. Tymczasem zapytał całkiem po prostu: -1 co się stało potem?

- Sprawy potoczyły się dalej same: plemię małp zgodziło się oddać swoich najlepszych samców na służbę JohnaDoo i kapitana Spencera i wspólnie odzyskali Mary Grey. A Obliwia w zamian za odwiezienie do domu przekazała Spencerowi mapę kartografa Bowena, którą miała zawsze przy sobie.
- A ty? - zapytała Kalipso.
- Ja... i ci czterej, co grają na bębnach, pozostaliśmy tu w niewoli u małp w oczekiwaniu na powrót Spencera razem z królem.
- A ty wierzysz, że Spencer wróci? - zapytała znowu bibliotekarka.
- Nie pozostaje mi nic innego - odparł istny szkielet mężczyzny, który niegdyś pełnił funkcję dyrektora szkoły w miasteczku.

Długo tak jeszcze rozmawiali i dyrektor wyjaśnił Leonardowi i Kalipso, że mogą czuć się całkowicie wolni i pójść sobie, kiedy tylko zechcą. Ale wykluczone, żeby on mógł oddalić się razem z nimi, dopóki nie dokona się wymiany.

Nadszedł wieczór i dyrektor poczęstował ich skromną kolacją i ofiarował miejsce do spania, ale Kalipso odmówiła. Wolała już namorzynowy mroczny las niż legowisko w sąsiedztwie pięciu mężczyzn zmuszonych czekać pod szubienicą na powrót okrętu, który nigdy się nie pojawi.

- Musicie uciekać z nami! - zaproponowała bibliotekarka. - Niedaleko stąd mamy łódź!
- Ale dyrektor był zbyt osłabiony i zmęczony, by myśleć o ucieczce. - Małpy pilnują nas dniem i nocą! Nigdy nie dadzą nam opuścić osady!

Sytuacja wydawała się bez wyjścia: Kalipso nie chciała ich zostawić i Leonard też wydawał się nieugięty. Gotów był pozabijać po kolei wszystkie małpy, gdyby to było konieczne.

- Nie warto, Leonardzie... - powiedział mu dyrektor. - Ja bym czegoś takiego dla ciebie nie zrobił.
- Różnimy się - odparł latarnik. - Każdy ma swoją naturę. A ja ciebie nie zostawię.

W końcu położyli się spać tam, gdzie byli, obiecując sobie, że nazajutrz o świcie podejmą decyzję.

Ale świt następnego dnia przyniósł im niespodziankę.

Zapowiedziała ją chmura kurzu, która podniosła się w środku osady, i wrzaski małp. Leonard i Kalipso pierwsi wybiegli z chaty, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Rozglądali się dookoła, zanim dostrzegli wielki cień, przesłaniający kawowe światło wstającego słońca.

- A to co znowu? - zdumiał się Leonard.

Małpy wyglądały, jakby oszalały. Kalipso przytuliła się do męża. Dyrektor Marriet, kulejąc, wyszedł z chaty i spojrział w niebo. Był przestraszony bardziej od innych.

Nad ich głowami unosił się statek powietrzny złożony z dwóch kadłubów i płataniny żagli, które z wiatrem niosły go w przechyle między chmurami.

Mieszkańcy osady przyglądali mu się, gdy kołował nad ich głowami, wykonując drugie okrążenie, aż w końcu zniżył dziób i zataczając szerokie koła, poszybował na ziemię.

- Widziałeś kiedykolwiek coś podobnego? - spytała męża Kalipso.

Leonard pokręcił przecząco głową. Nie, nigdy jeszcze czegoś takiego nie widział, ale słyszał o tym.

Na rufie tego niezwykłego latającego katamaranu ukazała się kobieta o bardzo długich czarnych włosach, ze srebrnym kolczykiem, który sięgał łańcuszkiem aż do jej nosa. Spojrzała na każdego po kolei i uniosła rękę w geście pozdrowienia.

- Kto z was jest naczelnikiem tej wsi? - spytała.

Dyrektor Marriet pokuśtykał w jej stronę. - Mógłbym może nim być, gdyby to była w ogóle wieś.

- Jestem Pandora, żeglarka wiatrów - przedstawiła się kobieta. - A to jest mój Statek Burz.

Mężczyzna odkaslnął i odpowiedział: - A ja jestem już nikim i to jest miejsce, gdzie nic mnie już nie czeka prócz śmierci. Czegokolwiek tu szukacie, nie znajdziecie. Chyba że chcecie wody i gotowanych korzeni.

- Szukamy Mary Grey - odpowiedziała Pandora. - Okrętu kapitana Spencera. Dowiedzieliśmy się, że jest gdzieś w tych stronach.

- W takim razie myślę, że przybyła pani za późno... - wtrącił się Leonard, uprzedzając dyrektora. - Kapitan Spencer odpłynął wiele tygodni temu.

- To jeszcze powiedzcie, czy była z nim kobieta - odezwał się inny głos z głębi latającego statku.

- Tak - odpowiedział dyrektor. - Kobieta, która mu pokazała szlak do Kilmore Cove.

- Niemożliwe! - zagrzemiał głos.

Na katamaranie doszło do pewnego zamieszania, po czym zza pleców Pandory ukazali się dwaj pozostali pasażerowie.

- Niech mnie jasny piorun trzaśnie! - zawołał Leonard Minaxo, któremu ten głos od razu wydał się dziwnie znajomy. - Niech mnie trzaśnie tysiąc jasnych piorunów!

- Ulysses...? - spytała z niedowierzaniem Kalipso.

- Leonard? Kalipso? - osłupiał stary ogrodnik z Willi Argo. - Do licha, to naprawdę wy?

*Dyrektor*

*Czasami ktoś, kto w twoich oczach niewiele znaczy,*

*kto wydaje się nie mieć z tobą nic wspólnego, w jakimś momencie twego życia okazuje się jedyną osobą naprawdę ważną dla twojej przyszłości.*

## Rozdział 25

### ŚPIEW SYREN

Kapitan Spencer wszedł do swojej kabiny, klnąc i trzaskając wściekle drzwiami. Odpiął pas i rzucił go na ziemię, potem złapał się obiema rękami za głowę.

- NIECH TO SZLAG! - wrzasnął.

Mary Grey znów zakołysała się na falach i Spencer próbował zachować równowagę. Ale przychodziło mu to z trudem, wielkim trudem. Mały się buntowały, a ten nicpoń JohnDoo utknął gdzieś tam, w tym przeklętym miasteczku. I jakby tego wszystkiego było mało, wciąż jeszcze nie dostarczył mu Ulyssesa Moore'a.

Sięgnął na stół po swoje mapy nawigacyjne i locje. Miał mało czasu. Musiał działać szybko.

Gdy się schylał, zobaczył własną twarz odbitą w lustrze: zapadnięte głęboko oczy, wieczny gorzki grymas, coraz bledsza cera od pływania po Mrocznym Morzu.

- I co teraz, Spencer? - zwrócił się do swego odbicia. -

Co teraz zrobisz, żeby załogę utrzymać w ryzach?

Nie znajdował odpowiedzi. Myślał, że mały zlekły się wzburzonego nagle morza, i próbował za pomocą barometru, almanacha księżycowego i map nawigacyjnych wyjaśnić, co się z tym morzem dzieje.

Niezwykły pływ? Wir? Szkwał nadchodzący po burzy?

Przeklęte mały. Przeklęty JohnDoo i jego plan zwerbowania takiej załogi, która miała nigdy się nie zbuntować. I przeklęty on sam, że znowu mu zaufał.

Mieli już raz małą na pokładzie. Kiedyś. I wystarczyło.

Wzburzone morze - tego nie przewidział. A może to był znak; znak, że powinni odpłynąć. I to daleko stąd. Pomyślał ze złością o ostatnich słowach Blacka Wul-kana: „Ulysses Moore jest razem z kobietą, którą kocha...” - Znaczy, że nie żyje - uznał i wzruszył ramionami. Łańcuch kotwicy Mary Grey nagle szarpnął. Przy takim stanie morza jeszcze chwila i kotwica zacznie orać dno. Nie żyje.

Słowo, które jego nie dotyczyło. Wszyscy inni mężczyźni musieli umrzeć. I wszystkie kobiety. Także te, które Spencer kochał.

Teraz dopiero zauważył bałagan panujący w jego kabinie. Podniósł z podłogi starą srebrną ramkę i postawił ją z powrotem na stole. W ramce było stare migawkowe zdjęcie zrobione z błyskiem na magnezję, z nim samym trzymającym na rękach małą dziewczynkę: to Zofia, jego malutka Zosia. Twarz kapitana nagle spochmurniała, a uśmiech przekształcił się w pogardliwy grymas. Cisnął ramkę z fotografią w kąt kabiny i krzyknął: - JAK TO SIĘ MOGŁO STAĆ? JAK ONI MOGLI MI CIEBIE ZABRAĆ? Zdjęcie upadło na ziemię tuż obok małego notesu w czarnej skórce.

Spencer spojrział na niego, nie rozpoznając.

Podniósł go, otworzył.

I zalała go fala nienawiści.

W zeszycie Morice'a Moreau pojawił się nowy rysunek. Ukazał się nagle na stronie, gdzie zazwyczaj pojawiała się Julia.

Anita Bloom przyłożyła do niego dłoń i pomyślała, że już kiedyś widziała ten rysunek: młody brodac, w marynarskim mundurze, w czapce z daszkiem i złotą kotwicą.

To był kapitan Spencer, ten sam, którego sportretował Morice Moreau w książkach Kirke De Briggs.

„Ale jak to możliwe...?”

„Moreau!” - pomyślał kapitan Spencer, opuszczając kabinę z zeszytem w ręku. Jak tu trafiła książeczka Mo-ric'e'a Moreau? Człowieka, który wspólnie z Moore'em ukradł mu córkę...

Mary Grey podskakiwała na falach i Spencer pojął, że musi wyjść na pokład, zamiast siedzieć beczynnym na dole. Nie przejmował się zbytnio: zmierzył się w swoim życiu z dużo groźniejszymi burzami, nawet jeżeli nagle cofnięcie się morza, a potem podniesienie się olbrzymiej fali było naprawdę czymś niezwykle w zatoce osłoniętej od wiatru jak ta tutaj.

Przekartkował pospiesznie stronice zeszytu i niemal przypadkiem oparł rękę na rysunku dziewczynki z kluczem w dłoni. Dziewczynka przez moment przypomniała mu Zofię.

„To ty?” - zapytał go w myślach jakiś głos.

Kapitan Spencer gwałtownie oderwał rękę. Żaglowiec niebezpiecznie się przechylił, ale Spencer utrzymał się na nogach, nie zważając na fale omiatające pokład.

Oparł ponownie rękę na rysunku i cicho zapytał: - Zofia?

Anita Bloom siedząca w samochodzie Podpalaczy poczuła nagły skurcz serca. Odjęła na chwilę rękę od portretu kapitana Spencera i spojrzała na swych towarzyszy podróży. - On myśli - powiedziała - że ja jestem... Zofią!

Pires przysunął się do niej, zerkając na rysunek w zeszycie.

- Istotnie taką ma nadzieję... - potwierdził.
- To co mam robić?
- Utrzymać go w tym przekonaniu.
- Tato? - przemówił rysunek w zeszycie.
- Zofio? To nie możesz być naprawdę ty... - Twarz Spencera gwałtownie zmieniała wyraz, przechodząc od podejrzliwości do pewności i od pewności znowu do wątpliwości.
- To ja. Twoja córka.
- Ale... gdzie jesteś? Jak... jak to możliwe, że nadal żyjesz?!
- Jestem tu... na tych kartkach. Na nich zawsze żyję. Spencer nie mógł zebrać myśli. Czy to możliwe, żeby

jego córka, jego dziewczynka, jeszcze żyła? Żeby stała się nieśmiertelna dzięki zwykłej... książeczce?

- A ty, tato, też... żyjesz?

Pirat mimo woli się roześmiał. - Jasne, że jeszcze żyję... - Przesunął dłonią po małych czaszkach zawieszonych na szyi. -<- Zapomniałaś o moim naszyjniku? Tym, który mi podarował Król Mały? Trzyście czaszek... To trzyście żywotów, zanim będę musiał zwrócić swój.

- Gdzie teraz jesteś?
- W Kilmore Cove. Przypląnąłem tu, żeby cię pomścić!
- Mnie pomścić, tato? Ależ ja wcale nie chcę żadnej zemsty!

- A tymczasem będziesz ją miała, bo JA tak chcę! Ty... oni... ciebie porwali i zmusili, byś ode mnie uciekła ... Niech będą przekłęci! Ale ja ich odnalazłem i ukarałem! Wszystkich! Wszystkich, którzy stanęli przeciwko mnie, przeciwko piratowi Spencerowi!

- Tato... mnie nikt nie porwał.

- Nieprawda!

- Odeszłam dobrowolnie, sama!

- KŁAMIESZ! - krzyknął kapitan z brygantyny tańczącej na falach.

- Musisz porzucić chęć zemsty! Zemsta niczemu nie służy!

Niczemu nie służy.

Gorzka myśl przemknęła niespodzianie przez głowę kapitana Spencera.

Lata całe tropienia, szaleńczych polowań, ucieczek i zabójstw. Wszystko to dla zaspokojenia jego żądzy zemsty. I żeby ujrzeć ród Moore'ów na zawsze wygasną. Bez dziedziców. Bez kogokolwiek, kto by o nich pamiętał. Całe lata walk, żeby na koniec dowiedzieć się, że to wszystko było na nic.

Oparł się o gródz Mary Grey, okrętu, o którego odzyskanie walczył, nie szczędząc tyłu wysiłków. Pomyślał o trudach, jakie zniósł na wyspie, i jak mu się udało z niej

- Mnie pomścić, tato? Ależ ja wcale nie chcę żadnej zemsty!

- A tymczasem będziesz ją miała, bo JA tak chcę! Ty... oni... ciebie porwali i zmusili, byś ode mnie uciekła ... Niech będą przekłęci! Ale ja ich odnalazłem i ukarałem! Wszystkich! Wszystkich, którzy stanęli przeciwko mnie, przeciwko piratowi Spencerowi!

- Tato... mnie nikt nie porwał.

- Nieprawda!

- Odeszłam dobrowolnie, sama!

- KŁAMIESZ! - krzyknął kapitan z brygantyny tańczącej na falach.

- Musisz porzucić chęć zemsty! Zemsta niczemu nie służy!

Niczemu nie służy.

Gorzka myśl przemknęła niespodzianie przez głowę kapitana Spencera.

Lata całe tropienia, szaleńczych polowań, ucieczek i zabójstw. Wszystko to dla zaspokojenia jego żądzy zemsty. I żeby ujrzeć ród Moore'ów na zawsze wygasną. Bez dziedziców. Bez kogokolwiek, kto by o nich pamiętał. Całe lata walk, żeby na koniec dowiedzieć się, że to wszystko było na nic.

Oparł się o gródz Mary Grey, okrętu, o którego odzyskanie walczył, nie szczędząc tyłu wysiłków. Pomyślał o trudach, jakie zniósł na wyspie, i jak mu się udało z niej uciec. Pomyślał, jak to szukał w Wenecji

Penelopy Moore i jak ją porwał, gdy ją w końcu odnalazł w Labiryncie, i jak ją wywiózł do Krainy Puntu, żeby wreszcie zawładnąć mapą z morskim szlakiem do Kilmore Cove. I jak ją zabił.

I po co?

Żeby co osiągnąć?

- ZOFIO! - zawył kapitan Spencer, odrzucając precz zeszyt Morice'a Moreau.

Nagle poczuł się wyczerpany. Zamknął na chwilę oczy. Słyszał każde skrzypnięcie swego żaglowca kołyszącego się na falach. Czuł, jak naszyjnik z czaszek przesunął mu się na szyi...

Otworzył znów oczy.

Czyjaś biała rączka ścisnęła jego naszyjnik nieśmiertelności.

- Co .robisz? - zapytał dziewczynkę stojącą przed nim nieruchomo na stopniach schodów.

- Pamiętasz mnie? - odpowiedziała pytaniem.

Julia Covenant, tak, pamiętał ją. Powinna teraz być zamknięta w ładowni, na drugim krańcu okrętu.

A tymczasem stała tu, zaciskając dłoń na jego naszyjniku.

I naraz wszystko - pokład, kabina, zeszyt, Mary Grey, zatoka, urwisko, miasteczko, Ulysses Moore - stało się niezwykle odległe.

Usłyszał, jak śpiewa morze, rozkołysane przy dźwiękach przedziwnej melodii, słodkiej i zarazem przejmującej. Brzmiała jak wezwanie, dalekie wezwanie. Któremu nie można było się oprzeć.

- Ty też to słyszysz? - zapytał dziewczynkę, która coraz mocniej ścisnęła w dłoni jego naszyjnik. -

Wiesz, co to takiego?

Kapitan Spencer wiedział. Nigdy tego podczas swoich niezliczonych wcześniejszych podróży nie słyszał, ale dobrze wiedział, co oznacza ten śpiew. Wyczuwał to instynktownie, podobnie jak odgadywał, w którym kierunku jest północ bez potrzeby sprawdzania tego na kompasie. To była wiedza wewnętrzna, znajdująca się w sercu wszystkich marynarzy.

- To jest śpiew syren... - szepnął.

- Żegnaj pan, panie Spencer - odpowiedziała mu Julia Covenant.

I jednym silnym szarpnięciem zerwała mu naszyjnik z szyi.

## Rozdział 26 PRAWO MORZA

Pierwszy wstrząs przewrócił ojca Feniksa. Kiedy ksiądz się podniósł, pobiegł do pomieszczenia zwanego Olimpem i zobaczył, że pod Sharp Heels migają szaleńczo dwa czerwone światełka.

Gdy nadeszły wstrząsy, w podziemnym schronie rozległy się krzyki przerażenia. Światła nagle gasły i zapalały się ponownie. Wentylatory przestawały działać.

- Coś ty narobił, Jasonie?! - zawołał ojciec Feniks, wpatrując się bezsilnie w makietę Kilmore Cove.

Po pierwszym nastąpił drugi silny wstrząs i znowu wystraszeni mieszkańcy miasteczka podnieśli krzyk. Ojciec Feniks rzucił się na stery: wiedział, że trzeba coś zrobić, ale nie miał pojęcia co. Czuł się niczym wsadzony do szybkaru gotowego w każdej chwili wybuchnąć. Potem przez telekamery zobaczył, że morze jakby wyschło: fale wycofały się z plaży, a pod urwiskiem Salton Cliff utworzył się gwałtowny wir. Fale wysokie na cztery, pięć, sześć metrów biły o skały. Czarny żaglowiec miał poszarpane żagle i bez żadnego sternika zmierzał prosto na skały.

Hałas towarzyszący obu wstrząsom stopniowo się nasilał, do tego stopnia, że ojciec Feniks musiał sobie zatkać uszy. Wybuchaly kolejno wszystkie telewizory. Odłamki szkła i starych kondensatorów wałaly się po podłodze. Na makielic miasteczka zaczęły błyskać wszystkie światła, a z podłogi i ścian wydobywały się języki ognia. Rury w łazienkach pękały, zalewając schrony potokami gorącej wody.

- To koniec! - wykrzyknął zrozpaczony ojciec Feniks. Usłyszał krzyki mieszkańców miasteczka i próbował do nich wrócić, ale znowu upadł.

- Człowieku małej wiary! - rozległ się jakiś głos, a para czyichś ramion dopomogła mu powstać.

- TO TY? - zdumiał się ksiądz, zobaczywszy, kto go dźwiga. - Co ty tutaj robisz?

- Próbuję ocalić miasto! - odpowiedział mu Peter De-dalus, chwytając za krzesło i rzucając nim o pulpit sterowniczy. - Pomóż mi! Musimy zatrzymać wszystko, zanim Syreny zmiotą z powierzchni ziemi Kilmore Cove!

To było jak znalezienie się w oku cyklonu.

Dźwignie obracały się kilka centymetrów od gwałtownie wstrząsanego fotela, a cała metalowa kopuła zaczęła się kręcić dookoła osi jak wiertło. Jason trzymał się ze wszystkich sił, żeby nie upaść, pewien, że roztrzaskałby się natychmiast na kawałki.

I do tego ten piekielny hałas, z każdą chwilą bardziej przenikliwy, piszczący i nie do zniesienia. -JASON! Hałas osiągnął swoje apogeum.

- JASON!

Dopiero za trzecim czy czwartym razem zorientował się, że ktoś nawołuje go od drzwi.

Obrócił się na fotelu, doznając zawrotów głowy.

I przez chwilę sądził, że uległ halucynacji.

- RICK! - krzyknął z niedowierzaniem

Rudowłosy przyjaciel próbował mu coś powiedzieć.

Wskazywał na pomieszczenie i coś w kółko powtarzał. Ale Jason nie rozumiał ni słowa. Co on mówił?

Czego chciał?

Nie pojmował.

Spróbował odczytać to z gestów rąk przyjaciela.

-MAM WYJAĆ POZYTYWKĘ? - krzyknął. -POZYTYWKĘ?

Rick przytaknął.

Ale to było niewykonalne. Jason po prostu nie mógł tego zrobić. Osiem dźwigni obracało się tuż przy nim w szalonym tempie. Gdyby tylko spróbował wyciągnąć rękę, żeby chwycić pozytywkę i wyjąć ją z zagłębienia, ucięłoby mu rękę jak amen w pacierzu. Dźwignie kręciły się jak szalone, a każda w inną stronę.

- NIE MOGĘ! - zawołał zdenerwowany.

Wtedy Rick dał mu znak, by zaczekał, a następnie wskazał coś za sobą. Chłopiec skinął głową na zgodę. Poczekać. Coś za Rickiem. Oczywiście, że możesz.

Co to miało znaczyć?



Ogłuszający hałas uniemożliwiał mu myślenie. To było jak zanurzenie w morskiej kipieli. Jakby wchłonął w siebie dźwięk wszystkich morskich katastrof.

Skinął głową na zgodę, chociaż nic nie rozumiał, a Rick zniknął za drzwiami.

Spojrzał w górę. Spojrzał przed siebie. Spojrzał ponownie na drzwi. Nic się nie działo.

Czekać. Coś za Rickiem. Oczywiście, że możesz.

Nie mógł wstać z fotela. Nie mógł się poruszyć. Nie mógł nic zrobić. Dźwigi. Lance. Dwie strażniczki mórz...

Nagle usłyszał przeraźliwy pisk i całe to zamieszanie nagle ustało. Sufit przestał się obracać, a dźwignie wokół niego - szaleńczo kręcić.

Rick coś zrobił. Wyszedł stąd i coś zrobił. I teraz dźwignie zwalniały obroty. Jakby zostały wyhamowane.

Skrzypiały. Wszystko skrzypiało, jakby ten hamulec działał jeszcze kilka sekund.,

Oczywiście, że możesz.

Jason zerwał się z fotela i przeskoczył w mig osiem żelaznych obręczy kręcących się w posadzce. To przypominało stąpanie po ogromnej paszczy krokodyla, gotowej w każdej chwili rozewrzeć się pod stopami chłopca.

Doskoczył do ściany, chwycił za pozytywkę i wyciągnął ją z zagłębienia.

Huk. Potężny huk, odgłos czegoś ogromnego, co nad nim pękało, i pomieszczenie zatrzęsło się od tego uderzenia. Jason usłyszał hałas obsuwających się kamieni, drewna i żelaza ocierających się o siebie.

Potknął się, ale jakoś udało mu się dojść do drzwi. Wychodząc, upadł.

- Jason! - zawołał go Rick z głębi ciemnego korytarza.

Podniósł się. Doszedł do przyjaciela na chwiejnych nogach i uściśnął go.

- Szybko! Musimy się stąd wydostać!

Nie zdołali sobie powiedzieć nic więcej; fale morskie coraz gwałtowniej wdzierają się do przejścia pod dnem morza.

Puścili się biegiem, ramię w ramię, przeskakując wodę chlustającą im pod stopy, ślizgając się, upadając i pomagając sobie wzajemnie znowu się podnieść.

Biegli w ciemności bez chwili wahania. Nic nie mogło ich powstrzymać. Nawet potęga oceanu.

Jason i Rick. Dwaj nierozłączni przyjaciele.

Biegli pod górę, nie zatrzymując się nawet na moment, intuicyjnie wyczuwając kierunek w tym podziemnym labiryncie. Huk wody za nimi nie malał. Nagle zobaczyli wątle światło. Skierowali się w jego stronę i znaleźli w załomie urwiska, na skalnym występie Salton Cliff, dziesięć metrów nad poziomem morza. Fale rozbijały się pod nimi, rozpryskując wkoło białą pianę.

Światło, które ich tu przywiodło, było promieniem porannego słońca, które jakoś znalazło sobie szparę w gęstej pokrywie burzowych chmur. Po drugiej stronie zatoki majestatyczna latarnia w Kilmore Cove wysyłała cyklicznie swoje światło.

Dwaj chłopcy padli na ziemię, przemoczeni i potwornie zmęczeni. Oparli się plecami o siebie, usiłując złapać oddech. Plaża Kilmore Cove była zupełnie sucha, a morze wyglądało, jakby zostało stąd całe wysrane, tworząc wokół Damskich Szpilek potężny wir, wciągający wszystko, w tym brygantynę kapitana Spencera.

Siła morza uniosła okręt, który roztrzaskał się rufą o większą z dwóch skał. W kadłubie powstała wielka wyrwa, powiększająca się w oczach, przez którą wypadało wszystko: skrzynie, armaty, monety, puszki z mielonką, beczki rumu, meble i każda inna rzecz, która znajdowało się w ładowni Mary Grey. Na wzburzonej wodzie pływały dziesiątki różnych przedmiotów: szalupy, takielunek, reje, podarte żagle i małpy, które rozpiezchły się, płynąc do brzegu.

Okręt, wbity w skały, łamał się na pół. Każda poszczególna listwa dygotała, a wraz z nią każdy kołek, każde złącze, każdy gwóźdź. Mary Grey sprawiała wrażenie, jakby krzyczała z bólu.

- Uważaj! - krzyknął nagle Rick, przyciągając do siebie przyjaciela.

Od występu skalnego, na który się wydostali, oderwały się właśnie dwa ogromne głazy i wpadły do morza z ogłuszającym hukiem.

Chłopcy, uważając, gdzie stawiają stopy, wychylili się, by spojrzeć w dół, i znieruchomieli ich: w białej skale Sal-ton Cliff rozwarły się głębokie szczeliny, z których wyfrunęła chmara oszalałych świetlików wirujących w powietrzu. Całe roje migotliwych owadów, które wykonywały w locie przeróżne esy-floresy i szybowały między wachlarzami piany i łamiącymi się masztami Mary Grey.

- NIE! - krzyknął nagle Rick, śledząc lot tysięcy świetlików.-JULIA!

Dziewczynka właśnie się ukazała na przechylonym niebezpiecznie okręcie. Widzieli, jak ześlizgnęła się aż do nad-burcia i spoglądała na rozszalały żywioł pod sobą.

- SKACZ! TERAZI! - krzyknął do niej Jason.

Ale wokół Sharp Heels woda ciągle szaleńczo wirowała, miażdżąc na skałach wszystko, co się pojawiło. Kątem oka Jason pochwycił jakiś cień, który mignął obok. Wyciągnął rękę, by go pochwycić, ale się spóźnił.

- RICK! - krzyknął, gdy przyjaciel rzucił się w morze i zniknął wśród fal.

Woda wdzierала się zewsząd i wypełniła już połowę ładowni.

Kapitan Spencer wsparł się o gródź pod pokładem, czując, że opuszczają go siły. Wszedł z trudem po schodkach.

Mary Grey szła na dno.

A on umierał.

Słyszał, jak jego okręt się łamie w lodowatych objęciach potężnych spienionych fal. Słyszał huk kipieli. Czuł na skórze słońce.

Upadł na ziemię. Spróbował się podnieść. Resztkami sił powłókł się po pokładzie, krok po kroku. Z każdą sekundą starzał się o rok. Był coraz słabszy, coraz to słabszy. Twarz wiecznego młodzieńca pokryły zmarszczki, włosy posiwiały i wypadały, wszystkie stare rany się otworzyły, a kości tamały...

Ale kapitan Spencer nadal walczył na pokładzie swego okrętu.

Nieraz wyobrażał sobie własną śmierć, ale nigdy nie pomyślał, że nadejdzie z ręki małej dziewczynki. Mała dziewczynka. Jego jedyna słabość.

Zastanawiał się, dlaczego jej nie przeszkodził. Dlaczego nie walczył. Dlaczego, kiedy się przed nim pojawiła, nie dobył jednego ze swoich zatrutych sztyletów i nie zadał jej pchnięcia.

Nie umiał znaleźć na to odpowiedzi. Albo i umiał, ale wolał nie dopuszczać jej do głosu. I tak teraz to już nie miało żadnego znaczenia.

Pomału wśród huku fal, przy wrzasku oszalałych małp, na tonącym i rozpadającym okręcie, kapitan Spencer dowlókł się do steru.

„Więc tak...” - rzekł do siebie. Nie miał już zębów, dziąsła miał schorowane.

Ale się trzymał. Jakoś udawało mu się trzymać prosto. Ujął ster i trzymał go mocno, jak prawdziwy kapitan.

I tak, stojąc pośród szalejącego żywiołu, w sytuacji beznadziejnej znalazł jeszcze siły, by się roześmiać. - Patrzcie, jak umiera kapitan! - krzyknął do skał, które go połykały.

To był koniec. Koniec wszystkiego.

Potem nagle przypomniał sobie o czymś. Wsunął rękę do kieszeni i wyjął monetę o dwóch obliczach.

Wręczono mu ją wieki temu, gdy po raz pierwszy znalazł się w Mrocznych Portach.

- Ha! - krzyknął zadowolony, oglądając ostatni raz monetę z obu stron. - Pomyliliście się!

I samo to odkrycie już wystarczyło, żeby nieoczekiwanie wróciła mu energia wraz ze świadomością, że nie wszystko jeszcze zostało postanowione. I że każdy w końcu może wybrać sobie śmierć.

Kapitan Spencer rzucił w morze monetę, na której z jednej strony widniał jego profil, a z drugiej - profil Ulyssesa Moore'a. I zaśmiał się drwiąco po raz ostatni, poszedł na dno razem ze swoim okrętem.

## Rozdział 27

### PRAWO SERCA

Julia poczuła, jak morze ją zagarnia. Czuła jego napór na każdą część swego ciała. Miała wrażenie, że ta woda miażdży jej kości. Spróbowała się poruszyć, płynąć, ale rwąca woda była za silna i nieprzyjazna.

Ubranie się wydeło. Światło świtającego poranka zastąpiła mroczna czerń otchłani.

„Nie!” - zaprotestowała. Nie chciała utonąć. Nie chciała umierać tu, między skałami pod własnym domem.

Pod tymi skałami, wokół których pływała tysiące razy, za każdym razem przerażona siłą fal rozbijających się o majestatyczne kamienne ściany. Pomyślała o pękach wodorostów kotłujących się pod powierzchnią morza, o ostrych muszlach mięczaków, o zwierzętach, które tu zbudowały sobie dom. „Nie!” Tu nie umrze. I nie tego dnia.

Po tym, jak usłyszała kapitana Spencera ujawniającego zeszytowi Morice'a Moreau tajemnicę swojej nieśmiertelności, Julia wzięła się na odwagę i zerwała mu naszyjnik z małpich czaszek. I na jej oczach zaczął nagle się marszczyć jak owoc suszony w słońcu.

Potem wyrzuciło ją daleko. Morze uniosło całą bry-gantynę i z ogłuszającym łomotem rozbilo ją o skały.

Julia znalazła się na łądzie, nie wiadomo gdzie. Słyszała 1 huczącą dookoła wodę i widziała spadające do morza kawałki urwiska.

Nic już nie pojmowała: okręt, morze, pękające ściany urwiska.

W ostatnim błysku światła szukała na pokładzie ciał Blacka i Obliwii, ale nie było po nich śladu.

Nie wiadomo, jak i kiedy znowu znalazła się w morzu, w jej morzu, które teraz wsysało ją na dno, gdzie nic nie rośło, nie było kwiatów ani łąk, by pobiegać, a tylko milczące ryby w otchłani i nieme rozgwiezdy. Gdzie nie było girlandy z jaskrów, pokrzywy, ze stokrotek i z purpurowych storczyków\*, które tak lubiła.

\* *Fragment nawiązujący do śmierci Ofelii w Hamlecie Williama Szekspira (akt IV, scena VII).*

Ale nie mogła poddać się bez walki: nigdy by już nie zobaczyła swego brata i rodziców. Nigdy nie uściskałaby Ricka.

Oparła się więc nacierającej wodzie, czując się jednocześnie mała i ciężka. Zrzuciła tenisówki i ubranie. Zesztywniała od tego mokrego lodowatego uścisku, przemarzła do kości. Czuła wodę wdzierającą się do gardła i płuc, wszędzie: do uszu, do nosa i ust. Ale nie przejmowała się tym, ile wody się natyka i jak długo musi płynąć.

Chciała żyć.

Więc płynęła, odgarniała od siebie wodę i płynęła, i przez chwilę pomyślała, że się jej udało, i wyobraziła sobie, że wygrała, że jest silniejsza od oceanu, bardziej uparta od skał Salton Cliff. Przez chwilę widziała wątle światło poranka prześwitujące przez patynę morza i zro-zumiała, że jest już prawie na powierzchni. Udało się!

Ale w chwili, gdy otwierała oczy, żeby powitać tę wolność, jakaś zła siła złapała ją od spodu i ściągnęła w dół tak niespodziewanym szarpnięciem, że Julia miała ochotę krzyczeć, gdyby tylko nie brakło jej tchu.

Leciąca w dół, podczas gdy pęcherzyki powietrza z jej płuc unosiły się do góry. Półprzytomna wyciągnęła rękę, by je schwytać i wypłynąć z nimi na powierzchnię.

Ale to była tylko woda. Słona i groźna woda.

Tylko woda i...

Ręka.

Ręka, która chwyciła ją za nadgarstek.

Ręka, która następnie przytrzymała jej ramię. I druga, która objęła ją w pasie.

Czegoś takiego się doznaje, kiedy się umiera. Najłagodniejsze, ale zdecydowane ręce, które towarzyszą w wielkiej ciemności.

Julia poddała się temu uściskowi, zamknęła oczy, zapadła się w wodę. I naraz poczuła, że woda wokół niej nagle znika, że pod stopami ma coś twardszego.

Piasek.

I powietrze.

Usłyszała piski mew i bicie dzwonu, sygnały wozów strażackich i szum kipieli. Poczowała ręce, które ją głąskaly i uderzały w policzki. I głos, głos Ricka, tak, jego głos, który pytał: - Julio? Słyszysz mnie, Julio?

Proszę cię, Julio, oddychaj! Oddychaj!

Poczowała uciskanie klatki piersiowej, potem usta Ricka na swoich i uświadomiła sobie, że wdmuchuje jej powietrze do płuc, swoje powietrze; oddychała tym samym powietrzem co Rick...

I zakasłała.

I jeszcze raz.

Jeszcze miała oczy zamknięte, kiedy usłyszała, jak Rick do niej przemawia:

- Żyjesz! Wiedziałem, że żyjesz! Wiedziałem, kochanie moje!

\_PRAWO SERCA\_ j

Wtedy otworzyła oczy, te oczy tak ciężkie, zalane wodą, piekące od soli, i zobaczyła go przed sobą, usianego piegami i z rudymi włosami przyklejonymi do czoła.

To był właśnie on.

Jej Rick.

Chciała go uściskać, ale już zapomniała, jak to się robi. Zajął się więc tym Rick, który przeciwnie, pamiętał to doskonale i zatrzymał ją w uścisku, gdy ciągle jeszcze kaszłała i wypluwała z siebie wodę.

Minęła cała wieczność, zanim Julii udało się słabym głosem zapytać: - Co się stało?

- Nic - odparł Rick, głaszcząc ją po włosach. - Nic się nie stało.

Julia zamknęła oczy, po raz pierwszy w życiu czując się całkowicie bezpieczna.

- Kocham cię, Julio Covenant - wyszeptał jej we włosy Rick. '

- Ja też cię kocham, Ricku Bannerze.

Zatrzymali samochody w podwórzu u stóp latarni. Malariusz Wojnicz odwrócił się do nich tyłem. Stał na falochronie i wpatrywał się w rozszalałe morze.

- Szefie!
- Jesteśmy tutaj!
- Jaka sytuacja?

Ale on się nawet nie odwrócił.

Podeszli do niego, podczas gdy wielka latarnia dwadzieścia metrów nad ich głowami omiała swym światłem morze. Wojnicz rozpoznał głosy Anity, braci Noży-ców, Eca, chłopców z Greenwich i dwóch pozostałych. Także Piresa.

- W gruncie rzeczy uważam, że przybyliście za późno... - mruknął szef Podpalaczy, wskazując na urwisko Salton Cliff, spowite w chmurę oszalałych świetlików, które jeden po drugim traciły swój blask w promieniach słońca.

- Przyjechaliśmy najprędzej, jak tylko mogliśmy!

- To znaczy, że „najprędzej, jak tylko mogliście” nie wystarczyło - odparł Malariusz Wojnicz.

Przystanęli wszyscy na skałach, obserwując morze. Klacz Leonarda, ciągle jeszcze trochę niespokojna, skubała trawę na łące, a dwaj Flintowie oparli się o białą-czerwoną wieżę latarni w Kilmore Cove.

Tommaso przysiadł na kamieniu ze swoim pumiątkiem zwiniętym w kłębek u jego stóp. A Zafon zgodził się w końcu zrzucić na ziemię przeładowany plecak.

- Wypłynął z tej szczeliny... - wyjaśnił Malariusz Wojnicz, wskazując świeże głębokie pęknięcie w dole urwiska Willi Argo.

Anita osłoniła sobie oczy dłonią i dostrzegła na pełnym morzu okręt, który halsował na wietrze. - Kto jest u steru? - wyszeptła.

- Nikt - odpowiedział kędzierzawy.

Legendarny okręt z Willi Argo, Metis, płynął dostojnie pod wydętymi na wietrze żaglami, zmierzając na otwarte morze bez kapitana przy sterze.

I stali tak wpatrzeni, dopóki okręt nie zamienił się w odległy punkcik na horyzoncie.

Aż w końcu zniknął.

Rick

Od razu ranie uderzył pełen zapału błysk w jego oczach. > Myślałem, że to ma coś wspólnego z bólem lub uporem. Lecz przeciwnie - było to drżenie kogoś, kto nie oczekuje niczego prócz cudów, jakie mu przeznacza życie.

## Rozdział 28

### OSTATNIA PODRÓŻ

Kiedy Fred Spiczuwa i tłumacz dzienników Ulyssesa Moore'a dotarli do miasteczka, było już po wszystkim. Albo prawie po wszystkim.

Nie mając bezpośredniego połączenia samolotowego z Genui do Londynu, musieli odbyć podróż dosyć urozmaiconą; najpierw dojechali na Lazurowe Wybrzeże i tam wsiedli w pociąg pospieszny do Paryża, przejeżdżając przez całą południową Francję. W stolicy wynajęli samochód, by dotrzeć do Normandii, do Cherbourga, gdzie wsiedli na prom. Podczas podróży Fred przeczytał wszystkie książki Kirke De Briggs i doszedł do wniosku,

że powinien jak najprędzej zamówić u Kalipso jedenasty tom; jedyny, którego mu brakowało.

Przygnębiła go wiadomość, że księgarnia już nie istnieje.

A jeszcze bardziej się zmartwił, kiedy się okazało, że musi się przygotować na pogrzeb.

Ale zanim opowiemy o pogrzebie, wypada cofnąć się trochę w czasie...

Po powrocie do Willi Argo Julia Covenant wpadła na pewien trop. Prawdę powiedziawszy, zauważyła to nie ona, lecz Rick.

Kiedy próbowali odzyskać te niewiele rzeczy, których nie zniszczyły pociski armatnie Mary Grey, znaleźli przewróconą rzeźbę rybaczkę; odkąd tu zamieszkali, zawsze stała na werandzie Willi Argo. Teraz leżała trochę porozbijana, ale nadal była piękna.

- Wiesz, kogo mi przypomina? - spytał w pewnej chwili Rick, pomagając Julii ustawić ją na swoim miejscu. Bez wyraźnego powodu dziewczynka poczuła dreszcz przebiegający po krzyżu. - Nie. Kogo?

Rick jej powiedział i Julia w jednej chwili zrozumiała, że być może kapitan Spencer ją oszukał.

Wybiegła z domu i razem z Rickiem udali się do latarni Leonarda Minaxo, gdzie było radio, przez które mogli się komunikować z Miejskami z Wyobraźni. Dalsze wypadki potoczyły się ze zdumiewającą szybkością: kiedy już bohaterowie tej przygody mogli się porozumieć, Peter De-dalus spuścił się na swoim balonie do Labiryntu i odzyskał Pierwszy Klucz, który wpadł tam razem z biednym doktorem Bowenem. Bracia Nożyce przekazali czarne żagle znalezione w Londynie i w dżunglę wyruszyła ekspedycja, do której dołączyli Rick, Jason, Julia, Anita, Tommi i Król Małp, który odnalazł na plaży naszyjnik nieśmiertelności z czaszek i pragnął powrócić do domu. Jego pojawienie się na bagnach oznaczało uwolnienie Ursusa Marrieta i czterech perkusistów, których dyrektor przekonał, by zamieszkali w Kilmore Cove i grywali wieczorami w gospodzie Windy Inn.

Czarne żagle błyskawicznie postawiono na powietrznym statku Pandory.

I podróżnicy, wydostawszy się tym sposobem z Mrocznych Portów, udali się najpierw do Krainy Puntu.

Manfred masował sobie zboląły krzyż. - Ile dziś zrobiliśmy trwałych undulacji? - zapytał Gwendalinę.

Jego dziewczyna zęgnęła się jeszcze w drzwiach zakładu z ostatnią klientką i Manfred nie doczekał się odpowiedzi.

Odpowiedział sobie sam: „Za dużo”. Doprawdy za dużo. Pracowali jak głupi. Ich salon piękności dla Egipcjanek cieszył się wielkim powodzeniem i moc klientek zapisywała się na obcięcie włosów, manicure czy inne zabiegi modne w dwudziestym wieku, które Gwendalina tu wprowadziła.

Od kiedy uciekli z Kilmore Cove i podjęli działalność na wybrzeżach Morza Czerwonego, stać ich było na zakup wspaniałego domu na plaży i zatrudnienie około dwudziestu służących. A to sobie Manfred cenił ponad wszystko.

Może brakowało mu trochę rozrywek, ale w sumie nie było powodu do narzekania. Gwendalina zносиła do domu komiksy z przygodami w hieroglifach, bo lubiła je czytać przed snem. Manfred z braku wiadomości sportowych oddawał się z lubością wędkowaniu nad morzem.

I właśnie to miał zamiar robić, jak tylko Gwendalina pożegna swoją ostatnią klientkę, niezwykle trudną w odsyłaniu do domu: asystentkę Wielkiego Skryby, jednej z najważniejszych osobistości w Krainie Puntu, dyrektora ogromnej Kolekcji Zwojów, która przydawała blasku całemu krajowi.

- Poszła - westchnęła smętnie Gwendalina, gdy klientka opuściła zakład. - Tak bardzo ją lubię!

- Szkoda tylko, że zawsze trafiasz na straszliwe gaduły!

- Cóż ci mogę powiedzieć? Tak się świetnie rozumiemy! Obie czujemy się szczęśliwe i obie trochę tutaj nie na miejscu.

„Znow to samo” - pomyślał Manfred. „Teraz mi powie, żebym sobie poszedł sam albo żebyśmy wracali szybko do domu, albo wymyśli jakąś inną babską głupotę”.

Rozgarnął zasłonę ze sznurków z nawleczonymi perełkami rzeczonymi i wyrzwał na bezkresną i zalaną słońcem pustynię. Nagle zauważył czarny punkcik sunący po niebie i obserwując go; znieruchomiał.

Zbliżał się szybko, a wyglądał jak jakiś latający statek z całkiem czarnymi żaglami.

- Hej! Gwen... - zawołał. - Popatrz no tylko.

Nestor nie mógł się doczekać, aż latający statek zakończy lądowanie. Wyskoczył na ziemię na zdrowej nodze, minął uszczęśliwione dzieciaki, które zbiegły się, by go powitać, i utorował sobie przejście wśród tłoczących się wokół budzącego podziw statku Pandory.

Na widok wysokich murów pałacu poczuł, jak wali mu serce. Czy to możliwe, żeby Penelopa tu naprawdę była?

Czy możliwe, żeby to było takie łatwe?

Przypuszczenie Julii było, krótko mówiąc, dosyć ryzykowne: ten szelma Spencer powiedział jej, że wywiózł Penelopę do Krainy Puntu, żeby ją zmusić do przekazania mapy Kilmore Cove, tej samej mapy, którą Jason z Rickiem odnaleźli wiele lat potem i którą im skradła Obliwia, dając początek całej serii zdarzeń.

Spencer był przekonany, że uśmiercił Penelopę, podpalając skrzydło Kolekcji. To właśnie historia z pożarem poruszyła Julię: Rick i Jason usłyszeli ją kilka lat wcześniej z ust właściciela Antykwiariatu z Zapomnianymi Mapami, który z kolei obwiniał o to zdarzenie siebie. Dowiedzieli się wtedy między innymi, że z powodu tego pożaru asystentka Wielkiego Skryby utraciła pamięć.

I oto, co Julii przyszło do głowy.

Zdaniem Ricka rzeźba rybaczki z Willi Argo (która -jak odkryli - była wizerunkiem Penelopy) wykazywała nadzwyczajne podobieństwo do asystentki Wielkiego Skryby. A jeśli ta kobieta straciła pamięć... to może nie pamiętała nawet tego, że jest Penelopą i musi wrócić do domu.

„Może i mnie zapomniła” - pomyślał po raz nie wiadomo który stary ogrodnik. Ale czy to ważne? Gdyby pojawiła się jakakolwiek możliwość ujżenia ponownie żywej Penelopy... Nestor zrobiłby wszystko, byle tylko z niej skorzystać.

Pokuśtykał do wejścia do Pałacu, który doskonale pamiętał. I on został wtedy zarejestrowany jako asystent (choć Jason i Rick powiedzieli mu, że ktoś zrobił wszystko, by zatrzeć ślady jego obecności... Może właśnie Penelopa?) i wzbogacił tę Kolekcję wieloma własnymi zwojami i tabliczkami.

Tu znali go wszyscy pod jego prawdziwym nazwiskiem: Ulyssesa Moore’a, kapitana Metis. Zastanawiał się, jak powinien się zachować teraz, kiedy Metis już nie istniała.

Postanowił poprosić o audiencję u Wielkiego Skryby i wyjaśnić mu sprawę z asystentką, ale nie dotarł nigdy do wejścia do Kolekcji.

Po przejściu kilku kroków od małego portu, otoczony dzieciarnią, która biegła obejrzyć statek Pandory, Ulysses Moore przystanął. Nagle. Jakby dodatkowym zmysłem wyczuł jej obecność.

Odwrócił się w stronę głównej ulicy.

I Penelopa tam była, kilka kroków od niego. Stała, wpatrując się w to co wszyscy: w katamaran z czarnymi żaglami, który sfrunął z nieba.

Ulysses Moore przysunął dłoń do ust, niezdolny do wymówienia słowa. Do oczu napłynęły mu łzy. Zastygł w milczeniu. Nie znalazł w sobie siły na żaden gest.

Minęło dziesięć lat.

A ona była dokładnie taka, jaką ją zachował w pamięci.

Penelopa.

Czas pokrył jej twarz siecią delikatnych zmarszczek, a jasne puszyste włosy, teraz prawie całkiem siwe, wokół głowy tworzyły złocistą aureolę i opadały jej miękko na ramiona. Miała na sobie długą suknię z białego lnu, którą owiewał ciepły pustynny wiatr.

Nie mógł uwierzyć, że ją odnalazł. Nie przypuszczał też, że szczęście potrafi być tak bolesne.

Co powinien jej powiedzieć? Jak się przedstawić? I co zrobić, jeśli Penelopa go nie rozpozna?

Nie wiedział.

Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął małą ośmiokątną pozytywkę.

Otworzył ją ostrożnie i pozwolił, żeby to muzyka, której tyle razy słuchali wspólnie podczas długich wieczorów w Willi Argo, przemówiła za niego.

Penelopa nie od razu usłyszała tę melodię.

Było zbyt wielu wrzeszczących ludzi, za wielkie zamieszanie. Ale potem naraz poruszyła głową, rozejrzała się dookoła, a na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

Nasłuchiwała, spoglądając w oczy mężczyzny, który trzymał w ręku pozytywkę.

Tę pozytywkę.

Ten mężczyzna.

Te oczy.

Penelopa uśmiechnęła się do niego.

- Ulysses - wyszeptła.

- Penelopa - odpowiedział.

I pustynię napełniły najpiękniejsze zapachy świata.

Penelopa

Jeśli jest coś, co pozostaje na zawsze, to pamięć o otrzymanym dobru. A ja go otrzymałem tak wiele.

Bez niej, a potem z powodu jej nieobecności, nic by się nie zaczęło. I nic nie zostałoby ukończone.

Rozdział 29

WROTA PRZYJACIÓŁ

Na pogrzebie, jak mówiliśmy, było prawie całe miasto. Także ci, którzy z takiego czy innego powodu nie poka-1 żywali się nigdy.

Był Peter Dedalus i rodzina Covenant w komplecie. Była pani Banner z synem i trzej Flintowie, w tym mały Flint, który zajął miejsce w ławce tuż za ławką Julii. Była panna Biggies, dyrektor Marriet i pan Homer z firmy Homer & Homer. Pan Zafon w głębi nawy po prawej stronie i rybacy w głębi po lewej. Strażacy, pani Chub-ber ze wszystkimi cukiernikami, nauczyciele i miejscowe władze. Byli Leonard i Kalipso, którzy popychali wózki inwalidzkie: na jednym siedziała Ifigenia, ponadstuletnia mama bibliotekarki, na drugim -

pani Bowen. Była też mała reprezentacja Podpalaczy złożona z Malariusza Wojnicza i braci Nożyców. I był tłumacz, któremu parę lat wcześniej przekazano kufer z dziennikami, z prośbą, by opowiedział tę historię, która wyraźnie dobiegła końca. Także dlatego, że po raz pierwszy od wielu lat na pogrzebie byli również państwo Moore.

Ojciec Feniks, który nosił jeszcze rękę na temblaku, odprawił ceremonię dostojną i wzruszającą. Tym razem, inaczej niż zwykle, nie było żadnych zwłok do pochowania i darowano też sobie farsę z pustą trumną. Nie było głośnego płaczu, jak to przeważnie bywało. Na koniec obecni wyszli, by pogawędzić w słońcu nad pięknym lazurowym morzem. Opowiadali sobie anegdoty i różne historyjki, poprawiając jedni drugich, zważywszy, że lepiej czy gorzej, ale w Kilmore Cove znali się wszyscy.

Fred Spiczuwa przybył spóźniony i kiedy zobaczył, że ceremonia już się skończyła, przyłączył się do jakiejś grupki i zaczął się przysłuchiwać, o czym mówią. Ale ponieważ nie za dobrze ich rozumiał, w pewnej chwili postanowił zadać pytanie:

- A co waszym zdaniem stanie się z jego lokomotywą? I z domem na stacji?

Spojrzeli na niego trochę speszeni. Po czym z pewną wyższością, jako że byli przyzwyczajeni do jego roztargnienia, zapytali: - A ty, Fred, myślisz, że na czyj pogrzeb przyszedłeś?

Odpowiedział im w myśli: „A niby na czyj? Blacka Wulkana!”.

Ale zanim zdążył się odezwać, oni go uprzedzili, wyjaśniając, że to pogrzeb pani Stelli.

Fred nie mógł w to uwierzyć. Naprawdę zmarła jego wychowawczyni Stella? Jak to się stało? Ile miała lat? Nikt jednak nie potrafił mu na to dokładnie odpowiedzieć.

I tak sobie mile gawędzili, dopóki słońce nie znikło za cyplem z latarnią. Wielki ból z powodu odejścia pani nauczycielki został podzielony na wiele bólów mniejszych, które każdy zabrał ze sobą, i dzięki temu stał się znośny dla wszystkich.

- Hej, Fred - odezwał się w pewnej chwili Leonard Minaxo, podchodząc do siedzącego kolegi wpatzonego w zachód słońca. - Pójdiesz z nami?

I Fred się zgodził.

Po tej harówce bracia Nożyce byli naprawdę wykończeni.

- Kto to powiedział, że praca uszlachetnia? - zapytał głośno kędzierzawy.

- Ktoś, kto w swoim życiu nie przepracował ani jednego dnia, bądź pewny! - odpowiedział mu blondyn.

Co rzekłszy, wyciągnęli się obaj na plaży na tropikalnej wyspie kapitana Spencera. To niegościnne miejsce wydało im się prawdziwym rajem; cisza, boskie słońce i bezkresne cudowne morze. Znaleźli puszki z mrożoną herbatą w barze, w lodówce na baterie słoneczne, i po krótkiej naradzie postanowili zrobić tu sobie małe wakacje z zapasem napojów i radiem dostrojonym do częstotliwości zero w razie potrzeby.

Państwo Bloom z kolei zgodzili się zawieźć Wrót Czasu, wiele lat wcześniej nieodwracalnie uszkodzone przez kapitana Spencera, do małej miejscowości ukrytej w Pirenejach. Tymczasem w Kilmore Cove Tommaso Ra-nieri Strambi (który zdążył już porozmawiać z rodzicami i zapewnić ich, że jest cały i zdrowy) i Peter Dedalus oddali się trudnemu zadaniu rozszyfrowania notatek i rysunków pozostawionych przez Blacka, a także fotografii dziwacznych malowideł Morice'a Moreau, co do których Tommi utrzymywał, że je doskonale rozumie. Wszyscy ze zdumieniem przyjęli łatwość, z jaką udało się znaleźć wszystko, co dotyczyło budowy Wrót Czasu: od kamienia uniunio, w który Jason się zaopatrzył w Labiryncie, do drzewa z korzeniami na wietrze, które zawsze rosnęło w parku Willi Argo, a które obaliły pociski armatnie Spencera. Co do reszty, czyli Wyobraźni, przynieśli ją ze sobą nowi budowniczowie Wrót. Wraz ze sporą dozą nadziei, że to wszystko, co robią, będzie naprawdę działać.

Wieczorem, po pogrzebie pani Stelli, mała grupka mieszkańców udała się na plac budowy nowej księgarni Kalipso: „Dobre książki, które powróciły z morza”.

- Hej, Fred!

- Jak leci, przyjacielu?

Fred uściśnął ręce bliźniętom Covenant i zapytał ich, czy prawdą jest, co się mówi wkoło, że zamierzają opuścić miasteczko.

Nestor i jego żona zmienili szybko temat rozmowy.

Peter włożył kartonową czapkę i miał przy sobie rolkę serpentyny. Kiedy Fred to zobaczył, pomyślał, że nie wypada urządzać zabawy zaraz po śmierci pani Stelli, ale się nie odezwał.

- A oto dla was nowy klucz... - oznajmił Peter Deda-lus, wyciągając z kieszeni klucz z główką w kształcie kozy. - Zaprojektowany przez Morice'a Moreau i wybrany dla nas przez Tommasa Ranieri Strambi.

Rozległy się brawa.

Następnie klucz wręczono Jasonowi, który zapytał: -Na pewno tego chcecie? Ostatnim razem, kiedy ktoś tego spróbował, zalało całe miasto!

- Chcemy! - odpowiedzieli wszyscy zgodnym chórem.

Fred jednak na wszelki wypadek cofnął się o kilka kroków.

Jason Covenant wsunął klucz z kożą do zamka, przekręcił i wolno otworzył drzwi. - Wygląda na to, że pasuje. .. - szepnął. - Wchodzę...

I w jednej chwili zniknął po drugiej stronie. Po nim weszli Julia, Rick i wszyscy pozostali.

Ostatni wchodził Leonard Minaxo. - Więc jak, Fred, wchodzisz czy nie? - zapytał.

I w końcu Fred też wszedł.

- Całe szczęście! - zawołał Black Wulkan, kiedy wszyscy znaleźli się po drugiej stronie. - Już myślałem, że to święto nigdy się nie odbędzie!

- Więc żyjesz! - zawołał zaskoczony jego widokiem Fred.

- A twoim zdaniem wyglądam jak nieboszczyk? - wybuchnął śmiechem Black.

- Nie, ale... istotnie, dziwnie wyglądasz.

Dawny maszynista przejechał ręką po brodzie i dopiero wtedy Fred zrozumiał, co się w nim zmieniło.

- Zgoliłeś brodę!

- Właśnie! - potwierdził Black Wulkan. - I jak? Wyglądam o dwadzieścia lat młodziej, czy nie?

Od śmiechu zaczął jednak tak kaszleć, że aż zgiął się wpół. Fred zauważył, że natychmiast podbiegła mu z pomocą jakaś piękna bosonoga kobieta, która poruszała się zwinnie jak sarenka w bujnej roślinności tej dziwnej krainy. I w jednej chwili zrozumiał, że z Blackiem wcale nie było tak dobrze: głęboko w ciele utkwiała mu kula.

Dobre było to, wyjaśnił później były kolejarz, że w Arkadii, Kraju, który umiera, wbrew nazwie choroby mijały dużo szybciej i podobnie łatwiej goiły się rany. Tak więc było to naprawdę idealne miejsce na rekonwalescencję. I może dlatego jakiś czas potem przeniosła się tu także pani Bowen.

- Dzięki. Wielkie dzięki wszystkim wam... - zwrócił się Black do gości, obejmując z czułością tę piękną kobietę. Fred dowiedział się, że nazywała się Ostatnia, ponieważ zanim dzieci otworzyły nowe Wrota Czasu, była rzeczywiście ostatnią mieszkanką tej krainy.

- Dobrze jest mieć was wszystkich tutaj - dodał były maszynista. - Dziękuję za pracę każdego z was, a w szczególności za rysunki Tommasa, za fachowość i konstrukcje Petera, za sugestie Kalipso i za moje własne - by rzec

t skromnie - genialne pomysły... na temat skutecznego uruchomienia Wrót Czasu!

Wszyscy wzniesli toast w miseczkach ze skorupy.

- Niech żyje!

- Arkadia ocalona!

- Hip, hip, hurra!

Na koniec uroczystości Black westchnął i poszedł wyciągnąć się na trawie. Wracał do sił, zapewne, ale to już nie był dawny Black.

- I pomyśleć, że przedtem zabezpieczyłem się nielichą warstwą styropianu... - mruknął rozgoryczony.

Ale nie mógł wszystkiego przewidzieć.

A już z pewnością nie przebiegu tego zaimprovizowanego pojedynku, który wymyślił, by pozostali zyskali na czasie.

Jak również nigdy w życiu nie mógłby przewidzieć, że będzie naocznym świadkiem śmierci własnej córki.

- Kto wie... - szepnął smutno. - Może i tym razem udało się jej wyjść z tego cało?

## Rozdział 30

### WYJAZDY

Malariusz Wojnicz, spakowany w swoim londyńskim mieszkaniu, był już całkowicie gotów do przeprowadzki. Zszedł do biura, by zdecydować, co z przeszłości zabrać ze sobą; a co zostawić na Frogmal Lane. Nie było tego wiele w gruncie rzeczy.

Z pewnym zdumieniem zauważył paczkę na swoim biurku. Minęło już wiele dni od czasu, kiedy walczył nocą z małpami w Kilmore Cove, i niemal o tym zapomniał. Spojrzył uważnie na paczkę i w końcu się uśmiechnął.



- Oto, dlaczego nie nadeszła żadna pomoc! - wykrzyknął.

Paczka, którą trzymał w rękach, cała była pokryta stemplami, znaczkami i odręcznymi dopiskami. Jeden zwłaszcza, tuż pod adresem „Echo des Fantaisies”, zwrócił jego uwagę: ADRES NIEISTNIEJĄCY. I zaraz niżej: ZWRÓCIĆ NADAWCY.

Najwyraźniej na poczcie zamieniono wysyłki: rękopis jego powieści wysłano w Miejsca z Wyobraźni, a list pani Stelli z dymisją i prośbą o pomoc - do świata realnego. Co w pełni wyjaśnia, dlaczego z Miejsc z Wyobraźni nie > nadeszła nigdy żadna pomoc. Ale znaczyło też, że jego cenny rękopis przepadł na zawsze.

Malariusz Wojnicz podszedł do okna. Długo przez nie wyglądał i zastanawiał się, czy będzie mu brakowało tego, tak dobrze znanego, widoku.

Jeszcze kilka miesięcy temu po dokonaniu tego rodzaju odkrycia w związku z rękopisem, wściekły się i postawił na równe nogi cały Klub Podpalaczy. Tymczasem teraz, uśmiechnięty, skrzyżował ręce na plecach i raz jeszcze spojrzął na przesyłkę pani Stelli.

- Spokojnie... - powiedział, mając na myśli swoją. - Nie było to znowu aż tak cenne.

Wrócił do biurka i z szufladki oznaczonej literą N wyjął nożyczki. Potem otworzył ostrożnie przesyłkę, którą sam zapakował. Zdjął przykrywkę pudełka i wyjął list nauczycielki.

Czuł się jak intruz, więc obiecał sobie, że ostatni raz robi coś podobnego.

Najdrożsi przyjaciele Zgromadzenia Miejsc z Wyobraźni -brzmiały pierwsze słowa listu...

Podmuch wiatru bezceremonialnie zerwał jej kapelusz z woalką, aż pani Stella głośno krzyknęła.

Jakiś bardzo uprzejmy pan pobiegł za zgubą i złapał kapelusz, zwracając go właścicielce z lekkim ukłonem.

- Dziękuję panu, panie...

Podsunał jej swój bilet wizytowy, jak to dawniej było w zwyczaju, i nadal stał przed nią.

-Panie... Allisterze Thorpe... - przeczytała nauczycielka. - Zachował się pan isticie po rycersku.

- Czy pani też czeka na prom? - zapytał dżentelmeński starszy pan.

Pani Stella przyjrzała mu się lepiej: był elegancko ubrany i miał wypomadowane włosy. Wyglądał młodo i sympatycznie. - Tak - odpowiedziała, spoglądając na kobaltowe morze przed nimi. Za nimi kołysały się lekko nadbrzeżne palmy.

- Pierwszy raz jedzie pani na Baleary? - ciągnął rozmowę mężczyzna.

-Pierwszy raz jadę w ogóle na... wakacje, panie Thorpe. Jestem bardzo przejęta!

- Proszę mi mówić Allister.

- Jak pan sobie życzy... Allisterze - uśmiechnęła się starsza pani.

W gruncie rzeczy tak wiele się nie zmieniło. - Pan także po raz pierwszy?

- Ja? Nie. Całkiem nie. Byłem tam już kilka razy.

- Naprawdę? - Nauczycielka się uśmiechnęła. - W takim razie mógłby pan zostać moim przewodnikiem, co pan na to? Można powiedzieć, że... od dawna już nie podróżuję...

- Z przyjemnością - uśmiechnął się pan Thorpe. Wskazał na prom, który sapał tuż przed portem. - Mogę pani pomóc nieść bagaże?

- Och, dziękuję, ale nie mam bagaży - zaskoczyła go pani Stella. - Wie pan, lubię podróżować bez obciążenia.

- Nie do wiary - zdumiał się dżentelmen.

- Panie w moim wieku potrafią niekiedy zadziwić.

Pan Thorpe roześmiał się ubawiony. Stali tak, obserwując zbliżający się prom z kominem, który wypluwał chmury dymu w stronę piszczących mew.

- Czy mogę zapytać, czym się pan zajmuje... Allisterze? - zagadnęła nauczycielka, kiedy mieli wejść na po-

- Ja? Konstruowaniem. Jestem budowniczym.

- Coś takiego! - zaszczębiotała pani Stella. - Budowniczy! A czego, jeśli można spytać?

- Domów. Buduję domy.

Nauczycielka ujęła pana Thorpe'a pod ramię. - Wie pan co, Allisterze? Jestem przekonana, że pan i ja będziemy się świetnie dogadywać...

I tak się stało, że kolejno wszystkie sprawy i osoby rozeszły się w różne strony.

Armaty Spencera uszkodziły około dwunastu domów, z których trzy nieodwracalnie, ale właściciele skrzyknęli się i wspólnie z sąsiadami i za zgodą administracji podjęli zgodnie dzieło odbudowy, obiecując sobie naprawić co najpilniejsze szkody przed końcem sezonu.

Żeby to zrobić solidnie, studiowali stare fotografie, starając się jak najwierniej zrekonstruować każdy detal, by wyglądał dokładnie tak jak pierwotnie.

W tych dniach gorączkowej działalności wielki Flint i Flint średni odkryli w sobie prawdziwe powołanie do murarki i stawiania rusztowań, co robią nadal, wiele lat po tamtych wydarzeniach. Ich kuzyn, Flint mały, zajął się natomiast robotą organizacyjno-papierkową, zatrudniony w biurze jako przedsiębiorca albo - jak on sam wolał mówić - „menedżer”. Za każdym razem, kiedy ma podjąć jakąś trudną decyzję, rzuca swoją szczególną monetą na szczęście. Kupił sobie kabriolet i podróżuje wzdłuż i wszerz wybrzeża. Czasem wyprawia się aż do Londynu, ale zawsze woli ciche Kilmore Cove.

Co do Anity Bloom - jak najprędzej uściskała swoich rodziców i obiecała im, że nigdy już nie ucieknie. Chociaż wiedziała, że mija się z prawdą. Nadal spotykała się z Ja-sonem i po paru latach ich historia nabrała rozpędu.

Peter Dedalus odbudował swój Dom Luster i prawie natychmiast uruchomił zakład zegarmistrzowski na głównej ulicy miasteczka. Przez pewien czas zajmował się też komputerem, ale zarzucił to, bo zbyt czasochłonne było poszukiwanie połączenia, które by działało na częstotliwości zero jego radia.

Nigdy się nie ożenił. Przebąkuje się jednak, że raz do roku organizuje wielką uroczystość w swoim obracającym się domu z udziałem licznie zaproszonych gości z dalekich krajów i nielicznymi miejscowymi. Tłumacz dzienników Ulyssesa Moore'a spędził jakiś czas w towarzystwie małżonków Moore, żeby zgłębić pewne niejasne ciągle szczegóły z ich życia i by im dopomóc w odbudowie tego, co pozostało z Willi Argo. Pracowali ramię w ramię przez dwa miesiące, po czym tłumacz ich pożegnał. Podczas tych tygodni Ulysses Moore odznaczał się niezwykłą jasnością umysłu, chociaż wiele z jego wyjaśnień było trudnych do rozwikłania, jak na przykład rola zwierząt (a w szczególności małp) w całej tej historii. Kiedy tłumacz opuszczał dom nad urwiskiem, był ogromnie rad, widząc starego ogrodnika wreszcie szczęśliwego, i odbierał go jako spełnionego jak nigdy dotąd. W gruncie rzeczy jednak odkrył, że chyba woli go ze swoim zwykłym charakterem, wybuchowego i złośliwego, jak wtedy, kiedy zobaczył, co się stało z jego ukochaną wieżyczką i z Metis.

- Co zamierzacie teraz robić? - zapytał przed opuszczeniem na zawsze Kilmore Cove. - Odbudujecie wszystko i znowu wyruszyacie w podróż?

- A pan, panie? - odpowiedział pytaniem na pytanie Ulysses Moore. - Ma pan zamiar nadal pisać? Któregoś z tych dni dzieci wróciły do Labiryntu, zabierając ze sobą wszystko», co potrzebne w biurze Topografii z Wyobraźni, żeby zakończyć procedurę wpisu Kilmore Cove do Zgromadzenia Miejsc z Wyobraźni. Przekazały

Pierwszy Klucz, żeby pozostał w bezpiecznym miejscu, i powieści podpisane przez Ulyssesa Moore'a jako dokumentację naukową potwierdzającą istnienie miasteczka i będącą zarazem paszportem autora do nieśmiertelności. Zmuszeni do wskazania stałego przedstawiciela w Zgromadzeniu zgodnie postanowili oddelegować najodpowiedniejszego z nich wszystkich i najbardziej kochającego Kilmore Cove: wybór padł oczywiście na Ricka Bannerę, który sprzeciwiał się temu przez całą drogę powrotną.

Osiem miesięcy po opowiedzianych wydarzeniach pani Viviana Wojnicz, idąc żwawym krokiem po Notting Hill, przystanąła gwałtownie przed witryną księgarską.

I mało co nie zemdląca.

Gdyby tylko miała jego numer, z pewnością by zadzwoniła.

Książka zajmująca wszystkie miejsca na wystawie nosiła tytuł: Serce nie sługa, autor - Mariusz Wojnicz.

Viviana weszła niepewnie do księgarni i musiała utorować sobie przejście, przepychając się przez tłumek starszych pań, które próbowały zdobyć egzemplarz. W końcu udało się jej pochwycić książkę. Odeszła na bok i ciągle poruszona zajrzała do środka.

Szukała łąpczywie dedykacji, ale jedyne, co znalazła, to była lakoniczna uwaga na stronie tytułowej: Książka ta jest wytworem fantazji.

- Fantazji? - zdumiała się na głos Viviana Wojnicz. - Mariusz ma coś wspólnego z fantazją?

- To prawda! - wyjaśniła jej pani stojąca obok, która nabyła aż trzy egzemplarze. - Ale to niezwykle piękna historia miłości!

- Historia miłości? - powtórzyła Viviana coraz bardziej przejęta. - Autorstwa Mariusza?!

W związanej biografii autora przeczytała, że mieszka w bliżej nieokreślonej miejscowości w Kornwalii, gdzie w świętym spokoju oddaje się pisarstwu i uprawianiu ogrodu.

Na samą myśl o bracie podlewającym peonie mimo woli się uśmiechnęła.

Nabyła jeden egzemplarz.

Prosząc o zniżkę.

Na Boże Narodzenie tego roku Tommaso Ranieri Strambi. otrzymał od rodziców w swoim domu w Wenecji szkło powiększające, wielką encyklopedię, hełm tropikalny eksploratora i potężny kufer zawierający wszystkie narzędzia przedwcześnie zmarłego angielskiego preparatora. Ponieważ ów człowiek nie miał spadkobierców, wszystko, co do niego należało, w tym zajmujące dużo miejsca wypchane zwierzęta, stało się własnością chłopca. Znaczkę pocztową naklejone na przesyłkę jednoznacznie wskazywały urząd pocztowy Kalipso, co również potwierdził bilecik z życzeniami. Od czasu tego Bożego Narodzenia Tommaso zaczął poważnie myśleć o zawodzie zoologa w przyszłości. Zostałby naprawdę najlepszym przyjacielem zwierząt.

Wszystkie pozostałe osoby z tej historii powróciły do swego wcześniejszego trybu życia, już bez obawy, że gdy się w drodze odwróca, zobaczą postępującego za sobą mężczyznę w meloniku i z parasolem.

## Rozdział 32

### PRZECIĄG

Znieruchomiły w głębi salonu Jason zamienił się w słuch. Czuł dziwny przeciąg, który przynosił dalekie odgłosy. Skrzypienie mebli, świst wiatru, stąpanie zwierząt. Już nie raz w tym tygodniu Jason wyobrażał sobie, że w rezydencji Moore'ów meble są obdarzone własnym życiem: jak tylko pokój opustoszał, przesuwały się o milimetr. O jeden milimetr, nie więcej, żeby nie szokować.

Ale tym razem to było coś innego. Nie mógł to być przesuwający się mebel. Ani kruk zawieszony na dachu czy jaszczurki wśród pnącego bluszczu albo szczury na strychu. Nie, proszę państwa.

Tym razem usłyszał hałas wyraźny: szybkie kroki na wyższym piętrze. Nasłuchiwał uważnie. Kroki się powtórzyły.

Jason zmartwiony zacisnął usta.

- Więc jesteś tam, na górze... - szepnęła do swego tajemniczego nieprzyjaciela, jakby rzucił mu wyzwanie.

Czy możliwe, żeby poza nim nikt z całej rodziny nie zauważył istnienia tego kogoś? Czy możliwe, żeby ani ojciec, ani matka, ani jego siostra nie pojęli, że w tym ogromnym domu jest też ktoś obcy?

Jason spostrzegł to od razu, od pierwszej chwili, kiedy wyładowali na dziedzińcu walizki. Stary londyński budynek był za duży, by móc go dobrze poznać. Dom pełen pokoi i sekretów, fascynujących i tajemniczych przedmiotów.

Kiedy patrzyli nań po raz pierwszy, miał wrażenie, że rezydencja Moore'ów szeptała do niego: „Nie wszystko jest takie, jak się zdaje: odkryj mój sekret, Jasonie”.

I Jason przystał na to.

Owiewany przeciągiem od otwartych okien Jason spoglądał na portrety zawieszane na ścianie dużego salonu na pierwszym piętrze. Jego ojciec zaproponował, żeby te stare obrazy zastąpić czymś pogodniejszym, może kilkoma pejzażami, ale tak Jason, jak i jego siostra się sprzeciwili. Te portrety przeżyły stary Klub Podróżników

w Wyobraźni, a następnie Podpalaczy i zasłużyły sobie na pozostanie na swoich miejscach.

Pokręcił się między pustymi jeszcze fotelami i stolikami i zagłębił się w swoich myślach. Powinien częściej dzwonić do Anity, zanim się pogniewa i rzuci go dla innego, choćby dla Tommasa, który ciągle jeszcze nie stracił nadziei, że pewnego dnia ją pocałuje. Powinien też pomyśleć nad egzaminami wstępnymi do gimnazjum, ale w gruncie rzeczy nie miał zamiaru robić żadnej z tych dwóch rzeczy.

Przynajmniej nie tego dnia.

- Jason! - zawołała go siostra. - Już późno!

Odkąd wrócili do Londynu, codziennie paradowała w innej sukience. Jason się do niej uśmiechnął i zakończył oględziny salonu. Wszystko było w porządku, jak się zdawało. Napoje na stołach, papiery, mapy, pudła z książkami do ustawienia na półkach i...

- Lista gotowa? - spytała go Julia.

- Tak. Sądzę, że tak - odparł.

Przystanęli jeszcze oboje na moment w progu salonu i obejrzeni się, by po raz ostatni rzucić okiem na starą siedzibę Klubu Podróżników w Wyobraźni na pierwszym piętrze rezydencji Moore'ów, dokąd się właśnie przeprowadzili.

- No to idziemy - odezwał się Jason.

Wyciągnął rękę, by otworzyć drzwi, ale drzwi otworzyły się same.

- Panienko Julio... Paniczu Jasonie... - pozdrowił ich Pires, lekko się skłaniając. - Państwa goście właśnie nadchodzą.

- Wspaniale - odpowiedziała Julia.

Bliźnięta Covenant zbiegły szybko po schodach i otworzyły drzwi domu.

Goście już na nich czekali.

Jason czuł, jak serce rozpięta mu duma. Wiele osób roz-poznał, ale były też nowe twarze. - Witajcie! - pozdrowił wszystkich, rozkładając szeroko ręce. - Witajcie na oficjalnym otwarciu Klubu Podróżników w Wyobraźni!

Promienie słońca rozświetlały ogród, padając z nieba pomiędzy białych chmur. W oddali słychać było radosne zgrzytanie tramwaju.

Rodzeństwo Covenant usunęło się na bok, aby ścisnąć ręce pierwszym przybyłym, zapraszając ich, by weszli po schodach i zajęli miejsca w klubowym salonie.

Kiedy nadeszła kolej na Ricka, Julia go czule pocałowała, aż się zaczerwienił od stóp do głów.

- A to tak się robi... - zażartowała Anita, jakby chciała zachęcić do czegoś Jasona. Ale młody Covenant nie dał się prosić i wycisnął na jej ustach równie gorący pocałunek.

Przybywały kolejne samochody i dalsi goście, pieszo. A kiedy w końcu zostali przed wejściem na moment sami, Jason zapytał siostrę: - Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego niebo na granicy z morzem staje się białe?

- A ty wiesz czemu?

- Nie - odparł Jason. - Ale brakuje mi tego nieba.

- Może staje się białe, żebyśmy dzięki temu, patrząc na nie... mogli sobie wyobrazić, jak wygląda po drugiej stronie - odpowiedziała Julia i zamknęła drzwi.

Od Autora

Drodzy Czytelnicy,

historii a Joe>ona, Jut i i i Ricka oraz wszystkich ich przyjaciół, którzy wspólnymi siłami założyli na nowo Klub Podróżników w Wyobraźni, tak się kończy, jak się zaczęła.

Z tego, co zdołałem się dowiedzieć, wynika, że Klub jest jeszcze otwarty i organizuje liczne ważne wyprawy do nowych Miejsz w Wyobraźni. Bliźnięta i ich przyjaciele nadal prowadzą swoją działalność. Jak się zdaje, nie zmienia się także liczba zapisanych.

Członkowie Klubu otrzymują regularnie pismo zawierające wiadomości i opisy ciekawszych miejsc do zwiedzania, tajemnic, które zasługują na odkrycie, i Postaci z Wyobraźni, o których należy coś wiedzieć.

Pismo można otrzymać przez zwykłą pocztę, oczywiście ze znaczkami z Kilmore Cove. Jak nas przekonała zmarła pani nauczycielka Stella, poczta w trudnych sytuacjach jest rzeczywiście jedynym urzędem, który naprawdę działa.

## SPIS ROZDZIAŁÓW

1.	Upadek.....	7
2.	Komora celna w Krainie z Wyobraźni.....	17
3.	W tarapatach.....	25
4.	List.....	37
5.	Mały z morza.....	49
6.	Do schronów.....	61
7.	Ruszają nasi.....	71
8.	Mroczne paszporty.....	75
9.	Przebudzeni.....	85
10.	Przygoda Julii .....	97
11.	Tajemnica urzędu pocztowego.....	107
12.	Pani burz.....	115
13.	Dolina bębnow.....	131
14.	Sami.....	139
15.	Radio zero .....	145

16.	Więżniarka kapitana.....	155
17.	Tajemna broń.....	163
18.	Pod pokładem.....	175
19.	Skazańcy .....	187
20.	Przyjaciół zwierząt.....	193
21.	Pojedynek.....	205
22.	Syreny.....	213
23.	Bunt.....	221
24.	Wymiana .....	231
25.	Śpiew syren.....	241
26.	Prawo morza .....	249
21.	Prawo serca .....	259
28.	Ostatnia podróż .....	261
29.	Wrota przyjaciół.....	211
30.	Wyjazdy.....	285
31.	Ostatnie pozdrowienie.....	289
32.	Przeciąg.....	295
	Od Autora.....	30